KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Nr 5/223** **1966**

• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

Zb. A. JORDAN : **SOCJALIZM I CZŁOWIEK WYOBCOWANY**

B. MIEDZIŃSKI : **WOJNA I POKÓJ**

J. MIEROSZEWSKI : **PUNKT ODNIESIENIA**

SPIS RZECZY

Zbigniew A. Jordan:	*Socjalizm i człowiek wyobcowany* ..	3
Paweł Hostowiec:	*Notatnik nieśpiesznego przechodnia*	18
Witold Gombrowicz:	*Fragment z dziennika*	25
Czesław Miłosz:	*Notatnik*	35
Gustaw Herling-Grudziński:	*Intryga i Miłość*	42
Wacław Iwaniuk:	*Zapiski bywalca*	57

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	*Punkt odniesienia*	81
Bohdan Osadczuk:	*Ze Związku Sowieckiego*	88
Londyńczyk:	*Kronika angielska*	95
S. W. Kozłowski:	*Przegląd niemiecki*	103

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Bogusław Miedziński:	*Wojna i pokój (1)*	107

KRAJ

George J. Flemming:	*Z polskiej rzeczywistości*	121

KRONIKA KULTURALNA

Maria Danilewicz:	*Toast niespełniony (III)*	127
—	*Kronika*	135

KSIĄŻKI

Adam Czerniawski:	*Chaos i ład w poezji XX wieku* ..	137
Florian Śmieja:	*Przekłady z poezji hiszpańskiej* ..	140
B. Brodziński:	*Dochód narodowy*	143
—	*Nadesłane nowości wydawnicze*	145
—	*Humor sowiecki*	147
E. K. Bernaud, M. Borwicz, Jan Darowski, K. B. Feuer, Edward Puacz, Z. S. Siemaszko, Bogdan Znowski:	*Listy do Redakcji*	150

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Maj-Mai 1966

INSTYTUT LITERACKI

XX lecie INSTYTUTU LITERACKIEGO

W maju rb. mija dwadzieścia lat od założenia Instytutu Literackiego. Ograniczamy się tylko do odnotowania tej daty. Jest ona ważna jedynie dla nas — kilku osób, które włożyły w Instytut całą pasję i znaczną część życia. Ocenę wartości i znaczenia tej pracy pozostawiamy Czytelnikom.

Imprimé en France

Socjalizm i człowiek wyobcowany

Nowa książka Adama Schaffa *Marksizm a jednostka ludzka*[1] zyskała rozgłos w kraju i zagranicą. Zajmowały się nią czołowe pisma zachodnie z *Le Monde, Neue Zürcher Zeitung, Die Zeit, Corriere della Sera, Sunday Times* i *Observer* na czele. Jej krytycy uważają ją za książkę w całości polityczną, ale autor stwierdza stanowczo, iż jest to „praca filozoficzna, naukowa" i że „nikt jej tego charakteru nie odbierze". W tym sporze zgodzić się trzeba raczej z krytykami aniżeli autorem. *Marksizm a jednostka ludzka* jest książką polityczną co do treści i formy. Jej styl jest żywy, ale publicystyczny; jej zawartość jest politycznie doniosła, ale filozoficznie uboga.

Marksizm a jednostka ludzka ma wyraźnego adresata. Książka zwraca się do przywódców komunistycznych i partyjnej elity, a w dalszej kolejności do wszystkich członków partii komunistycznych. W tym sensie jest to praca poświęcona ideologicznej strategii. Rozważa ona warunki od jakich zależy uaktywnienie szerokich mas społeczeństwa dla socjalizmu i ulepszenia form życia zbiorowego.

Nie znaczy to jednak, że *Marksizm a jednostka ludzka* jest książką cyniczną. Autor jest szczerze zatroskany o los socjalizmu. Sądzi on, że realizacja socjalizmu jest zagrożona przez zapoznanie jego istotnych treści i niewłaściwą politykę. Humanizm, to znaczy walka o wszechstronny rozwój jednostki ludzkiej i podporządkowanie jej dobru wszystkich wysiłków, jest kwintesencją socjalizmu. Odkrycie jednostki w socjaliźmie, którego Schaff dokonuje i do czego innych zachęca, jest odkryciem starych treści marksizmu. „W dojrzeniu tej banalnej prawdy o humanistycznej treści marksizmu, ale nie jako frazesu, lecz jako prawdy doniosłej i mającej daleko idące konsekwencje, również praktyczne, przeszkadzała przez dziesięciolecia atmosfera polityczna tzw. mi-

1. PWN, Warszawa 1965, stron 372.

nionego okresu oraz towarzysząca jej daleko posunięta ignorancja w dziedzinie marksizmu"[2].

Celem Schaffa jest próba spojrzenia na stosunki społeczne w społeczeństwach socjalistycznych z nowej perspektywy i konfrontacja rzeczywistości z tymi nadziejami i oczekiwaniami, jakie socjalizm rozbudził i jakich nie spełnił. Stara się on przekonać kierowników Partii, iż istnieje nagląca potrzeba przyjęcia nowego punktu widzenia i postawy do rzeczywistości, jeśli kierownictwo Partii ma dostrzec istotne problemy socjalizmu w obecnej fazie jego realizacji i znaleźć właściwe środki ich rozwiązania. Jak Schaff podkreśla, jego książka powstała z „pewnego rozeznania politycznego i z wyrosłych na jego gruncie postulatów co do kierunku i sposobu przeprowadzenia ofensywy ideologicznej marksizmu... Z tego rozeznania i z tych wniosków wyrosły badania, a na ich gruncie koncepcja humanizmu marksistowskiego, która otwiera nowe perspektywy na marksizm albo lepiej powiedziawszy: wraca do autentycznej wizji marksizmu"[3].

Wspomniana diagnoza sytuacji politycznej wywodzi się z próby „rehabilitacji Marksa". Polega ona na interpretacji Marksa dojrzałego, tzn. autora *Kapitału*, w świetle poglądów z okresu młodzieńczego, gdy Marks był całkowicie pochłonięty problematyką jednostki ludzkiej i jej wyzwolenia od „odczłowieczonego życia". Dla ruchów i partii politycznych legitymujących się marksowskim testamentem rehabilitacja Marksa oznacza rehabilitację spraw jednostki ludzkiej i przywrócenie trosce o los indywidualnego człowieka właściwej rangi w całokształcie budowy socjalizmu. Ponieważ powrót do „autentycznej wizji marksizmu" inspiruje praktyczne propozycje Schaffa, należy rozpatrzeć tę sprawę w pierwszej kolejności.

Młodzieńcza twórczość Marksa

Pytanie jakie miejsce zajmuje twórczość młodego Marksa w stosunku do poglądów z okresu pełnej intelektualnej dojrzałości, dręczy od dawna ideologów marksizmu-leninizmu. Jak się to zazwyczaj rozumie, twórczość młodego Marksa obejmuje prace napisane przed 1846 rokiem, to znaczy do *Ideologii Niemieckiej* włącznie. Przy tej linii podziału, *Nędza Filozofii* lub *Manifest Komunistyczny* są pierwszymi dziełami Marksa dojrzałego.

Prawowierny marksista-leninista nie może czytać pism młodego Marksa bez uczucia zakłopotania, zawstydzenia i dręczącego niepokoju. Po pierwsze dla tego, iż wiele wypowiedzi młodego Marksa, na przykład jego walki o wolność prasy i słowa, brzmią jak dotkliwa krytyka stosunków panujących w państwach leninowskiego socjalizmu. Po wtóre, młody Marks jest w zakresie swych poglądów filozoficznych o społeczeństwie indywidualistą a w zakresie ideologii wojującym humanistą. Jest on socjologicznym indywidualistą, gdyż opowiada się za zasadą, iż należy wyjaśniać procesy historyczne i zjawiska społeczne wyprowadzając je z praw społecznego współdziałania jednostek (zamiast wyprowadzać prawidłowości współdziałania społecznego jednostek z praw całościowych, holistycznych, rządzących grupami, zbiorowościami lub strukturami istniejącymi niezależnie od składających się na nie jednostek). Jako humanista, Marks przeciwstawia konkretnych ludzi abstrakcyjnemu człowiekowi, o którym tak wiele jest mowa w dziełach Hegla i młodo-heglistów. Głosi on tezę, iż człowiek to nie jest istota oderwana, istniejąca gdzieś poza światem lub w metafizycznych spekulacjach filozofów. Człowiek to świat człowieka w jego rzeczywistym i konkretnym kształcie. W przeciwieństwie do społeczeństwa widzianego oczyma ekonomistów, wyznawców Adama Smitha lub Ricarda, w którym „jednostki istnieją dla siebie nawzajem tylko o tyle, o ile stają się dla siebie nawzajem środkami", humanista głosi zasadę, że człowiek jest celem samym dla siebie i że jego dobro jest najwyższą wartością społeczną. Z tego stwierdzenia wynika nakaz „obalenia wszelkich stosunków, w których człowiek jest istotą poniżoną, ujarzmioną, opuszczoną i godną pogardy"[4]. Młody Marks rozróżnia komunizm „prymitywny i bezmyślny", komunizm despotyczny i komunizm pozytywny. Komunizm prymitywny (Marks ma na myśli komunizm utopijny Étienne Cabet i François Villegardelle) będąc tylko zaprzeczeniem własności prywatnej i zamaskowaną formą zazdrości i żądzy posiadania, neguje wszędzie osobowość jednostki, odrzuca cały świat cywilizacji i kultury oraz pragnie stworzyć człowieka który „nie tylko nie przerósł własności prywatnej, lecz nawet do niej nie dorósł"[5]. Komunizm pozytywny jest natomiast powrotem człowieka do samego siebie jako istoty społecznej, to znaczy w pełni ludzkiej, powrotem dokonanym świadomie i w oparciu o całe bogactwo dotychczasowego rozwoju.

Głosząc tezę, iż „całkowite odzyskanie człowieka" dokonać się może jedynie w oparciu o teorię „która głosi, że najwyższą dla człowieka istotą jest człowiek"[6], Marks już w okresie młodzieńczym był przekonany, iż tej teorii nie można zrealizować bez „rewolucji politycznej z duszą społeczną". Rewolucja jako „obalenie istniejącej władzy" jest aktem politycznym. Ale gdy rozpoczyna się działalność organizowania socjalizmu, na plan pierwszy wysuwa się „jego dusza". Gdy rewolucja likwiduje stare społeczeństwo i jego stosunki społeczne, jej punktem wyjścia staje się „poszczególna rzeczywista jednostka" a jej punktem dojścia „prawdziwa wspólnota ludzi"[7].

2. *Nowe Drogi*, 12(199)/1965, str. 156.
3. *Nowe Drogi*, 12(199)/1965, str. 156.

4. *Przyczynek do krytyki heglowskiej filozofii prawa: Wstęp, Dzieła*, Warszawa, Książka i Wiedza, 1960, T. 1, str. 457.
5. *Rękopisy ekonomiczno-filozoficzne z 1844 r., Dzieła*, T. 1, str. 575-576.
6. *Przyczynek do krytyki heglowskiej filozofii prawa: Wstęp, Dzieła*, T. 1, str. 473.
7. *Krytyczne uwagi do artykułu Prusaka, Dzieła*, T. 1, str. 493-494.

Młody Marks pragnął rewolucji ale jej społeczną genezę i mechanizm działania odkrył dopiero później. Chociaż nigdy nie wątpił o tym, iż rewolucje wymagają podstawy materialnej, w młodości rolę decydującą przypisywał siłom duchowym, moralnym i intelektualnym, które są w stanie „natchnąć siłę materialną, czyniąc z niej potęgę polityczną". Podczas gdy w wieku dojrzałym Marks sądził, iż rewolucja jest nieunikniona, gdyż jest zdeterminowana prawami ekonomiki i społecznej dynamiki, w wieku młodzieńczym łączył nadzieję „emancypacji człowieka" z rewolucją moralną i intelektualną lub co Engels w tym samym mniej więcej okresie nazywał „obudzeniem samowiedzy". W liście do Rugego opublikowanym w *Deutsch-Französische Jahrbücher* (w lutym 1844 roku) Marks pisał:

> Nasze zadanie polega na tym, by całkowicie zdemaskować stary świat i dokonać pozytywnej pracy dla ukształtowania nowego świata. Im więcej czasu wydarzenia pozostawiają myślącej ludzkości na uświadomienie sobie swego położenia, a cierpiącej na skupienie swych sił — tym doskonalszy będzie produkt, który wyjdzie na świat z łona teraźniejszości[8].

Humanistyczne i moralne koncepcje młodego Marksa zostały wydobyte z zapomnienia przed niewielu laty, w czym główną zasługę mają uczeni świata zachodniego. Początek dał Heinrich Popitz, uczeń Jaspersa, a obecnie jeden z czołowych niemieckich socjologów, który w książce *Der entfremdete Mensch* (Człowiek Wyobcowany), wydanej w 1953 roku, po raz pierwszy przypomniał młodzieńcze filozoficzne koncepcje autora *Kapitału*. Od tego czasu problematyka jednostki w filozofii Marksa zrobiła karierę. Urosła długa lista studiów krytycznych i historycznych poświęconych tej problematyce a na liście tej widnieje również esej Ericha Fromma *Marx's Concept of Man*[9]. Fromm, psycholog społeczny, praktykujący psychoanalityk, egzystencjalista i Zen-buddysta w jednej osobie, którego znajomość Marksa jest natomiast skromna, wielce ponoć wpłynął na poglądy Schaffa[10]. Również rewizjonizm w obrębie bloku państw socjalistycznych, w szczególności w twórczości Ernsta Blocha[11], nawracał do poglądów młodego Marksa i z nich czerpał obficie w krytyce ortodoksyjnej doktryny oraz polityki partii komunistycznych.

Albowiem oficjalni partyjni interpretatorzy w krajach socjalistycznych stanęli na diametralnie przeciwnym stanowisku i do młodzieńczej twórczości Marksa ustosunkowali się negatywnie. Traktują oni młodzieńcze pisma Marksa jako niedojrzałe i nieudane próby rozwiązywania problemów przekraczających jego ówczesne siły. Pisma młodzieńcze zasługują na uwagę jedynie ze względów historycznych, gdyż autentyczna doktryna Marksa krystalizuje się dopiero później znajdując swój klasyczny wyraz w *Kapitale* i filozoficznych pracach Engelsa, przede wszystkim w *Anti-Duhringu*. Z okazji krytyki poglądów Leszka Kołakowskiego Schaff zabrał głos w dyskusji nad „młodym Marksem" i stanął po stronie ortodoksyjnej oficjalnej interpretacji. Pisał on wówczas, iż jest tylko „jedna droga racjonalnej analizy okresu młodomarksowskiego: w kontekście rozwoju Marksa w świetle jego ewolucji, która staje się widoczna z wyżyn jego wieku dojrzałego". Ta metoda wywodzi się z zalecenia samego Marksa, by wyższe etapy rozwoju brać zawsze za punkt wyjścia rozumienia etapów niższych[12].

8. *Listy z „Deutsch-Französische Jahrbücher"*, *Dzieła*, T. 1, str. 415.
9. New York, 1961.
10. *Marksizm a jednostka ludzka*, str. 56, przyp. 28.
11. *Das Prinzip Hoffnung*, Frankfurt, 1959.

W swej ostatniej książce Schaff zrewidował pierwotne stanowisko i broni obecnie tezy, iż socjologiczne, ekonomiczne i polityczne poglądy Marksa w okresie dojrzałości są w pełni zrozumiałe dopiero w świetle jego prac polemicznych i filozoficznych z okresu młodzieńczego. Jak pisze, ten punkt widzenia posiada ogromną doniosłość heurystyczną.

> Nie głosi się bzdurnej tezy o dwóch, marksizmach ani równie bzdurnej o jednym niezmiennym marksiźmie, lecz tezę umiarkowaną a jednocześnie płodną, że Marks zmieniał w toku swego rozwoju i problemy badawcze i sposób oraz styl ich stawiania i rozwiązywania. Ale ponieważ zachował na wszystkich etapach swego rozwoju jako główny cel badań i działania sprawę wyzwolenia człowieka, można i należy myśl Marksa dojrzałego interpretować w świetle świadomie w okresie młodości formułowanych założeń i tez jego antropologii filozoficznej. W tej antropologii znajdujemy wyjaśnienie motywów, które skłaniały Marksa do zajęcia się później takimi czy innymi problemami, np. ekonomią; przy jej pomocy znajdujemy klucz do humanistycznej treści późniejszych sformułowań naukowego socjalizmu, np. teorii walki klas czy dyktatury proletariatu[13].

Zasada ciągłości i współzależności poglądów Marksa w różnych okresach jego życia jest podstawowym postulatem metodologii badań historycznych. Dostarcza on sprawdzianów obiektywności i chroni nas przed dowolnościami i zniekształceniami myśli Marksa.

Doktryna Uniwersalnej Alienacji

Pierwszą konsekwencją interpretacji Marksa opartej o postulat ciągłości jest uznanie normatywnej tezy „człowiek jest najwyższą istotą dla człowieka" za najbardziej istotną treść socjalizmu. Drugą konsekwencją jest stwierdzenie prawdy, iż ta istotna treść socjalizmu jest daleka od urzeczywistnienia w państwach socjalistycznych. Również w społeczeństwach socjalistycznych człowiek jest traktowany jako rzecz, siła robocza i część aparatu produkcji, a nie jako cel sam w sobie, istota godna szacunku i

12. *Nowe Drogi*, 13(127)/1959, str. 17-18.
13. *Marksizm a jednostka ludzka*, str. 41-42.

pełnoprawny uczestnik życia zbiorowego. Również w socjalizmie człowiek pozostał istotą poniżoną, osobowością okaleczoną i ograniczoną w swym rozwoju. O jego losie decydują siły bezosobowe, wymogi produkcji, arbitralna wola rządzących i wszechobecny aparat przymusu.

Zdaniem Schaffa przyczyn tego stanu rzeczy należy szukać w metodach rządzenia opartych na błędnych doktrynalnych założeniach. W szczególności błędna jest teza, iż w socjalizmie alienacja jest niemożliwa, gdyż zniesienie własności prywatnej kładzie kres wszelkiej alienacji. Ale kres kapitalizmu wcale nie oznacza, iż muszą zniknąć automatycznie wszelkie formy wyobcowania człowieka. Chociaż dla Marksa było pewnikiem, iż „pozytywne zniesienie własności prywatnej... jest pozytywnym zniesieniem wszelkiej alienacji"[14], doświadczenia państw socjalistycznych dowodzą niezbicie, iż Marks się mylił. Korzenie alienacji sięgają ponadustrojowego gruntu. Z tej przyczyny występuje ona we wszystkich postaciach społeczeństwa socjalistycznego. Jak Schaff podkreśla, „naiwne gaworzenie na temat całkowitego jej zlikwidowania przez rewolucję socjalistyczną, gdy fakty temu przeczą w sposób oczywisty, nie prowadzi na dłuższą metę do celu".

> Można więc tłumaczyć, dlaczego w krajach socjalistycznych alienacja nadal istnieje. Nie można natomiast, a w każdym razie nie należy, przeczyć istnieniu różnych form i postaci alienacji w tych krajach, co można — niestety — wyczytać nieraz nawet w pracach pretendujących do naukowego charakteru...
>
> Znane nam doświadczenia rewolucji socjalistycznej wskazują, że nie ma automatyzmu w likwidacji różnych form alienacji po zniesieniu instytucji własności prywatnych środków produkcji, nawet jeśli idzie o alienację ekonomiczną[15].

Alienacja nie zanika wraz ze zniszczeniem systemu kapitalistycznego, gdyż mrzonką jest przekonanie o obumieraniu państwa i całego aparatu przymusu w społeczeństwach socjalistycznych. Państwo jako przemoc skierowana na wewnątrz narzuca jednostce swą wolę, ogranicza jej swobody, unicestwia jej pragnienia i nadzieje. Orwellowski obraz świata, Schaff pisze, nie jest całkowicie pozbawiony podstaw. Okres kultu jednostki jest historią „potwornej alienacji". W tym okresie siły wytworzone przez człowieka „wyrwały mu się z rąk i jak wroga potęga zaczęły druzgotać i niszczyć swych twórców". Również współczesny „styl ujmowania dyktatury proletariatu", a więc przekonanie rządzących o nieomylności, wymaganie ślepego posłuszeństwa oraz pozbawianie ludzi prawa do samodzielnego myślenia, ma tę konsekwencję, że człowiek czuje się nadal politycznie wyobcowany, poddany woli obcej, która decyduje o jego losach bez jego zgody i wiedzy.

Alienacja przetrwała w socjaliźmie, gdyż wbrew teorii o zniknięciu klas w społeczeństwach socjalistycznych odradzają się w nich różnicujące ludzi podziały społeczne. Raz jeszcze Schaff pod-

14. *Rękopisy ekonomiczno-filozoficzne z 1844 r.*, *Dzieła*, T. 1, str. 578.
15. *Marksizm a jednostka ludzka*, str. 181-182, 193, 274.

pisuje się pod Orwellem i jego satyrycznym powiedzeniem, iż chociaż w państwie socjalistycznym wszyscy są równi, niektórzy są równiejsi od innych. „Społecznie rzecz biorąc", Schaff dodaje pesymistycznie, „wiele rzeczy od tego się zaczyna, ale rzadko na tym kończy". Nic tu nie pomoże przemilczanie faktów, gdyż zamykanie oczu na fakty nie jest w mocy ich zmienić. Chociaż propagandową bzdurą jest twierdzenie przeciwników o istnieniu nowej klasy lub czerwonej burżuazji, prawdą jest jednak, że w państwach socjalistycznych powstaje elita władzy, która korzysta z wielorakich społecznych przywilejów. W stylu życia ludzi dzierżących władzę istnieje rozdźwięk między poglądami a ich własnym życiem. Mówiąc obrazowo, pouczają oni rządzonych o zaletach wody, ale sami piją wino.

Nacjonalizm i rasizm, w szczególności antysemityzm, są dodatkową przyczyną alienacji, przyczyną rzekomo przeniesioną do socjalizmu żywcem z ustroju kapitalistycznego. Pod tym względem Schaff jest nazbyt powściągliwy i nie bardzo prawdomówny. W Polsce antysemityzm ma wpływowych opiekunów i protektorów na najwyższych szczeblach partyjnej hierarchii. Bez ich wiedzy i poparcia antysemityzm nie byłby tolerowany i nie uchodziłby uwagi cenzora. W kraju wiele rzeczy nie funkcjonuje jak należy, ale cenzor działa sprawnie.

Stosunki, na które Schaff się powołuje, by wykazać istnienie alienacji w społeczeństwach socjalistycznych, są dobrze znane. Jest to jednak zasługą Schaffa, iż stwierdził publicznie i autorytatywnie fakty, którym Partia przeczy, których nie chce widzieć i z którymi nie jest przeto w stanie walczyć. Zastrzeżenia budzi natomiast aparat pojęciowy Schaffa i jego koncepcja alienacji. Koncepcja ta jest nie tylko błędna ale i szkodliwa.

Pojęcie alienacji u Marksa

Posługiwaliśmy się dotąd pojęciem alienacji jak gdyby było to pojęcie jasne, proste, elementarne, samo przez się zrozumiałe i nie wymagające przeto definicji. Tak jednak nie jest. Słowo „alienacja" jest terminem wieloznacznym, nie ostrym, metaforycznym, w którym upodobali sobie hegliści, egzystencjaliści i marksiści spod znaku Hegla, Sartre'a i innych kapłanów współczesnego irracjonalizmu. Schaff nie zrobił żadnego wysiłku, by termin „alienacja" jakoś ujednoznacznić i nadać mu nieco pojęciowej precyzji. Wydaje się jak gdyby czuł się doskonale na tym grząskim metafizycznym gruncie i nie miał zastrzeżeń pod adresem karkołomnych spekulacji wokół alienacji.

„Alienacja" *(Entäusserung)* i „wyobcowanie" *(Entfremdung)* są terminami heglowskimi, ściśle związanymi z jego systemem metafizycznym. Należałoby je wprawdzie odróżnić, gdyż w systemie Hegla nie są one synonimami. To rozróżnienie można jednak pominąć, ponieważ subtelności heglowskie są zbędne w tym kontekście i interesowałyby tylko specjalistów.

Mówiąc w wielkim skrócie, według Hegla rzeczywistość społeczna i historyczna jest wytworem duchowej działalności człowieka. Chociaż jest ona jego dziełem, jednak jest w stanie wyzwolić się spod kontroli człowieka, usamodzielnić się i przeciwstawić swemu twórcy. Gdy wytwory ludzkiej działalności usamodzielniają się i zdobywają władzę nad człowiekiem, stają się one wówczas w stosunku do niego siłą obcą i destruktywną. Dzieje się tak na skutek tego, iż w „dziejach powszechnych powstaje w wyniku działalności ludzkiej jeszcze coś innego niż to, co ludzie zamierzają i osiągają; co innego niż to, o czym bezpośrednio wiedzą i czego chcą"[16]. Chociaż ludzie pragną zaspokoić własne partykularne interesy, jednak przez to urzeczywistniają rzeczy wprawdzie zawarte w ich działaniu ale pozostające poza ich świadomym zamierzeniem. Te działania ludzi i ich usamodzielniające się wytwory są jednocześnie narzędziami i środkami ducha świata *(Weltgeist)* i służą spełnieniu jego celów. Oznacza to przeto, jak Hegel podkreśla, iż w dziedzinie ducha rozwój jest walką *Weltgeistu* z samym sobą. „Duch jest sam w sobie swym własnym przeciwieństwem; musi on przezwyciężyć sam siebie, jako prawdziwą, wrogą sobie przeszkodę"[17]. Dzieje powszechne służą duchowi świata za widownię na której ogląda się jako rzeczywistość i dochodzi do samowiedzy o sobie. W ten sposób znosi on alienację i przezwycięża wyobcowanie.

To metafizyczne pojęcie alienacji w sensie Hegla młody Marks próbował zastosować do analizy struktur społecznych, które pojmował jako wytwory społecznego działania i wzajemnego oddziaływania ludzi żyjących w społeczeństwie. Dwa różne pojęcia alienacji można wyróżnić w jego pismach młodzieńczych. Pierwsze z nich znajdujemy głównie w *Rękopisach ekonomiczno-filozoficznych z 1844 r.*, gdzie alienacją jest proces uprzedmiotowienia pracy produkcyjnej i jej wytworów w nieludzką, obcą, poza ludźmi istniejącą siłę, która stawia im opór, panuje nad nimi, określa ich wolę i wywraca wszystko na opak. „Przedmiot", Marks pisze, „który praca wytwarza, jej produkt, przeciwstawia się jej jako jakaś obca istota, jako siła niezależna od wytwórcy".

> Alienacja robotnika we własnym produkcie oznacza nie tylko to, że jego praca staje się przedmiotem, bytem zewnętrznym, lecz i to, że istnieje poza nim, niezależnie od niego, jako coś obcego i że staje się wobec niego samodzielną potęgą, że życie, które dał przedmiotowi, przeciwstawia mu się wrogo i obco[18].

Alienacji produktu pracy towarzyszy alienacja procesu pracy („wyobcowanie" jest tutaj właściwszym terminem) i związane z nią destrukcyjne procesy niszczące robotnika i całe społeczeństwo.

16. Hegel, *Wykłady z filozofii dziejów*, Warszawa, PWN, 1958, T. 1, str. 42.
17. Hegel, *Wykłady z filozofii dziejów*, T. 1, str. 83.
18. *Rękopisy ekonomiczno-filozoficzne z 1844 r.*, *Dzieła*, T. 1, str. 547, 548.

> Wyobcowanie robotnika w jego przedmiocie wyraża się według praw ekonomicznych w ten sposób, że im więcej robotnik produkuje, tym mniej może konsumować, im więcej tworzy wartości, tym bardziej staje się bezwartościowy, wzgardzony, im piękniejszego kształtu jest jego produkt, tym bardziej kaleki jest robotnik, im bardziej cywilizowany jego produkt, tym bardziej barbarzyński staje się on sam, im bardziej rośnie potęga pracy, tym bardziej bezsilny staje się robotnik, im większej inteligencji wymaga praca, tym bardziej tępy i ujarzmiony przez przyrodę staje się sam robotnik.
>
> Ekonomia polityczna zataja wyobcowanie zawarte w istocie pracy przez to, że nie rozpatruje bezpośredniego stosunku między robotnikiem (pracą) a produkcją. Bo w istocie rzeczy praca stwarza cuda dla bogatych, a dla robotnika nędzę. Wznosi pałace, a dla robotnika nory. Stwarza piękno, a robotnika czyni kaleką. Zastępuje pracę maszynami, ale część robotników wprzęga na powrót w jarzmo barbarzyńskiej pracy, a z drugiej zaś części robi maszyny. Tworzy bogactwa duchowe, a robotnikowi niesie tępotę i kretynizm[19].

Młody Marks wywodził alienację z systemu własności prywatnej i w związku z tym oczekiwał, iż kres alienacji zbiega się ze zniesieniem własności prywatnej. Albowiem jeśli w kapitalistycznym społeczeństwie wszystkie cząstkowe alienacje — w stosunkach rodzinnych i międzyosobniczych, w dziedzinie prawa, polityki, moralności lub religii — są odblaskiem i skutkiem wyobcowanej pracy, wraz ze zniesieniem własności prywatnej zniknąć muszą jej różnorodne konsekwencje społeczne. Ponadto, według pierwotnej marksowskiej koncepcji alienacji, religia, rodzina, państwo, prawo, moralność, nauka, sztuka, i td. są tylko szczególnymi sposobami produkcji, to znaczy, wytworami twórczej działalności człowieka. Jako takie, są podporządkowane temu samemu prawu, jakiemu podlega praca produkcyjna.

Ale obok metafizycznego pojęcia występuje u młodego Marksa również socjologiczne pojęcie alienacji. Marks rozumie przez nią destrukcyjne dla osobniczej i społecznej świadomości następstwa podziału pracy, który „człowieka ujarzmia miast tego by on panował nim".

> Gdy bowiem praca zaczyna być podzielona, każdy ma pewien swój wyłączny, określony krąg działalności, który jest mu narzucony, z którego nie może się on wydostać... To utrwalanie się działalności społecznej, to konsolidowanie się naszego własnego wytworu w rzeczową nad nami władzę — która przerasta możliwości naszej kontroli, krzyżuje nasze oczekiwania, niweczy nasze rachuby — jest jednym z głównych momentów w dotychczasowym rozwoju historycznym[20].

Podział pracy stwarza wzajemną zależność od siebie ludzi, między którymi praca jest podzielona, co z kolei umożliwia rozwój sił wytwórczych, ale jednocześnie ustanawia sprzeczność interesów jednostkowych i ogólnych, a wraz z tą sprzecznością

19. *Rękopisy ekonomiczno-filozoficzne z 1844 r.*, *Dzieła*, T. 1, str. 549-550.
20. *Ideologia Niemiecka*, *Dzieła*, T. 3, str. 35.

również podziały na klasy, uwarunkowane przez podział pracy. „Podział pracy podnosi produkcyjną siłę pracy, bogactwo i cywilizację społeczeństwa; zarazem zuboża on robotnika, spychając go do poziomu maszyny"[21]. Z podziału pracy wyrasta podział na klasy społeczne, z których jedna rządzi wszystkimi innymi. Wynika to stąd, jak Marks wyjaśnia, że wszystkie walki w łonie państwa, między demokracją a monarchią, burżuazją a arystokracją, walki o prawa wyborcze, o skrócenie czasu pracy i wszystkie inne konflikty społeczne, są tylko „iluzorycznymi formami w których się toczą rzeczywiste walki różnych klas między sobą". Ale o tym ludzie uczestniczący w walkach i konfliktach społecznych nie wiedzą i żywią różnorodne złudzenia co do przyczyn, sił i czynników określających ich życie.

> Siła społeczna, tzn. uwielokrotniona siła wytwórcza, powstająca dzięki uwarunkowanemu przez podział pracy współdziałaniu różnych jednostek, przedstawia się tym jednostkom — wobec tego, że samo to współdziałanie nie jest dobrowolne, ale zrodzone żywiołowo — nie jako ich własna zjednoczona siła, lecz jako obca, poza nimi istniejąca moc, o której nie wiedzą, skąd płynie, ani dokąd zmierza, nad którą więc nie mogą już panować[22].

Schaff nie rozróżnia tych dwóch pojęć alienacji, a w szczególności nie dostrzega różnicy między alienacją w sensie metafizycznym i socjologicznym. Przez alienację rozumie on „panowanie tworów człowieka nad człowiekiem" lub „usamodzielnianie się tworów człowieka od swego twórcy, autonomizację ich funkcjonowania, która podporządkowuje człowieka rzeczom". Alienacja jest „synonimem żywiołowości rozwoju społecznego". Mówimy o alienacji, gdy obrót towarów na rynku, wyścig zbrojeń między państwami, nastroje nacjonalizmu, nienawiści rasowej, nietolerancji religijnej i tp. „ujarzmiają jednostkę zagrażając nawet jej egzystencji, ograniczając tym samym jej wolność". Walka przeciw alienacji jest więc walką „przeciw żywiołowości rozwoju... inaczej mówiąc, jest to walka o wolność człowieka, wolność nie pozorną, lecz rzeczywistą, gdy człowiek staje się świadomym kowalem swego losu"[23].

Schaff oznacza terminem „alienacja" tak wielką liczbę tak różnorodnych zjawisk, iż pozbawia ten termin określonego sensu. Gdy jakieś słowo oznacza wszystko, wówczas nic ono nie znaczy. Na domiar złego „alienacja" zachowuje u Schaffa swój pierwotny metafizyczny sens i wymiar, obcy socjologicznemu pojęciu alienacji u Marksa. Schaff traktuje rzeczy, wytwory ludzkich działań, w sposób antropomorficzny, to znaczy przypisuje im właściwości, które tylko świadome istoty ludzkie mogą posiadać. Jest to maniera Hegla i współczesnych egzystencjalistów. Do nich, a nie do Marksa, Schaff nawiązuje, gdy definiuje alienację

21. *Rękopisy ekonomiczno-filozoficzne z 1844 r.*, *Dzieła*, T. 1, str. 508.
22. *Ideologia Niemiecka*, *Dzieła*, T. 1, str. 36-37.
23. *Marksizm a jednostka ludzka*, str. 150, 153.

antropomorficznie i tak szeroko, iż niemal każde zjawisko społeczne pod nie podpada lub daje się pod nie podciągnąć. Nie różniąc się co do zakresu od pojęcia zła społecznego lub tego co dana zbiorowość za zło społeczne uznaje, pojęcie alienacji jest dzięki swej ogólnikowości użyteczne w metafizycznych sporach, w publicystycznych utarczkach lub w retorycznych turniejach. Ale nie ma ono zastosowania w trzeźwej analizie lub konkretnych, empirycznych badaniach socjologicznych. Marks musiał uświadomić sobie, iż heglowskie pojęcie alienacji jest dla jego celów bezużyteczne, gdyż terminu i pojęcia alienacji, w jego metafizycznym sensie, nie można znaleźć w jego późniejszych dziełach.

Marks był i pozostał świadom destruktywnych skutków podziału pracy, ale jednocześnie uznał, iż podział pracy jest niezbędnym warunkiem rozwoju gospodarczego i społecznego. W związku z tym błędem jest przypisywać Marksowi utopijną wiarę, iż w społeczeństwie komunistycznym ustanie podział pracy, człowiek nie będzie czuł się pod żadnym względem wyobcowany i sprawować będzie nieograniczoną kontrolę nad własnym i społecznym losem. Po napisaniu *Ideologii Niemieckiej* Marks nigdy nie wyraził poglądu, iż podział pracy może zaniknąć i być zastąpiony przez swobodną twórczość. Co najwyżej oczekiwał, iż w społeczeństwie planującym i świadomie regulującym procesy produkcji człowiek będzie mniej uzależniony od podziału pracy i wyzwoli się w pewnej mierze od niewolniczego podporządkowania jego ograniczającym wymogom. Schaff myli się zarzucając Marksowi, że ten oczekiwał zniesienia alienacji w komuniźmie i że przeto jego wywody „brzmią utopijnie" lub że zawierają *„residua* socjalizmu utopijnego". Jeśli pominiemy pisma młodzieńcze, trudno byłoby znaleźć wypowiedź Marksa uzasadniającą powyższe twierdzenie. Alienacja w sensie socjologicznym jest następstwem procesu pracy, a bez pracy życie społeczne musiałoby szybko zamrzeć i człowiek popaść ponownie w stan barbarzyństwa.

Konsekwencje alienacyjnej inflacji

Błąd Schaffa dotyczy nie tylko spraw związanych z interpretacją myśli Marksa. Ma on również następstwa dla trafnej diagnozy stosunków społecznych w państwach socjalistycznych.

Posługując się metafizycznym pojęciem alienacji oraz wyprowadzając ją z ponadustrojowych źródeł, Schaff mimowoli przysłania te procesy społecznej dezorganizacji, które są skutkiem zamierzonym i wynikiem świadomej politycznej decyzji. Na przykład, wiemy o tym, iż rozległa siatka dobrowolnych powiązań społecznych średniego rzędu, realizujących cele ekonomiczne, społeczne, kulturalne lub polityczne, oraz pośredniczących między jednostką a państwem i jego aparatem władzy, spełniają w życiu społeczeństwa niezmiernie ważną rolę. Mowa jest o zbioro-

wościach lokalnych, o organizacjach zawodowych, profesjonalnych lub charytatywnych, o samorządzie, prasie prowincjonalnej, klubach, i tp., innymi słowy o tych formach społecznej więzi, jakie ludzie tworzą z własnej inicjatywy i jakie stanowią ogniwo pośrednie między sferą życia prywatnego i publicznego. W takich grupach kształtuje się opinia, krystalizują się stanowiska i toczą się dyskusje dotyczące spraw istotnych dla całej zbiorowości. One kształtują wzory postępowania, wzmacniają węzły społecznej solidarności, wprowadzają sankcje moralnej pochwały i nagany oraz w ogólności sprawują liczne funkcje społecznej kontroli i integracji. Jednostka znajduje w tych grupach oparcie, w szczególności w wypadkach zatargu lub konfliktu z aparatem władzy. Rozmyślne zniszczenie lub rozkład więzi grupowych średniego rzędu ma więc te następstwa, iż zanika niezależna opinia, słabnie solidarność, działanie norm moralnych i innych środków społecznej kontroli, rośnie obojętność i niechęć angażowania się w sprawy publiczne. W związku z dezorganizacją i rozpadem tych zbiorowości następuje atomizacja społeczeństwa, to znaczy, brak identyfikacji jednostki z całością oraz celów indywidualnych z celami ogółu.

Ale rządy totalitarne i autokratyczne niszczą wspomniane zbiorowości i powiązania organizacyjne średniego rzędu właśnie dlatego, iż są one ochroną jednostki, bronią jej przed arbitralnymi decyzjami państwa, przeciwstawiają się aparatowi przymusu i ograniczają autokratyczne metody rządzenia. Zniszczenie organizacji pośredniczących między jednostką a państwem pozbawia jednostkę ochrony przez samowolą rządzących, wzbudza lęk, zniechęca do oporu, jest przyczyną poczucia bezsiły i bezsensowności wszelkich jednostkowych wysiłków, które niczego zmienić nie są w stanie. To jest typowa „sytuacja alienacyjna". Nie jest ona skutkiem ponadustrojowych procesów społecznych a wytworem działań zamierzonych, mających rzekomo umacniać socjalizm. W rzeczywistości wykopują przepaść między państwem a obywatelem, jednostką a społeczeństwem, sprzyjają szerzeniu się frustracji, poczucia osamotnienia, postaw obojętności i bierności w stosunku do wszystkiego, co wykracza poza wąski krąg spraw osobistych i dotyczy dobra zbiorowego. Nie tylko maszyna może ujarzmiać, kaleczyć i pozbawiać człowieka sensu życia. Tę krzywdę zadać może również człowiek człowiekowi. Małostkowy, nienawistny, jątrzący, codzienny despotyzm jest skutecznym środkiem wyobcowania ze społeczeństwa, niezależnie od tego czy jest to społeczeństwo kapitalistyczne czy też społeczeństwo socjalistyczne.

Przyczyny ideologicznego potępienia

Te zastrzeżenia i krytyczne komentarze nie zmieniają w niczym faktu, iż Schaff napisał książkę politycznie doniosłą i odważną.

Może ona oznaczać dla Schaffa zmierzch kariery w Partii ale i osobiste moralne zwycięstwo.

Była już o tym mowa, iż *Marksizm a jednostka ludzka* nie jest co do zawartości pracą oryginalną. W europejskiej skali czasu jej autor tkwi intelektualnie w przeszłości i jest współczesnym socjalizmowi z lat czterdziestych ubiegłego wieku, socjalizmowi Paryża sprzed rewolucji lutowej. Jego przyszłość jest przyszłością dnia wczorajszego; czyta się go jakby był Juliuszem Verne polskiego socjalizmu. Jest on człowiekiem postępu i otwartych, szerokich horyzontów umysłowych w relatywnym sensie, to znaczy w stosunku do swych intelektualnie nierozgarniętych towarzyszy partyjnych. Wolność ceni on tak wysoko, iż nie chce jej pospolitować uznając prawo do niej wszystkich. Słuszność według niego ma polityk ograniczający wolność słowa i myśli. „Biorąc pod uwagę społeczne implikacje nauki i sztuki, hasło ich absolutnej wolności nie tylko *nie może* lecz *nie powinno* być realizowane w praktyce. Bowiem społecznie rzecz biorąc, realizacja tego hasła byłaby szkodliwa"[24].

Ujawnienie faktu, iż również w socjalizmie ludzie nadal boją się śmierci i pragną szczęścia, iż władza deprawuje zawsze i wszędzie a przymus rodzi agresję, iż zróżnicowanie i przywileje społeczne odradzają się po zniszczeniu dawnych klas i elit oraz że państwo i cały aparat przymusu nie obumierają w socjalizmie — wszystkie te stwierdzenia są banalną prawdą i żaden wysiłek wyobraźni nie jest w stanie jej przekształcić w wiekopomne odkrycie. Przeto nie zawartość książki ale miejsce jej wydania i polityczna afiliacja autora przyciągają do niej uwagę i stanowią o jej wartości. To także częściowo wyjaśnia zainteresowanie jakim książka się cieszy. Jak często w sprawach politycznych, nie treść hasła ale osoba hasło podejmująca ma decydujące znaczenie. Wreszcie z tej również przyczyny *Marksizm a jednostka ludzka* jest aktem niezależności przekonań, zasługujących na uznanie i podkreślenie.

Jak wiadomo, KC PZPR zorganizował dyskusję nad książką Schaffa, której stenogram ogłoszono w *Nowych Drogach* w grudniu ub.r. W wyniku tej dyskusji Schaff został postawiony w stan ideologicznego oskarżenia. Wytoczono przeciw niemu nie lada zarzuty. Oświadczono Schaffowi, iż niektóre jego poglądy są „naukowo fałszywe a społecznie szkodliwe"; iż jego książka, pomyślana w samym założeniu błędnie i bez politycznej rozwagi, zawiera poglądy „rozmijające się z prawdą i rzeczywistością społeczną"; iż nie dał on — wbrew zapowiedziom — „odnowionej wizji marksizmu" ale filozofię „w istocie rzeczy obcą marksizmowi i zapożyczoną u obcych, ściślej biorąc zapożyczoną od egzystencjalistów"; iż ugiął się „przed naciskiem ideologicznym sił obcych socjalizmowi" i „zidentyfikował się z atakami przeciw władzy ludowej" prowadzonymi przez jej przeciwników rozmaitego autoramentu. Ten koncentryczny atak podsumował autorytatywnie Ze-

24. *Marksizm a jednostka ludzka*, str. 222. Podkreślenia Schaffa.

non Kliszko w imieniu najwyższych władz partyjnych. Schaff, stwierdził Kliszko, „zbyt pochopnie i powierzchownie, zbyt lekkomyślnie pisał o ważnych sprawach teorii i praktyki". Znalazł się on na drodze odchodzącej od „pryncypialnych zasad marksizmu-leninizmu", dostarczył broni przeciwnikom, oraz popełnił błędy nie tylko na własny rachunek ale również Partii. Wyrażając się z uznaniem o zdolnościach i wiedzy Schaffa Kliszko wypomniał mu jawną niechęć do partyjnej krytyki, brak obiektywizmu w stosunku do wytoczonych zarzutów, polityczną nieodpowiedzialność i zaniedbanie ścisłej więzi z Partią.

Fakt że zasłużony komunista, czołowy partyjny ideolog i członek KC PZPR opublikował w 30.000 egzemplarzach poglądy niezgodne z oficjalną doktryną Partii niestety wystarcza by wyjaśnić zgorszenie i oburzenie, jakim dali wyraz uczestnicy dyskusji nad książką Schaffa. Jeśli do tego dodać tę okoliczność, iż Schaff potwierdził istnienie w społeczeństwach socjalistycznych elity władzy korzystającej z uprzywilejowanej sytuacji społecznej, prowadzącej życie na skalę gorszącą szarego obywatela, ulegającej złudzeniu nieomylności, nie liczącej się ze zdaniem rządzonych, wreszcie patronującej drobnomieszczańskim gustom i antysemickim uprzedzeniom, jasną staje się rzeczą, iż obudził furie i obraził boleśnie ogromną większość swych politycznych towarzyszy. Psychologicznie rzecz biorąc, Schaff popełnił błąd taktyczny. Jeśli było to jego intencją, by zmienić postawę i horyzonty myślowe ludzi zajmujących decydującą pozycję w Partii, powinien był liczyć się bardziej z prawami ludzkiej natury, których zniesienie własności prywatnej również nie zmienia.

Jest jednak znacznie głębsza przyczyna skoncentrowanego ataku i ideologicznego potępienia wydanego na Schaffa przez mandarynów i notabli partyjnych, którzy mu nie oszczędzili poniżającego doświadczenia publicznej rozprawy ideologiczno-dyscyplinarnej. Artur Starewicz i Jerzy Wiatr dostarczyli klucza do zrozumienia tego wydarzenia. Starewicz wspomniał o tym, iż do głosu i wpływu dochodzi obecnie pokolenie, dla którego ukształtowanie nowego oblicza duchowego człowieka, nowej świadomości i nowej moralności jest sprawą pierwszorzędnej wagi. To nowe pokolenie jest życzliwie ustosunkowane do krytyki stosunków społecznych w państwach socjalistycznych z punktu widzenia „burżuazyjnego liberalizmu" i „wolnościowej mitologii" jakim Schaff ma rzekomo hołdować[25]. Bardziej otwarta i rewelacyjna pod tym względem była wypowiedź Wiatra. Pomimo swych znanych powiązań politycznych i frakcyjnych, Wiatr mówił z uznaniem o książce Schaffa, gdyż zawiera ona apel do ludzkiej aktywności o pełniejszą realizację idei socjalizmu.

Jestem przekonany, że jest to słuszny kierunek walki ideologicznej, szczególnie teraz, w trzecim dziesięcioleciu Polski Ludowej. Słuszność takiego podejścia wybija się szczególnie wtedy, kiedy społeczeństwo socjalistyczne okrzepło, kiedy to społeczeństwo socjalistyczne ma za sobą pewną historię.

Mamy oczywiście do czynienia z ciągłym naciskiem wrogiej ideologii, z ciągłym oddziaływaniem różnych koncepcji burżuazyjnych. Jestem ostatni, który by negował istnienie tego frontu walki. Rzecz to bezsporna i poza dyskusją. Front ten istnieje i wymaga od nas czynnego działania.

Ale równocześnie mamy do czynienia z postawami znacznie bardziej masowymi, które polegają na rozbudzeniu właśnie przez nas nadziei i oczekiwań. Rozbudzone nadzieje w pewnych kręgach społecznych, *zwłaszcza wśród młodzieży*, wyrażają się gwałtowną niecierpliwością. Niecierpliwość ta karmi w skrajnych wypadkach postawy nam wrogie, które wymagają zdecydowanego przeciwdziałania. Ale jeżeli pominąć te skrajne wykwity, to w skali bardziej masowej jest to postawa w istocie swej socjalistyczna, a jednocześnie postawa jakiejś niecierpliwości, oczekiwania, by jak najszybciej wszystkie zapowiedzi socjalizmu w całej pełni zrealizować...

Przy takim ujęciu naszych zadań na tym odcinku frontu ideologicznego książka tow. Schaffa ma zasadnicze znaczenie. Gdy często mówi się o osłabieniu postaw ideologicznych, o dezideologizacji, to właśnie tu mamy pewną propozycję aktywnego widzenia ideologicznego problemów społecznych, które może nam dać szersze, pełniejsze mobilizowanie siły twórczej, potencjalnie tkwiącej w masach[26].

25. *Nowe Drogi*, 12(199)/1965, str. 112-113.

Książka Schaffa jest przejawem nowej sytuacji społecznej, politycznej i intelektualnej w społeczeństwach socjalistycznych. Ponieważ w kontekście marksizmu-leninizmu głosi rzeczy nowe i w tym sensie zasługuje na miano nowatorskiej, musiała spotkać się z oporem doktrynerów i wszystkich zainteresowanych w utrzymaniu i petryfikacji istniejącego stanu rzeczy. Z tej samej przyczyny spotkała się z entuzjastycznym uznaniem ludzi młodych, którym otuchy i podniety dodała konfrontacja ideałów socjalistycznych z socjalistyczną rzeczywistością dokonana właśnie przez Schaffa. Odkrycie przez niego starych treści socjalizmu, pomijanych w oficjalnej doktrynie, oraz próba zrewidowania teorii i praktyki marksizmu-leninizmu w oparciu o te zapomniane ideały, ma duże znaczenie dla rozwoju wydarzeń w kraju i być może w całym bloku sowieckim. Ponieważ *Marksizm a jednostka ludzka* jest ideologiczną analizą sytuacji w krajach socjalistycznych, w miarę upływu czasu może ona przyczynić się do skrystalizowania postaw światopoglądowych i politycznych w opinii publicznej oraz pobudzić do bardziej nowoczesnej orientacji i sposobów myślenia w Partii. Albowiem niezbędnym krokiem do naprawy obecnego stanu rzeczy, który niepokoi wszystkich, niezależnie od tego co mówią na użytek publiczny, jest to, co Marks nazywał „reformą świadomości", to znaczy, wyjaśnienie sobie sensu własnych myśli i pragnień oraz nadanie im słownej formy.

Zbigniew A. JORDAN

26. *Nowe Drogi*, 12(199)/1965, str. 78-79.

Notatnik nieśpiesznego przechodnia

NIEZDECYDOWANIE PANI BARBARY

Niezdecydowanie uchodziło zawsze za przywarę, za ułomność, brak uzdolnienia niezbędnego do jakiegokolwiek działania. Brak ten uderza szczególnie u szlachcianki, żony powstańca i matki dziewczyny, przygotowującej się do udziału w nowej fali czynów zbrojnych.

Rys ten nie był obcy autorce *Nocy i dni,* co tłumaczy w pewnej mierze, dlaczego przeniosła go na główną bohaterkę swej powieści i oświetliła jego różnorodne aspekty.

W klimacie, w jakim powstały *Noce i dnie,* zagadnienie niezdecydowania posiadało szczególną aktualność. Był to okres wojen, w których Europejczycy — jak niegdyś Ateńczycy i Spartanie — podejmowali szalone decyzje, stawiając wszystko na jedną kartę i przegrywając w ostatecznym wyniku przyszłość swego kontynentu. W klimacie tym decyzja przybierała pozory czynnika nadrzędnego w stosunku do gry innych sił i mogącego — jak *deus ex machina* — pokrzyżować wszystkie rozsądne obliczenia. Decydujący się stwarzał fakt dokonany, do którego inni musieli się dostosowywać. Wdrożony w ten sposób czyn miał stwarzać po drodze warunki, niezbędne do jego dopełnienia się.

Jakie miejsce przypadało w tych okolicznościach niezdecydowanemu? Brakło mu geniusza czynu, bez którego w pospolitej grze sił Polacy wydawali się z góry przegrani. Z ułomnością taką mężczyznom było nie do twarzy. Dlatego zapewne Maria Dąbrowska, pomijając męskie postacie swej powieści, nadała ten rys kobiecie. Zgodnie z klimatem epoki, wiernie skąd inąd oddanym w *Nocach i dniach,* niezdecydowanie pani Barbary pociągnęło za sobą natychmiastową karę w postaci „wiecznego zmartwienia".

Pani Barbara pozostaje jednak najbliższą, ulubioną postacią

autorki, starającej się ją zrozumieć i wytłumaczyć. Broni jej aż do uniewinnienia przez przyznanie niezdecydowaniu pewnej ograniczonej użyteczności. „Kiedy w grę wchodziły jakieś wątpliwości sumienia — mówi Bogumił — Barbara miała zawsze pewne wyczucie, jak przystoi postąpić. Sama potem co prawda podawała swe zdanie w wątpliwość, ale on już wtedy wiedział, czego się trzymać". (III, 29).

Argumenty przemawiające za życzliwszą oceną niezdecydowania pani Barbary można podzielić na kilka grup. Do pierwszej należą argumenty natury ogólnej, wynikające z nieznajomości rzeczy przyszłych oraz trudności przewidzenia następstw decyzji i nawet zorientowania się we własnych uczuciach wśród zmiennych okoliczności.

Pamięć ostatniego powstania, które w środowisku pani Barbary oceniano ujemnie, była stałą przestrogą przed nieprzemyślanymi decyzjami. Lecz myślenie o nich nie zmieniało zasadniczych danych zagadnienia; przyszłość pozostawała nieznana. „Skąd wiedzieć — pyta pani Barbara — co jest przyczyną, co skutkiem, czy źle mu dlatego, że chory, czy chory dlatego, że mu źle żyć?" (II, 5). Ma wrażenie, że nie przewidziała skutków nawet najważniejszej decyzji, mianowicie swego małżeństwa: „Byłam głupia. Zdawało mi się, że być panną w magazynie, to nie dla mnie — że tego nie przetrzymam. Uważałam, że wyjście za mąż jest czymś najwięcej pochlebnym dla kobiety. A nad tym się nie zastanowiłam, żem przecie nie poszła na coś lepszego". (I, 5). Odtąd dla pani Barbary każda decyzja zawiera w sobie możliwość groźnych omyłek. Gdy Bogumił zamierza porzucić dotychczasową pracę i wziąć dzierżawę, mówi: „Niech teraz się okaże, że ten Serbinów to mrzonka, wrócisz — a tu już miejsca dla ciebie nie będzie. To może mam się cofnąć? — pyta Bogumił. — Lecz pani Barbara bała się i tu zostać i tam jechać". (I, 12).

Wynikając z ogólnych przesłanek, podobne wątpliwości nawiedzają również inne postacie *Nocy i dni.* Żadna z nich — prócz może studentów, przygotowujących się do rewolucji i walki czynnej — nie przeciwstawia się bezpośrednio niezdecydowaniu pani Barbary; wszystkie w mniejszym lub większym stopniu biorą udział w ogólnym *valse-hésitation.*

Pani Barbara ma jednak prócz tego swą własną przyczynę niezdecydowania, której nie dzieli z innymi. Jest nią letniość uczuć, brak głębszego zaangażowania. Z rysem tym zapoznajemy się już z okazji jej małżeństwa. Pani Barbara nie jest pewna swych uczuć dla człowieka, którego ma poślubić. Pisze o nim do siostry: „Z panem Bogumiłem dotąd jeszcze nic nie postanowiłam, boję się, bym później nie żałowała, choć gdyby mnie kto zapytał, czy go kocham, musiałabym powiedzieć, że często czuję dla nie-

go coś więcej niż życzliwość. Lecz przytłumić tę życzliwość, a nawet zapomnieć o niej przychodzi mi z wielką łatwością. Przecież stłumiłam tysiąc razy mocniejsze uczucie". (I, 3). Jest to aluzja do jej pierwszej miłości, do której potem powraca często myślą, widząc w niej jedyny wypadek swego zaangażowania uczuciowego, nie dość zresztą silnego, aby mogła mu była dać wyraz dostrzegalny dla przedmiotu swego uczucia.

Nawet po zapadnięciu decyzji, w przeddzień ślubu, nie jest pewna własnych uczuć. „Gdyby szło tylko o miłość — skarży się siostrze — wiedziałabym, jakie mam słowo powiedzieć. „Nie" — byłoby to słowo. Ale ślub wesele, małżeństwo — z tym się łączy tyle różnych dodatkowych rzeczy, które człowieka bałamucą i nie dają mu rozpoznać swych uczuć. Przy tym zdaje mi się, że jeśli się teraz cofnę, to już nikt więcej nie będzie się chciał ze mną ożenić. A żyć samemu z własnej woli — niekiedy mi się ta myśl podoba. Lecz gdy tylko się na to zdecyduję, wnet mi żal tego, czego się wyrzekłam, i na odwrót pragnę żyć tak jak wszyscy". (I, 3).

Nawet po kilkunastu latach wspólnego życia uczucia jej dla Bogumiła pozostają letnie. W miłości — mówi — jestem jego dłużnikiem. Bogumił ze swej strony myśli, że ta „surowa, markotna kobieta o srebrzystych oczach" byłaby najlepszą kochanką, i ubolewa, że nie potrafił obudzić w niej żywszego uczucia. (III, 20).

Przywiązanie do rodziny, do matki i ukochanej siostry nie wydaje się głębokie. Bardzo luźne są również więzie, łączące ją z jej środowiskiem społecznym. Pani Barbara wyszła z zubożałej szlachty, ciągnącej wówczas do miast. „Dla tych, co utracili pozycję na wsi — tłumaczy jej kuzynka — jest jedna tylko droga — miasto... Stoimy tu w pierwszym szeregu, służymy nowym ideom, nauce, postępowi". (I, 8). Ale aspiracje społeczne pani Barbary są również letnie.

„Pani Barbara była demokratką wobec wyżej od siebie postawionych i paru bogatym ziemianom, których zdarzyło się jej spotkać, mówiła bez ogródek, co myśli o strupieszałej warstwie szlacheckiej. Natomiast, rozmawiając ze służbą lub chłopami, wyrzucała im brak zaufania do dworu i broniła przed nimi ziemiaństwa. W jednych i drugich denerwowała ją niewzruszona pewność słuszności wyznawanych zasad czy też przesądów stanowych, niemożność wyjścia poza nie, co ją obu tym światom robiło po trosze niechętną". (III, 13).

Pewnego lata stara działaczka socjalistyczna, aby zejść z oczu policji, przyjechała do pani Barbary „na kondycję" jako nauczycielka i w wolnych chwilach zaczęła odwiedzać czworaki i chaty okolicznych chłopów. Pani Barbara nie dała się jednak namówić

do udziału w tych wędrówkach. „Bo u niej hamulce, które powstrzymywały pannę Marię dopiero przed szerzeniem haseł rewolucyjnych, zaczynały działać o wiele wcześniej... Swojego stanowiska nie uważała za zbawczy posterunek, upoważniający do wtrącania się w życie niżej postawionych. Czuła potrzebę ofiarności, ale nie śmiała z tym iść do ludzi, aby ich nie upokorzyć, że przychodzi z racji swego nieznacznego co prawda, lecz zawsze wywyższenia". (III, 20).

Silnie przeżywane wówczas w jej środowisku uczucia patriotyczne zapalają się w niej na krótko słabym płomieniem, zazwyczaj z jakiejś ubocznej okazji. Wybacza Bogumiłowi jego zdeklasowanie, bo utracił majątek w powstaniu. Uważa za obowiązek opiekowanie się jego chorym umysłowo stryjem, bo był powstańcem. Chwilami jednak nie jest pewna, czy Polacy zasłużyli na lepszy los.

Pani Barbara pochodziła z rodziny katolickiej, słabo praktykującej. „Sądziła, że nie wierzy w dogmaty, ale znała właściwie tylko ich potoczną, zdawkową wersję; w gruncie rzeczy nie zagłębiała się nigdy w te sprawy". (IV, 13). Były to czasy pozytywizmu, którego dalekie echa dosłyszeć można w następującym wyznaniu: „Raz, nie tak dawno, przeżyłam taką chwilę, kiedy mi się, nie to zdawało, ale byłam wprost pewna, że nie ma żadnej duszy. Zdjęła mnie zgroza, przyznaję. Ale potem nie miałam czasu, nie wracałam już więcej do tego, więc ta pewność chyba we mnie została". (IV, 13).

W pewnej chwili mówi do siebie: „Ty, której przeznaczeniem jest nic nie przeżywać"... (I, 19).

Życie wydaje się chwilami pani Barbarze bezbarwne. Stąd zapewne pochodzą jej przychylne oceny wszystkiego, co — bez potrzeby decyzji — przybiera pozory ucieczki. Oto jej reakcja na zmianę miejsca pobytu: „Pili herbatę w zajeździe, a jak przedtem zdawało się jej, że nie ma na świecie rzeczy, co by mogła jej życie uczynić na powrót cenne, tak teraz miała wrażenie, że wystarcza być w drodze, pić herbatę w zajeździe i pokazywać komuś znane widoki, aby czuć się w pełni szczęśliwą". (I, 14).

Pozory ucieczki miała dla niej także oczekiwana wówczas powszechnie rewolucja. Na wiadomość o rozruchach w Warszawie i zesłaniu znajomego studenta, pani Barbara woła: „Zaczyna się jednak coś ruszać. To chwała Bogu! Chwała Bogu! Dziwna rzecz, dopóki cicho, to się tak jakoś tu na odludziu nie czuje tego jarzma, co nas gniecie. Ale jak usłyszeć o jakimś ruchu, to się ono tak zaraz daje we znaki! Aż człowiekowi dziw, że może je znosić tak długo". I jak bywa z ludźmi, co nie czują się zadowoleni z powszedniego i osobistego życia, wzywała na pomoc dzieje, by jej dały uczuć radosną nicość własnego losu i wielkość sprawy, „której ten los był cząstką". (II, 3).

A czy rewolucja bez zaangażowania pozwala uciec od swego losu? Gdy oczekiwana rewolucja wybuchła w 1905, pani Barbara zaczęła o tym wątpić. „Teraz czuła się może najbardziej złączona ze światem; w drgawkach powszechnego niepokoju nieco wyraźniej czuła, o dziwo, ład i sensowność istnienia. Ale przecie nie podobna żyć wiecznie ekstazą szczęścia, ani wojną czy rewolucją. Może tej niezwykłości wzruszeń, tej wyższej treści, religii czy idei, należało szukać w powszednim toczeniu się nocy i dni?" (IV, 8).

Pani Barbara nie jest zresztą kobietą zbuntowaną. odrzucającą swój los i pragnącą zmiany za wszelką cenę. Życie jej jest zrównoważone; chwile depresji i euforii są w nim rozłożone równomiernie. W zawieszeniu i niezdecydowaniu chwile te przychodzą same, nieproszone jak gdyby i nieoczekiwane. Brak zaangażowania nie ujmuje nic ich urokowi. „Pani Barbara spojrzała w lustro, w które od śmierci dziecka prawie że nie patrzyła, i ujrzała chmurną, jakby nie dość sobie znajomą, ale jakże młodą, jak zniewalająco sympatyczną osobę. Uczuła coś w tym rodzaju, jak by dar, który uważała po wyjściu za mąż za do niczego nie przydatny, a od śmierci syna za bezpowrotnie stracony, został na powrót oddany do jej dowolnego rozporządzenia". (I, 13).

Postawy bierne mają też swe satysfakcje. Matka pani Barbary formułuje tę myśl mówiąc, „że życiem cieszyć się można, gdy przyjdzie na to pora, nie wpływając widomie na jego bieg, nie odgrywając w nim roli, a tylko samemu cicho się w nim tocząc". (I, 21).

Poszukiwanie sensu w dniu powszednim pozwala pani Barbarze wywiązywać się z honorem ze swych obowiązków szlachcianki, gospodarującej na swym folwarku. Dyktowane przez zmiany pór roku i terminy kalendarza, prace te nie wymagają decyzji ani angażowania uczuć, i pani Barbara zdumiewa nas swą energią. „Wydawała rozporządzenia, lecz zanim ktokolwiek zdążył je wykonać, brała się do roboty sama. Miała bowiem uczucie, że prócz niej nikt na świecie nie jest w stanie z niczym zdążyć na czas. A zdążyć na czas było w jej pojęciu być gotowym z każdą rzeczą już na długo przed czasem... Gdy przewidziane zajęcie się kończyło, nadciągały nieprzewidziane, które trzeba było od ręki załatwić. A nigdy się od żadnego z nich nie uchylała, bo niecierpiąc tej całej krzątaniny, nie widziała innego sposobu wyzwolenia się z potocznej roboty, jak by ją co duch wykonać i tym samym uprzątnąć sobie z drogi. Nie można powiedzieć, aby omijała swój nielubiony los życia na wsi, by się od niego chciała wykręcić sianem. Atakowała go na oślep, wychodziła mu gniewnie naprzeciw". (II, 6).

Gospodarstwo pani Barbary w okresie przedświątecznym przypomina trochę pralnię, gdzie w powieści Jacka Londona pracował Martin Eden. I tu i tam ten sam pośpiech, to samo napięcie i ciągłość wysiłku. Są jednak i różnice. Czytając powieść Londona mamy wrażenie, że bohater jego pracował z zaciśniętymi zębami, w ponurej determinacji. Równie wytrzymała, pani Barbara jest bardziej giętka. Pracuje, bo przyszła na to pora, ale nic przedtem nie postanawiała. Mogłaby w każdej chwili odejść, być wolna, gdyby nie wiara w sens dnia powszedniego.

Te nieznaczne na pozór różnice wzrastają w toku powieści, osiągając największą rozpiętość w zakończeniu. Gdy minęły lata napięcia i walki, Martin Eden zeskakuje nocą z pokładu transatlantyku i z uczuciem wyzwolenia patrzy na jego oddalające się światła. Pani Barbara, samotna i opuszczona, uciekając na wózku Szymszela z płonącego Kalisza, zawiera ostatnie przymierze z losem. „Roztaczając przed Szymszelem możliwości, mające się otworzyć przed ludzkością, przywracała do łaski nawet zwykłe, powszednie, domowe sprawy. W momencie najmniej się do tego z pozoru nadającym zawierzyła życiu, w hałasie walenia się wszystkiego i ogólnej niepewności wszystko wydało się jej pewnym i stałym. I gdy Szymszel zapytał ją o dzieci, znalazła naturalnym, że nie wie, co się z każdym z nich dzieje. — Cóż — mówiła wyrozumiale — w czasie wojny zwykła to rzecz, że jedni o drugich nie wiedzą. Tym większa radość jak się potem spotkamy".

Pani Barbara stoi dziś przed nami obca, samotna, nieco nawet zawstydzona. Niezdecydowanie, letniość uczuć, niechęć do angażowania się nie są cnotami naszego wieku.

Trudno sobie wyobrazić, co myślą o niej nowi czytelnicy *Nocy i dni*. Młodsi widzą w niej zapewne zabytek z czasów Polski szlacheckiej. A może jednak pani Barbara daje im coś do myślenia?

Warto więc być może przypomnieć, że pani Barbara miała znakomitych niegdyś antenatów. Już sceptycy greccy za najrozsądniejsze zachowanie się uważali obojętność i skromne wypełnianie przepisanych obyczajem obowiązków. Pominąwszy te odległe parantele, znamy także jej bliższych przodków.

W pierwszych na przykład latach XVIII wieku, po okresie wojen cywilnych i religijnych, młody lord Antony Shaftesbury, sądząc że Anglicy są zbyt skłonni do entuzjazmu, nietolerancji i ekscesów, zaczął zalecać im letniość uczuć w materii politycznej i religijnej, ostrożność w angażowaniu się i poczucie humoru. Jego listy o entuzjazmie miały olbrzymi rozgłos i stały się w Europie początkiem nowego klimatu, początkiem wieku Oświecenia.

Trudniej znaleźć taki kamień milowy w powieści XVIII wieku, przeważnie filozoficznej i satyrycznej. Jest jednak kilka po-

wieści opisujących środowisko społeczne i dających czytelnikowi złudzenie rzeczywistości. Jedna z nich zwłaszcza, napisana w 25 lat po listach o entuzjazmie, znajduje dziś znów czytelników. Opowiadając, jak powieści współczesne, w pierwszej osobie, traktuje znów aktualny temat awansu społecznego. Mam tu na myśli *Le Paysan parvenu* Marivaux, znanego bardziej jako autora dramatycznego. W powieści tej czytamy historię syna wieśniaka Jakuba, zyskującego łatwo sympatię dam, dzięki której wspina się szybko po szczeblach drabiny społecznej. Jakub nie jest ambitny jak Rastignac, przystosowuje się tylko rozsądnie do sprzyjających okoliczności i figli fortuny. Nie angażuje się w swą karierę, gotów jest od niej odstąpić i wrócić na wieś. Uczucia jego są letnie przy znacznej przytomności umysłu i poczuciu humoru. Taki był klimat XVIII wieku, w którym pani Barbarze byłoby zapewne mniej markotno.

Od ćwierć wieku słyszymy ze wszystkich stron kazania, potępiające obojętność i zalecające angażowanie się, wszystko jedno nawet w jakim kierunku. Jeden z najpoczytniejszych pisarzy twierdzi ustami swego bohatera, że lepiej jest mieć krew na rękach, niż myć je wodą jak Piłat. Słowa te zdają się być znakiem, że czas byłby przemyśleć na nowo postawę pani Barbary.

Z ostatniej chwili. „Zaangażowani" zajmują dziś w kawiarniach większość stolików. Wydaje się jednak, że niedługo będą musieli ustąpić miejsca letnim i młodszym. Właścicielka pensjonatu dla dorastających dziewcząt, w którym córki „nowej klasy" uczą się języków i manier, opowiedziała mi mianowicie co następuje: „Amory moich panienek sprawiały mi dawniej wiele trudności. Od kilku lat nie mam z tej strony żadnych kłopotów. Moje panienki stały się bardzo rozsądne. Nie znaczy to, aby ślubowały dziewictwo, wręcz przeciwnie, ale nie angażują się uczuciowo, nie robią z tego wielkich historii. Osobiście nie mogę się na to skarżyć, ale chwilami przychodzi mi na myśl pytanie: czy nadchodzące pokolenie nie będzie zbyt rozsądne?"

Paweł HOSTOWIEC

Fragment z dziennika

Moja matka z domu Kotkowska. Nie jest pewne, niestety, owszem, jest raczej niepewne, pochodzenie Kotkowskich od mitycznego Ścibora. Ale, jakby nie było, Bodzechów, gniazdo ich rodzinne (gdzie część dzieciństwa spędziłem), za czasów dziadka mego, Ignacego Kotkowskiego, trzysta włók liczył przedniej ziemi sandomierskiej. Dwór czcigodny, przez Małachowskich stawiany, w parku stuletnim, po którym duch kanclerza Małachowskiego przechadzał się w noce drżące księżycową pełnią.

Babka moja, Onufrowa Gombrowiczowa, była Dąbrowska (z lepszych), urodzona z Benisławskiej (dobrze), która rodziła się z baronówny Toplickiej (dobrze), która rodziła się z Sołtanówny, córki marszałka nadwornego Sołtana i Radziwiłłówny (doskonale). Benisławscy też kilka razy z Radziwiłłami się łączyli.

Prababka moja, żona Józefa Gombrowicza, marszałka upickiego, była z domu Gintowt Dziewiałtowska, bratanica szambelana Jana Gintowta, a wnuczka szambelana Joachima. Urodzona z Tekli Gombrowiczówny, starościanki (wcale nieźle).

A znów prapradziad mój, ojciec Józefa, Jan, starosta wasilański i miguciański, sędzia Trybunału Wielkiego Litewskiego, pojął Marcjannę Rajecką z Jużynt *(très bien)*. Siostra jej była za Weyssenhoffem. Miś Rajecki przeto, z „Sobola i Panny", to mój kuzyn (zupełnie zadawalające).

Ojciec Jana, Michał, stolnik mozyrski, ożeniony był ze Scybutt Romanowiczówną.

Ojciec tegoż, Jan, pojął Jadwigę Sipowiczównę, urodzoną z Połubińskiej (proszę!).

A ojciec Jana, Michał Kazimierz, pojął Burbiankę z domu Burbów zacnego, już wygasłego.

Ojciec Michała Kazimierza, Jerzy, ożeniony był z Dorotą Jawoyszówną (to więc moja praprapraprapraprababka).

Wspomnę też o innych aliansach domu mojego z domami Białłozorów, Witold Alexandrowiczów, Wołodkowiczów („jak niegdyś Wołodkowicz, pan dumny, zuchwały..."), Puzynów, Dunin Koziczów, Zawiszów...

Dobra Lenogiry, Wysoki Dwór i Mingayłów na Litwie przez kilka wieków w posiadaniu gombrowiczowskim były. A też od niechcenia o innych majątkach napomknę, Użorty, Rady, Użubol, Poniemuń, Barkłojnie, Poremigole, które krócej były we władaniu naszym.

◆

Jestem niesmacznym snobem!

◆

Poeta, poety, poecie, z poetą... Poeta wstał, poeta siadł, poeta sposępniał, poeta jął deklamować... A ze mną coś dziwnego!... Zamarłam! Zdębiałem!... Urzeczony poezją... Oszołomiona słowem poetyckim...

„Wspomnienia o Julianie Tuwimie" wydane w Kraju zawierają ze czterdzieści rozmaitych wspomnień rozmaitych ludzi, ale wszystko jakby spod pióra jednej osoby, niezbyt, między nami mówiąc, inteligentnej... (Literaturo! De mortuis nihil nisi... źle... Raz trzeba skończyć z ckliwościami, żaden geniusz temu nie podoła!)

Niewiele też zaszczytu przynosi ten grubawy tom samemu Poecie. Widać wyraźnie, że Poeta od wczesnej młodości wyspecjalizował się w odgrywaniu roli Poety (a więc: szlachetny, czujny, natężony, magiczny, orli, gorący, ludzki, szczery, prosty...) i że niestrudzenie odstawiał Poetę od wczesnego ranka do późnej nocy. A zresztą, diabli wiedzą, może w końcu ta rola weszła mu w krew. Mnie, przypominam sobie, w przedwojennej Ziemiańskiej Poeta odrobinę nużył tym właśnie, że na pięć minut nie pozwalał zapomnieć, iż jest Poetą. Jestem zwolennikiem większej dyskrecji w tych delikatnych materiach.

Ta ckliwa księga zalatuje najgorszymi tradycjami, raczej konwenansami... Sam Tuwim niewiele do niej wnosi; jak widać z tekstu, wśród tych tralala słowiczych nie zdarzyło mu się prawie nigdy słowo godne zanotowania (oprócz dowcipów, nieraz bardzo zabawnych). Panie i panowie, to że świat wokół Tuwima rozpadł się wam tak snadnie na Poetę i wielbicieli Poety, nie będzie poczytane za zasługę. Dlaczego pozwoliliście na to? Skąd tyle pobłażania? Ani krzty w was zbawiennego chłodu, surowości, ironii, krytycyzmu, rozumu? Nic, tylko skwapliwość żeby wziąć

jak najpełniejszy udział w melodramatycznej scenerii tego roztralalowanego bel canto?

Koniec Tuwima, te jego ostatnie lata w Polsce Ludowej, jakież to zasłużone! Ta słowiczość musiała źle się skończyć, musiała doprowadzić go tam, gdzie się jest już oficjalnie Poetą, dostawcą Piękna, funkcjonariuszem od szlachetności, Obywatelem-Piewcą i td. To nie był przypadek, że tralala zawiodło go do pałacykowatej willi w Aninie (pałacykowatej; nie pierwszy i nie ostatni ze Szlachetnych, pochylonych miłośnie nad niedolą proletariatu...) Pomiędzy jego niemoralną naiwnością (bo naiwność jest niemoralna) a nieuleczalną naiwnością kultury proletariackiej istniało zawsze głębokie porozumienie. Nadmiar poezji, to takie przykre w konsekwencjach!

Co mam przeciwko niemu, ostatecznie? Dał się uwielbiać, to jego grzech!

◆

Jakiż jestem niesympatyczny!

◆

Operetko, co z tobą, cóż więc mam robić, jakie sposoby wymyślić, żeby twoje worki przemówiły głosem Historii?... Bełkot Historii w workach, tak to widzę w tej chwili... Niespodziewane, ironiczne, zjadliwe, wichry-gromy i nagłe, urywające się, śpiewytańce. Teatr, to rzecz zdradliwa, kusi zwięzłością, o ileż łatwiej zdawałoby się, dobrnąć do końca ze sztuką, niż z wielostronnicową powieścią! Ale, gdy raz dasz się wciągnąć we wszystkie zasadzki tej formy obmierzłej — nieporęcznej, sztywnej, przestarzałej — gdy wyobraźnia poczuje się przywalona ciężarem ludzi na scenie, tą niezgrabnością „prawdziwego" człowieka, od której trzeszczą deski podłogi... gdy pojmiesz, że trzeba ci ten ciężar uskrzydlić, zamienić w znak, w bajkę, w sztukę... ba, wtedy jedna za drugą wersja idzie do kosza i ten drobiazg kilkoaktowy zaczyna nabrzmiewać miesiącami twojego życia.

◆

Jestem leniwy.

◆

Jestem leniwy, więc, zamiast się wysilać, zamieszczę poniższy „wywiad ze sobą samym". Napisałem to na zaproszenie dziennika *Die Welt* w Hamburgu.

Nie tak dawno obszczekiwano mnie w Ludowej, że to wysługuję się Niemcom „za fordowskie dolary". A teraz z kolei Niemcy na mnie wsiedli. Ktoś, kto by dopatrywał się w tym jakiejś sprzeczności, byłby zupełnie pozbawiony wyczucia wyższej logiki dziejowej, wyrażającej się tym, że gdy Polacy pum, pum, pum (walą), to i Niemcy pum, pum, pum (walą).

◆

Wywiad ze sobą samym dla Die Welt:

Pytanie: Co pan ma do powiedzenia?
Odpowiedź: Nic szczególnego.
Pyt.: Na przykład... co?
Odp.: Bo ja wiem.
Pyt.: ?
Odp.: Już! Możemy zacząć. Ten początek to tylko tak, dla ostrożności. Żeby nie oczekiwano ode mnie czegoś zbyt błyskotliwego. Domyślam się, że na tej scence w *Die Welt,* gdzie pisarz sam siebie spowiada, niejeden kolega zdążył już zabłysnąć... otóż ja wolę nie błyszczeć przy blasku innych. Ja wolę błyszczeć, gdy ciemno. Zrobimy więc sobie zwykły wywiadzik, bez fajerwerków i arabesek, bez pretensji.

Pyt.: W ostatnich miesiącach ukazały się w Niemczech trzy pana książki. Pomówmy naprzód o Berliner Notizen. Przypomnijmy w kilku słowach okoliczności tej sprawy. Fundacja Forda zaprasza pana do Berlina na roczny pobyt. Ogłasza pan swoje wrażenia naprzód w *Kulturze,* potem w książce zatytułowanej Berliner Notizen. Książka wywołuje bardzo sprzeczne reakcje prasy niemieckiej, niektóre dość nawet wrogie. Wystarczy rzucić okiem na tytuły: w *Die Zeit* „Ein Exot in der deutschen Wohnküche", w *München Merkur* „Klecks im Berliner Gästenbuch", w *Der Spiegel* „Dieses Glitzerding". Co pan ma do powiedzenia?

Odp.: Tak, niektórzy Niemcy poczuli się dotknięci. Ale ja napisałem to, żeby Niemców dotknąć.

Pyt.: Dotknąć?

Odp.: Tak, pisarz powinien być dotkliwy. To zupełnie jak w miłości: trzeba dobrać się do żywego ciała poprzez ubranie.

Pyt.: Ale czym pan tłumaczy, że pańskie dotknięcie stało się dla jednych Niemców pieszczotą, a dla drugich uszczypnięciem?

Odp.: To trudność natury bardzo zasadniczej i niedająca się wyminąć. Ponieważ jestem kimś; ponieważ jestem kimś bardzo spragnionym kształtu, najwyraźniejszego kształtu... więc jestem też kimś agresywnym... i mam wrogów, którzy mnie nienawidzą, nie, to za silne, którzy mnie nie znoszą, których drażnię... albowiem samo moje istnienie podważa ich istnienie. To duchowa walka o byt, stara jak świat. Pani Maria Osterkamp napisała, że jestem osobą „extrême", wskutek czego mój dziennik jest do przyjęcia w całości, albo do odrzucenia w całości. Dobrze. Nie jestem zwolennikiem letnich zupek.

Pyt.: Ale pan był gościem w Berlinie. Czy to nie zobowiązuje?

Odp.: Nie. Szanująca się literatura musi domagać się przede wszystkim, żeby ją brano na serio. Ja w Berlinie nie byłem gościem, tylko czymś o wiele straszliwszym, rozpaczliwszym, potężniejszym, byłem sobą, własnym moim istnieniem i własnym dramatem. Jaki tam gość! Dramat! Egzystencja! Szamotanie się z losem! Dziś, w dobie łatwych wojażów, pisarz staje się coraz bardziej czymś w rodzaju kulturalnego komiwojażera. Nie. Mnie nikt nie będzie importował, jak torebkę słodkich landrynków. Najmocniej przepraszam, ja jestem Duchem. Duchem, naturalnie, o ile się da, dobrze wychowanym (mam wrażenie, że nic pod tym względem nie można zarzucić Berliner Notizen), ale jednak duchem.

Pyt.: Hm... przyznać trzeba, że pańscy oponenci ujmują sprawę mniej patetycznie, a bardziej praktycznie. Wyraźnie dawano panu do zrozumienia, że za okrągłą sumkę w dolarach otrzymaną z Fundacji Forda mógł pan być nieco... skwapliwszy w piórze...

Odp.: *Hélas!* Ten argument także został wysunięty. Obawiam się, że nie było to ze strony tych oponentów ani zbyt sprawiedliwe, ani zbyt eleganckie. Fundacja zaproszonym artystom nie stawiała żadnych warunków: przyjedźcie, posiedźcie sobie w Berlinie, róbcie co chcecie, nikt od was niczego nie oczekuje. Jeśli więc napisałem ten dziennik berliński, to nie dlatego, że byłem zaproszony, a dlatego że od lat już piszę dziennik wszędzie, gdzie jestem... w Buenos Aires, w Paryżu, w Berlinie... Ale popełniam niezręczność broniąc się zbyt obszernie przed zarzutami. Mogłoby się zdawać, że Berliner Notizen wywołały nielada skandal, a tymczasem o wiele więcej miałem głosów gorąco życzliwych i szczerze przyjaznych.

Pyt.: Chyba nikt lepiej od Karla Korna, we *Frankfurter Allgemeine Zeitung,* nie wyraził tej życzliwości pewnych Niemców. Oto zakończenie jego artykułu: „Gombrowicz wydobył co tylko się dało ze swojej roli gościa. Zdobył się na ten kunszt najwyższy, żeby być naprawdę sobą... Milczy się dzisiaj o Niemcach. Ten Polak przerwał milczenie. Dał do zrozumienia, że — chce, czy nie chce — jesteśmy jego sprawą. On stał się naszą sprawą, chcemy, czy nie chcemy". Co pan na to?

Odp.: Że tu się wyraża pewna bardzo istotna dzisiaj potrzeba duszy niemieckiej. Tu Niemiec domaga się od cudzoziemca swobody, szczerości, a zwłaszcza suwerenności, ponieważ wie, że bez

tego on sam nie mógłby być swobodny, szczery, suwerenny wobec cudzoziemca. Wobec cudzoziemca, czyli wobec świata. Wobec świata, czyli wobec siebie samego.

Pyt.: A czego domagają się pańscy krytycy?

Odp.: Oni woleliby więcej... uszanowania... Niech mi będzie wolno wypowiedzieć moją skromną opinię: ta sprzeczność w tendencjach duszy niemieckiej pogłębi się w miarę wzrostu... komfortu. Komfortu materialnego, ale bardziej jeszcze duchowego. Co prawda, oba idą w parze.

Pyt.: Przejdźmy do następnej pana książki, która niedawno się ukazała, „Aus dem Tagebuch des Witold Gombrowicz", wydanie popularne pańskiego dziennika z lat 1953-56.

Odp.: Gdybym miał w tej chwili udzielić moim współ-twórcom, to jest moim czytelnikom (bo czytać to nie mniej twórcze, niż pisać) jakiejś najważniejszej rady, powiedziałbym: nie ułatwiajcie sobie zadania tym, że „on to tak dla paradoksu", albo „z przekory", albo „żeby się drażnić". Paradoksy, przekomarzanie się, epatowanie... nie, to już nie dla nas, to się przejadło, to było dobre gdy jeszcze można było gorszyć niewinność zacnej burżuazji. Spróbujcie mi uwierzyć, a zobaczycie, jak te moje dziwactwa i gierki zaczną się wam łączyć w całość organiczną i zdolną do życia. We mnie sztuczność jest tym co ułatwia szczerość, żart wiedzie do powagi, przekora do prawdy. Spróbujcie ująć mnie najgłębiej. Słowo honoru, ja temu sprostam!

Pyt.: A co by pan powiedział o Indizien (Kosmos), ostatniej pana powieści? Już jest w księgarniach.

Odp.: Nie lubię tych porodów... To nieprzyjemne...

Pyt.: A co? Nie jest pan pewny tego utworu?

Odp.: Nic nie wiem. To jeszcze gorące, dopiero co zostało wydane po polsku i niemiecku, we Francji na dniach się pojawi. Nie, nie żebym się bał... nie lubię... Wszystkie moje porody są trudne, zawiłe... Dookoła każdej mojej książki wytwarza się naprzód coś w rodzaju ciemności, nasyconej lekką konsternacją. Moi przyjaciele są zakłopotani, często zawstydzeni. Ja staram się jak najmniej o tym wiedzieć, zdarza mi się, iż dopiero po kilku miesiącach zaczynam przeglądać nadesłane wycinki z gazet. Nigdy jeszcze nie oglądałem żadnej z moich sztuk w teatrze. Do tego stopnia wolę o tym nie myśleć, że prawie zawsze przegapiam daty premier i dopiero niespodziewany telegram przywraca mnie rzeczywistości.

Pyt.: Jakie jest pańskie ostatnie słowo?

Odp.: Przyjaciele! Pozwolcie abym, tytułem wyjątku, zajął się czymś innym, niż ja sam: Europą. Podnieca mnie to imię „Europa", o ileż rozleglejsze niż „Niemcy", „Polska", „Francja", pełne wschodzącej energii. Ale rozpędowi europejskich techników

nie towarzyszy bynajmniej rozpęd europejskich humanistów... czyżby duch Europy wsiąkł w maszynę? Co się stało, że wszystko nam, humanistom, coraz bardziej kapcanieje, muzyka się zdrabnia, poezja wysusza, literatura staje się okropnie nudząca. Tak, zapewne, świadomość europejska już od dwustu lat znajduje się pod znakiem redukcji: Kant, Marx, czy Husserl, czy Heidegger, to są w Niemczech stopniowe fazy tego ostrożnego ograniczania sobie ducha. Ale degrengolada na terenie sztuki i literatury nie ma nic wspólnego z tym procesem, którego powagi nie można podawać w wątpliwość. Jakaż klapa! Okropna bzdura daje się nam we znaki we wszystkim, czego się dotkniemy, w naszym sposobie tworzenia (które stało się cerebralne i odstręczające), w naszym mówieniu o sztuce (za dużo się gada), we wszystkich mechanizmach tego naszego światka artystycznego, tej gigantycznej maszynerii złożonej ze stu tysięcy doktorów, docentów, interpretatorów, glosatorów, wysysających bladą krew z ciał anemicznych dziesiątków tysięcy spospolitych twórców. Co się dzieje? Gdzież ulotniły się z naszej artystycznej kuchni wspaniałe, krwiste, oszałamiające befsztyki, jak Goethe, Beethoven? Jak sprawić, żeby sztuka przestała być wyrazem naszej mierności, a z powrotem stała się wyrazem naszej wielkości, piękności, poezji? Oto mój program: PRIMO zdać sobie jak najboleśniej sprawę z naszego kapcaństwa. SECUNDO odrzucić wszystkie teorie estetyczne, wyprodukowane w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu, a zmierzające ukradkiem do osłabienia osobowości; cały ten okres jest zatruty dążeniem do niwelacji wartości i ludzi, precz z nim! TERTIO porzuciwszy teorie, zwrócić się do osób, do wielkich osobowości czasu minionego i w przymierzu z nimi odnaleźć we własnych naszych osobach wieczyste źródła polotu, natchnienia, rozmachu i wdzięku. Albowiem nie ma demokracji, w której by jakiś rodzaj arystokracji, jakiś gatunek wyższości, nie był osiągalny. *Dixi.* Korzystam ze sposobności żeby pozdrowić serdecznie pannę Hannę Garthe z Sarrebrück.

◆

Bywam czasem, rzeczywiście, leniwy...

◆

Zemsta jest rozkoszą bogów!

Głuptas, który oddał się tej upojnej rozkoszy (wiem kto), zapomniał iż naturalną rzeczy koleją i mnie ona przypadnie w udziale.

Ale włączam do mego dzienniczka poniższy mój liścik do lon-

dyńskich *Wiadomości* nie z zemsty, a z obywatelskiej troski, iżby jeszcze raz zwrócić uwagę emigracyjnej opinii na pewne braki i usterki naszej emigracyjnej prasy. Ileż mamy, na emigracji, pism codziennych, tygodników, miesięczników, poświęconych przecie nie czemu innemu, a właśnie życiu polskiemu? A iluż Polaków na emigracji dowiedziało się z prasy polskiej, że taka np. Iwonka odniosła spory sukcesik tu i ówdzie? Nie mówiąc już o innych fakcikach tegoż autoramentu, równie godnych uwagi, a skrzętnie spowijanych całunem milczenia. Mogłoby się zdawać, doprawdy, iż nasza prasa dzieli autorów na sympatycznych i niesympatycznych. Sympatycznym odnotowuje się nawet najdrobniejsze fakciki, a niesympatycznym pomija się nawet mniej drobne fakciki.

◆

Jakiż jestem niesympatyczny!

◆

Do redaktora *Wiadomości:*

Odwiedził mnie przybyły z Polski krytyk, Artur Sandauer, i opowiadał, że rozmaici ludzie ze środowiska literackiego w Kraju, w ich liczbie on sam, otrzymali przesłane pocztą anonimowo z Londynu wycinki z *Wiadomości* i *Dziennika Polskiego,* z których wynikało, że moja sztuka „Iwona", wystawiona kilka miesięcy temu w Paryżu, została „zjechana" przez krytykę w sposób zupełnie katastrofalny.

Zaintrygowany tą nieco dziwną nowiną, zajrzałem do *Wiadomości* z tego okresu. Rzeczywiście w numerze z 7 października ub.r. znajduje się notatka, zatytułowana „Gombrowicz schlastany w Paryżu".

Początek taki, że „Iwona" została „zjechana bezlitośnie" przez recenzenta *Figaro,* Jean-Jacques Gautier. Po czym następują obszerne wyjątki z jego recenzji. Pozwolę sobie przypomnieć: „Nie można sobie wyobrazić bardziej pretensjonalnego i przygnębiającego widowiska. Trudno nie zatrząść się z oburzenia wobec takiego forytowania absurdu, nieudolności, głupoty i bluffu". Etcetera. Na zakończenie pocieszające dwa zdanka od autora notatki, że jednak inny krytyk, Lemarchand, jest „pełen uznania i dla sztuki i dla dekoracji".

Pragnę przede wszystkim podzielić się z czytelnikami *Wiadomości* trochę już przeczasiałą, ale przecież miłą dla polskich uszu informacją, że sztuka autora polskiego nie została w Paryżu aż tak źle przyjęta. W Biuletynie Informacyjnym teatru de Bourgogne (ta trupa grała Iwonę) zamieszczone jest pod tytułem „Iwona w Paryżu" następujące zestawienie:

„Na 39 recenzji, 30 pozytywnych (z tego około 20 bardzo pochwalnych); 5 przychylnych bądź dla sztuki, bądź dla opracowania scenicznego, a 4 nieprzychylne (z których jedna wybitnie nieprzychylna)".

Ta „wybitnie nieprzychylna" to oczywiście recenzja podana w *Wiadomościach.* Ale posłuchajmy, jak brzmią niektóre z owych przychylnych. Jean Paget w *Combat:* „To bardzo wielka sztuka"; Robert Abirached w *Le Nouvel Observateur:* „Arcydzieło"; Gilles Sandier w *Arts:* „Przedstawienie godne podziwu"; Christian Megret w *Carrefour:* „Ta lekcja pięknego i dobrego teatru"...

„Gombrowicz schlastany w Paryżu", nieprawdaż? A co się tyczy recenzji w *Figaro,* to posłuchajmy z jaką spotkała się odprawą w prasie francuskiej.

„Nieszczęsny Gombrowiczu" pisze Sandier w *Arts* „zezwól na razie by ta hołota *(goujats)* wymyślała ci od meteków... teatr francuski jest dumny, że może wystawiać ciebie, autora „Ferdydurke", jednego z ludzi przynoszących zaszczyt naszemu czasowi". Nie tylko w *Arts,* także w innych pismach, a i w radio, zaprotestowano przeciw brutalnej recenzji w *Figaro.*

Nie będę obwiniał *Wiadomości* o przeoczenie faktu, dość jednak rzucającego się w oczy, że sztuka polska odniosła w Paryżu niewątpliwy i duży sukces. Od pisma, pracującego w ciężkich, emigracyjnych, warunkach, nie można wymagać zadawalającego serwisu prasowego. Ale przyzna pan Redaktor, że zarówno czytelnikom pisma, jak i mnie, należy się satysfakcja w postaci niniejszego sprostowania. Opinia polska ma prawo wiedzieć, że polski pisarz nie zbłaźnił się w Théâtre de France, a ja, pisarz, miałbym może prawo zwrócić się z oględną prośbą o większą, rzekłbym, życzliwość, w połączeniu z pewną, powiedziałbym, ostrożnością w informacji mnie dotyczącej. Albowiem dawkę przemilczania, przekręcania szkalowania, na jaką mnie skazuje reżym czerwony w Kraju, uważam za zupełnie wystarczającą i wolałbym żeby prasa emigracyjna nie dolewała oliwy do ognia takimi entrefilecikami.

Pisarz, kneblowany we własnym kraju, mógłby chyba liczyć na poparcie, pomoc, życzliwość, wolnej prasy polskiej. Jakież to wszystko razem wymowne! Ty, człowieku, wysilaj się i męcz, żeby tej kopciuszkowatej literaturze rodzimej przysporzyć na świecie nieco powodzenia, a za to w Kraju będą cię dusić, na emigracji szczypać, i w dodatku jakiś brudny i zawistny figlarz będzie to pocztą rozsyłał! Uff!

Jeszcze słówko. Po premierze w Théâtre de France nastąpiła premiera w Królewskim Teatrze Dramatycznym w Sztokhol-

mie. *Dagens Nyheter:* „Niezwykłe wydarzenie teatralne"; *Stokholm Tidningen:* „Spektakl przekraczający wszystkie znane nam granice"; *Aftonbladet:* „To nie teatr, to magia".

„Premiera Iwony" piszą sztokholmskie *Wiadomości Polskie* „przemieniła się w hymn pochwalny ku czci polskiej twórczości dramatycznej".

Hm...

◆

A kuku!

Witold GOMBROWICZ

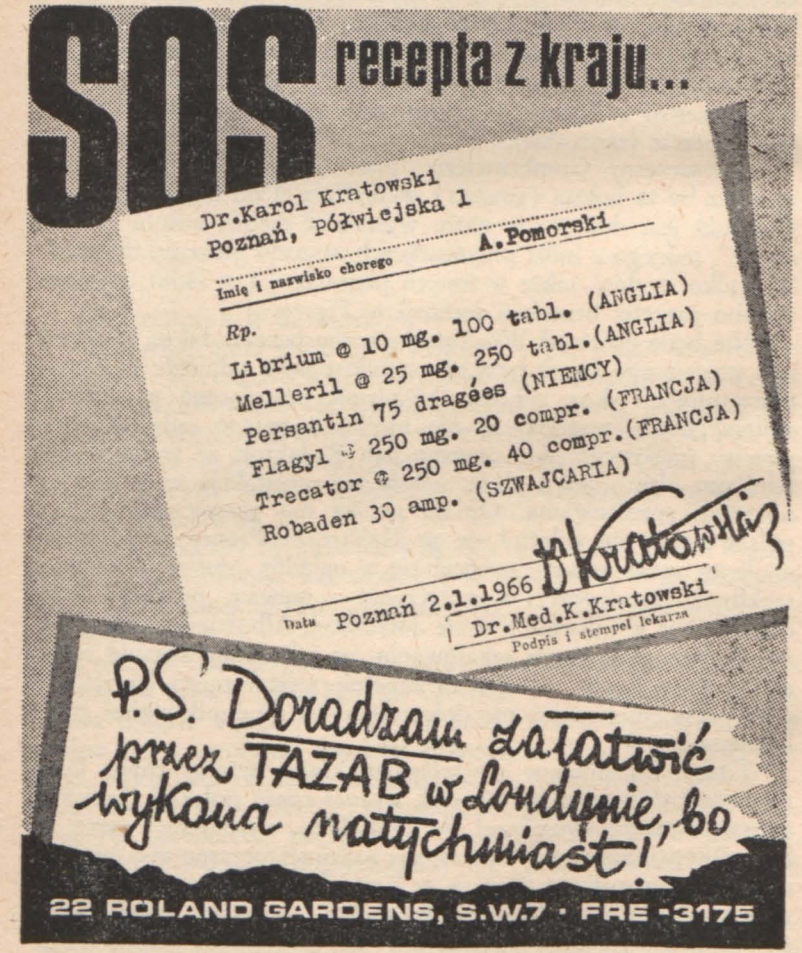

New York. 100 East 10th Str. N.Y.3.
Tel.: ALgonquin 4-4161.

Notatnik

Zważywszy na zbyt dużą ilość zadrukowanego papieru może pora już byłoby wprowadzić przepis ograniczający artykuły, eseje i tp. do jednego zdania?

◆

Jeżeli dużo milczę, to może dlatego, że ogarnął mnie strach znany wszystkim, którzy zdobywali się na akty odwagi z nieświadomości niebezpieczeństwa, z porywu krwi, i dopiero później oblewał ich zimny pot, szczękały zęby?

◆

Dlaczego nie przyznać się do własnej głupoty i nie stwierdzić, że dotykało się słowami tego, czego nie powinno się dotykać?

◆

Dlaczego piosenkarz Bob Dylan jest tak popularny wśród młodzieży Kalifornii łatwo wyjaśnić usłyszawszy jak zapytany w wywiadzie czy uważa siebie za poetę, odpowiedział: „Nie, nie jestem n a w e t filozofem...

◆

Ponieważ poezja, wobec porażek filozofii, coraz bardziej staje się organem poznania, powracając jakby do czasów wczesnej Grecji kiedy nie było innej filozofii jak poetycka, nowoczesna grafomania musi przybierać pozory myślowej głębi.

◆

Wszedłszy do Misji San José zbudowanej w końcu osiemnastego wieku, po zapachu murów, starego drzewa, rzemieni, poznałem, że wróciłem do domu, bo tam gdzie spędziłem najszczęśliwsze lata dzieciństwa wszystko zastygło, na mocy prowincjonalnych dziwów, w ostatnich latach dawnej Rzeczypospolitej, jakże więc różny byłem od innych turystów podziwiających tutaj zamierzchłą erę.

◆

Moi współcześni szczycili się tym, że przestano prześladować artystów i pisarzy za niezrozumialstwo, nie przychodziło im jednak do głowy, że owa wspaniała tolerancja dotyczyła niezrozumialstwa już wczorajszego i że może niezrozumiałe stały się dla nich pewne gatunki prostoty.

◆

Jeżeli, pomimo wszystko, nie chciałbyś żyć w dziewiętnastym wieku, bo nie miałbyś wtedy tej świadomości, którą jeszcze trudno jest nazwać a która obejmuje ludzkość jako całość, jako jedność, jako przeznaczenie, skończmy z pesymistycznym gadaniem o regresji albo o kole wiecznego powrotu.

◆

W środku stycznia, koło Misji Soledad, ziemia koloru kawy bronowana traktorami, droga wzdłuż gór, wchodząca wreszcie w to geologiczne zastygłe ciasto, między garby gdzieniegdzie porosłe dopiero zieleniejącą trawą, dalej, od Arroyo Seco, około trzydziestu mil o zmierzchu wąwozem, pustką głazów, karłowanych krzaków, bezlistnych dębów obwieszonych szarymi brodami, czwartym biegiem na karkołomnych zakrętach żeby dojechać resztką benzyny do Carmel Valley gdzie dopiero jest stacja, i wszystko to, jak tyle innych miejsc kalifornijskiej dziczy, niby krajobraz ze snu.

◆

Gdybym chciał określić jak pobyt w tym kraju mnie zmienia, choć naprawdę dobrze nie wiem, powiedziałbym, że wskutek pustych przestrzeni większych niż europejskie kraje i obecności ludzi mówiących różnymi językami, następuje jakiś gorzki upadek partykularyzmów i że podstawowa diaboliczność kontynentu stępia na własne i cudze przypadki.

◆

W pierwszej nowoczesnej wojnie dziewiętnastego wieku, Wojnie Domowej amerykańskiej, zginęło ponad sześćset tysięcy żołnierzy, ale literatura nią się nie zajmowała, poza „The Red Badge of Courage" Stephena Crane, a i ten utwór został napisany pod obcym wpływem, Tołstoja.

◆

W ciągu całego Tysiąclecia może tylko Kazimierz Brodziński utrafił w sedno określając „ducha poezji polskiej" jako sielankę i dlatego, jeżeli ma rację Lukacs, który, podobnie jak Fichte, uważa formę powieści za właściwą erze winy, Polacy w ogóle nie mieli powieści.

◆

O zachodzie słońca z prawej, wschodniej, strony *freeway*'u szaro-żółta miazga suchej roślinności wzdłuż piarżyska rzeki, dalej puste wzgórza bez śladu ludzkich siedzib zupełnie zielone, spoza nich pasmo takich samych tylko wyższych wzgórz przybierające kolejno barwę różu, fioletu i popiołu, natomiast na lewo górskie kontury intensywnie niebieskie nim sczernieją na tle cytrynowego nieba i tak z sześćdziesiąt mil w ciągu których przelatuje się raz nad jakimś neonowym miastem.

◆

Sen, w którym nieduża gilotyna pracuje w pokoju przypominającym zakład fryzjerski, jest się widzem, ale kiwają na nas i idzie się z osłupieniem, że to nam właśnie musi się wydarzyć, choć zaraz z jakimś przyjemnym podziwem, że nie czuje się strachu, bo dosyć już się żyło.

◆

„New Criticism" i tysiące akademickich wierszy, z niego czy też z praktyki T. S. Eliota czerpiących usprawiedliwienie, wyjałowiły poezję Ameryki i Anglii, i, gdybym mógł, ostrzegałbym młodych poetów w Polsce przed tą jeszcze jedną modą.

◆

Jest w Anglii poeta Philip Larkin, który miał czelność zatytułować swój tom wierszy „The less deceived", nie domyślając

się wcale, że elegancki towarzyski sceptycyzm jest obrzydliwością w poezji możliwej jedynie jako gra o pełną stawkę.

◆

Dojrzewanie poety powinno się poznawać nie po tym czego dokonał, ale po ilości głupstw jakim zabronił do siebie dostępu.

◆

W literaturze rozmaite uroki zmieniających się stylów tworzą zasłonę dymną, która nie pozwala zadawać zbyt prostych pytań i oby tylko, kiedy ta zasłona opadnie, polska literatura ostatnich dwóch dekad nie okazała się tradycyjną orgią litowania się nad sobą.

◆

Urazy Polaków są niczym w porównaniu z urazami Iberyjczyków, myślałem sobie słuchając nienawistnych tyrad Z., z Chile, oskarżającego Anglię i Francję o wielowiekowe dręczenie i poniżanie Hiszpanii, czego dalszym ciągiem jest według niego dręczenie i poniżanie Ameryki Łacińskiej przez Stany Zjednoczone.

◆

Pola karczochów, sady, winnice, plantacje kaktusów, pola karczochów, i wszystko to uprawiane rękami proletariatu czyli mniejszości czyli ludzi o nieco ciemniejszym kolorze skóry czyli Meksykańczyków.

◆

Latami myślałem o nieuczciwości wszelkiego artyzmu, który w jakimkolwiek znanym mi kraju, teraz czy dawniej, byłby niemożliwy gdyby naprawdę mocno odczuwało się los uciemiężonych i poniżonych.

◆

Zapytywano w naszym stuleciu jak mogli pisać, komponować muzykę, malować obrazy wiedząc, że w ich kraju są obozy koncentracyjne, ale zapominano, że na przykład urocza romantyczna poezja angielska powstawała w zacisznych plebaniach gdzie pastorówny grały na szpinecie, podczas gdy w sąsiednim przemysłowym mieście widok ludzi słaniających się z głodu albo umierających na ulicach był czymś normalnym.

◆

Najzupełniej niewątpliwe prawo do oskarżania tego czy innego narodu o okrucieństwo ma ten tylko, kto ani razu nie uświadomił sobie, że nie potrafi utożsamić się z brudnym, dziko patrzącym niewolnikiem, zachowującym się gorzej niż zwierzę, i że żona nadzorcy koncentracyjnego obozu, czule pielęgnująca lewkonie, to także on sam.

◆

Powieściopisarze, którzy kiedyś wiele zajmowali się tzw. walką o byt, uciekli w regiony głębokich wewnętrznych przeżywań, jakby to, że ich postacie mają gdzie mieszkać i co jeść rozumiało się samo przez się, ale taka proza, gdzie nie wspomina się nawet o pieniądzu, jest dla mnie podejrzana i wdzięczny jestem moim życiowym doświadczeniom za tę podejrzliwość.

◆

Niejeden pisarz emigracyjny, gdyby, zamiast zajmować się ideologicznymi kwestiami, opisał dokładnie swoje poniżenia i dowody niewolnictwa składane ze strachu przed brakiem pieniędzy na dzień następny mógłby stworzyć potężne dzieło, ale opór do przezwyciężenia jest tak duży, że nawet wypowiedzieć to zdanie mogę tylko z powodu własnej finansowej niezależności.

◆

Tak intensywnie przeżywam tę drugą połowę dwudziestego wieku, rzeźbę kinetyczną, nową muzykę, stroje, uliczne sceny wielkich miast, obyczaje, że stale zdumiewa mnie związek, który, teoretycznie, musi przecie istnieć pomiędzy mną i pewnym młodym człowiekiem w Wilnie lat trzydziestych.

◆

Ważną nauką powinna być pomyłka mojego pokolenia co do Leśmiana, bo przesłonił go nam jego język, młodopolski a więc staroświecki i nie widzieliśmy myślowej precyzji, która, jeżeli jest, nie potrzebuje obawiać się późniejszych zmian stylu, czyli byliśmy jak sprzedawca w sklepie konfekcji męskiej, który osądza dobro i zło według kroju ubrania.

◆

Mieliśmy wstręt do Młodej Polski, co było reakcją na zachwyty naszych nauczycieli, aż okazało się, że ani oni nie mieli racji ani my i że cała nasza literatura dwudziestego wieku stoi kilkoma nazwiskami młodopolskiej formacji, a więc Brzozowskim, innym niż dla naszych nauczycieli Wyspiańskim, St. Ign. Witkiewiczem i Leśmianem.

◆

Treść poezji Leśmiana, dialog człowieka-bogotwórcy, *homo adorans,* ze słabym i zależnym od człowieka Bogiem, jest dla moich studentów, obeznanych z buddyzmem Zen, jakimś końcowym aktem roztapiania teologicznych pojęć, podczas gdy religijna cześć i podziw powinny obywać się bez intelektualizmu teologów i ich przeciwników.

◆

Podczas przemówienia ambasadora Goldberga w Berkeley ujawniła się niemożność porozumienia się dwóch pokoleń, bo nie tylko że nie umiał przekonać siedmiu tysięcy swoich młodych słuchaczy do polityki rządu, ale używał wyrażeń z których się śmieli, na przykład powtarzając ciągle „acid test" nie wiedział, że dla nich, w ich języku, oznacza to LSD i że chętnie by mu, choćby siłą, zaaplikowali dawkę.

◆

St. Ign. Witkiewicz pisał tak, jakby jego idealnym czytelnikiem miał być student w Berkeley w roku 1966 i szkoda, że o tym się nie dowie.

◆

Cokolwiek burzy nasze wyobrażenia o dawnym rzekomym ładzie przeciwstawionym dzisiejszemu chaosowi jest pożyteczne, na przykład lektura „The Canterbury Tales" Chaucera, których głównym tematem jest pieniądz i fornikacja a humor nie różni się od humoru nieprzyzwoitych rosyjskich anegdot o monachach i monaszkach, i to powstało w tej samej Anglii czternastego wieku, gdzie anonimowy zakonnik napisał najgłębsze może dzieło chrześcijańskiego mistycyzmu wszystkich czasów, „The Cloud of Unknowing".

◆

Zepsucie obyczajów, dekadencja, rozpad form, ale ludzki gatunek jest przedziwnie trwały bo nigdy chyba nie znał nic innego, więc te studenckie bale tutaj, z powietrzem które jest chmurą marihuany, z dziewczynami rozbierającymi się w tańcu, energiczną obłapką na balkonach, niepotrzebnie martwią moralistów.

◆

Grupki bohemy w dziewiętnastym wieku wycofujące się ze społeczeństwa burżuazyjnego były ilościowo znikome ale może dwieście tysięcy czy pół miliona beatników to też znikome zważywszy na przyrost ludności, choć można też interpretować rozszerzanie się obyczajów bohemy jako odpowiedź na postępy automacji, która zniszczy związek pomiędzy pracą i minimum życiowym.

◆

Cenimy samoistność naszego umysłu ale ciągle zdarzają się, jak mnie, te przygody prekursorów, kiedy upływa ileś tam lat a nie jesteśmy już niczym więcej niż objawem pewnego powszechnego stylu, bo uwaga wszystkich zdążyła skierować się w tym nowym kierunku i nasze pierwszeństwo się nie liczy.

◆

Przyzwyczajaliśmy się, z konieczności, do otaczającego nas absurdu, tak sprzecznego ze zdrowym rozumem, że trwałość opartych na tym absurdzie urządzeń wydawała się nam niepojęta, a ponieważ raz, już, podczas ostatniej wojny, przekonaliśmy się, że za brak rozumu ludzie ponoszą karę, zapytywaliśmy siebie czy to nowe rozpasanie absurdu coś zapowiada, czy też oczekując kary popełniamy błąd myślenia analogiami.

◆

Jeżeli już sens życia, to jest nim kolejno postępujące, choć zawsze niedoskonałe, wyzwalanie się ze wszystkiego, z niewzruszonych przekonań, z przyzwyczajeń, z mody literackiej, która zamiast ku przedmiotowi kieruje uwagę ku dziwactwom języka, a dla kogoś, kto wyemigrował, wyzwalanie się z myśli, że kiedykolwiek powróci.

Czesław MIŁOSZ

Intryga i Miłość

I

Trzeciego dnia *Dekameronu* Fiammetta opowiedziała zebranym następującą historię, nadając jej tytuł *W miłości jak na wojnie.*

W Neapolu, „najmilszej może ze wszystkich stolic Italii", żył pewien urodziwy i bogaty młodzieniec nazwiskiem Ricciardo Minutolo. Żonę miał równie młodą i urodziwą, ale zakochał się w innej białogłowie imieniem Catella, która według powszechnego mniemania pięknością swoją nad wszystkimi Neapolitankami górowała. Mężem Catelli był Filippello. Miłował ją ów Filippello nad życie, pełną wzajemnością się ciesząc. Ricciardo żadnych tedy nie miał widoków, by Catellę swą kochanką uczynić i rozkoszy z nią zażyć. „Catella — przekładały mu jej przyjaciółki — nikogo na świecie tak nie miłuje jak Filippella; jest przy tym tak o niego zazdrosna, iż drży nawet przed każdym przelatującym ptakiem, aby go jej przypadkiem nie porwał". Ledwie usłyszał o zazdrości, Ricciardo myśl przednią powziął i cały plan działania w głowie sobie ułożył.

Upozorował najpierw, że ostygły w nim wszelkie zapały miłosne. Gdy mu się to udało, gdy Catella bez obaw już dopuszczała go do rozmów i konfidencji, takim oto sposobem wierne i zazdrosne serce strwożył, na niewinną twarz ukochanej rumieniec gniewu przywołując. Wyznał mianowicie Catelli że od dłuższego czasu jej mąż, Filippello, na cnotę jego, Ricciarda, żony nastaje; i że właśnie tego dnia przez umyślną posłankę znowu ją o nocną schadzkę w łaźni podmiejskiej prosił, co przykładna żona natychmiast swemu mężowi wyjawiła. Teren tym ciosem dobrze przygotowawszy, Ricciardo odczekał chwilę po czym tak do Catelli przemówił: „Gdy mnie żona o rzeczy uwiadomiła, zdało mi się

że Filipello zbyt daleko swoją zuchwałość posuwa, i że dłużej tego nie lza znosić. Postanowiłem tedy oznajmić Wam o tym, Pani, abyście poznali jak Wam płacą za Waszą wierność niewzruszoną, która mnie o mały włos do śmierci nie przywiodła. Abyście zaś nie myśleli że są to jeno puste słowa i bajki, i byście mogli, skoro zechcecie, o prawdzie tej się przekonać i własnymi rękami jej dotknąć, kazałem odpowiedzieć żonie przez tę kobietę, że gotowa jest przyjść jutro o dziewiątej wieczorem do owej łaźni. Posłanka odeszła wielce uradowana. Spodziewam się że nie sądzicie, Pani, abym żonie mojej pójść tam pozwolił. Gdybym był na Waszym miejscu, uczyniłbym tak aby miast tej, którą zastać sądzi, Filippello Was znalazł; przebywszy z nim czas niejaki, pokazalibyście mu kogo tak ściska; i zapłacilibyście mu jak należy. Gdybyście tak uczynili, niewątpliwie taki by nim wstyd owładnął, że ujma i nieprawość, które Wam i mnie chciał wyrządzić, w jednej chwili pomszczone by zostały". Catella, podstępu nie zmiarkowawszy, na propozycję łacno przystała. A Ricciardo, rad ze swego fortelu, do łaźni żwawo podążył i z przekupioną łaziebną wszystko jak trzeba przysposobił.

Nazajutrz o umówionej godzinie sam w ciemnej komnacie łaźni na łożu usiadł, przybycia Catelli oczekując. Gdy przez łaziebną do komnaty przywiedziona jej próg przestąpiła i drzwi za sobą zaparła, Ricciardo skoczył radośnie, ciasno ją obłapił i bez słowa na łoże pociągnął. W ciemnościach i w milczeniu na różne modły miłośnie ze sobą igrali, ku ukontentowaniu obojga. Na koniec Catella, z rozkoszy ochłonąwszy, uznała że winna dać folgę hamowanej tak długo wściekłości i srogim głosem zawołała: „O Boże, jakże okrutny jest los białogłów, i jakąż straszną za miłość swoją odbierają od mężów zapłatę! Kogoż to sądzisz mieć obecnie w objęciach? Tę samą, którąś zwodził fałszywymi czułościami miłość do niej udając, podczas gdy kochałeś inną. Jam jest Catellą, a nie żoną Ricciarda, zdrajco niegodny! O ja nieszczęsna, dla kogóż to przez tyle lat podobną miłość żywiłam? Dla tego psa nędznego, który mniemając że ściska w ramionach obcą białogłowę, w ciągu tych kilku chwil liczniejszymi mnie pieszczotami obsypał niźli przez cały czas małżeństwa naszego. Umiałeś się teraz, nędzniku, stać dzielnym i krzepkim, chocia w domu za słabego, znużonego i niedołężnego chcesz zwykle uchodzić! Bogu Najwyższemu chwała, żeś użyźnił swoje a nie, jak mniemałeś, cudze pole. Dzięki Bogu i mej przezorności, struga spłynęła korytem przez sakrament jej przeznaczonym. Czemu nie odpowiadasz, potworze? Odsuń się ode mnie i nie śmiej mnie więcej dotykać. Już dosyć dowodów dzielności złożyłeś! Poczekaj, jeszcze nieźle się przepościsz z mojej łaski. Czemu nie posyłam po Ricciarda, który kochał mnie nad życie, chocia pochwalić się nie mógł bym na niego kiedy spoj-

rzała? Teraz wiem, że inaczej postępować należało. Mniemałeś, że znajdziesz tutaj jego żonę; znaczy więc, że jakbyś ją pieścił. Gdybym zatem ja do Ricciarda teraz należała, nie mógłbyś mi wyrzutów czynić".

Ricciardo złowił uchem w tych słowach odpowiedni dla siebie moment. Schwyciwszy przeto kochankę w objęcia, tak że się wyrwać nie mogła, rzekł: „Nie niepokój się, najdroższa moja! Czego samą miłością osiągnąć nie zdołałem, pozyskałem dzięki podstępowi, którego mnie nauczył Amor. Jestem twoim Ricciardem!". Catella chciała zaraz z łoża wyskoczyć, aliści uczynić tego nie zdołała. Wiarołomny kochanek cały swój bogaty i wieloraki dar perswazji na to obrócił by ją przekonać, że skandal tylko jej sławę i cześć na szwank narazi, gdyż „świat chętniej złemu niż dobremu wierzy". Gorzko w swoim strapieniu i wzburzeniu płacząc, przecie w głębi duszy rację mu przyznała. Najczulsze błagania i zaklęcia reszty dokonały: Catella, zwyciężona wreszcie, pokój z Ricciardem zawarła. „Pogodzeni ze sobą, przebyli w łaźni jeszcze czas pewien, niewysłowionej rozkoszy zażywając. Catella, uznawszy że pocałunki kochanka smakowitsze są od pocałunków męża, odmieniła dotychczasową swoją dla Ricciarda nieczułość na tkliwą do niego miłość. Przy wielkiej z obu stron przezorności, nieraz jeszcze swoją miłością się cieszyli. Oby Bóg i nam tak się cieszyć dozwolił!".

II

W roku 1512 Machiavelli, odsunięty od udziału w sprawach publicznych i rozgoryczony słabym oddźwiękiem *Księcia,* przedzierzgnął się z pisarza politycznego w literata. Napisał najpierw krótką pięcioaktową komedię *La Mandragola,* która po dziś dzień uchodzi za niedoścignione arcydzieło teatru włoskiego. Nie znamy dokładnej daty jej powstania. Historycy literatury spierają się także o datę jej wystawienia. Jedni twierdzą że premiera odbyła się w Rzymie w roku 1520, na życzenie papieża Leona X. Inni zapewniają że uświetniła w roku 1518 we Florencji uroczystość zaślubin Lorenzo de Medici, a dopiero po tym sukcesie kazał ją sobie pokazać w Rzymie Leon X. Spory pozostaną zapewne nierozstrzygnięte. Co jest pewne, to że *La Mandragola* połyskuje wciąż blaskiem której nie zdołał zaćmić czas.

Intryga nawiązuje wyraźnie, w przeszło półtora wieku po ukazaniu się noweli Boccaccia, do motywu *W miłości jak na wojnie.* Messer Nicia, zamożny i niemłody już Florentyńczyk, jest mężem pięknej, młodej i bogobojnej Lucrezii. Małżeństwu brak jednak upragnionego potomka. Messer Nicia chwyta się wszelkich sposobów, by Lucrezię uczynić matką: gorących kąpieli, zimnych tuszów, mszy odprawianych na intencję płodności. Ale widocznie nie chwyta się jedynego, który od stworzenia świata najniezawodniej prowadzi do ojcostwa: choć autor nie mówi tego wprost, wolno podejrzewać że Messer Nicia cierpi na niemoc lub conajmniej słabość płciową. Piękność Lucrezii olśniewa młodego i urodziwego Callimaca, przybyłego do rodzinnej Florencji z Paryża. Jak zdobyć jej serce i przychylność? Dobrą radą służy Ligurio, stały i zaufany bywalec domu państwa Nicia, lekkoduch i łotrzyk zdolny do wszystkiego dla zabawy i za sakiewkę wypchaną dukatami. On to przedstawia Callimaca mężowi Lucrezii jako przesławnego medyka, który posiada sekret najlepszego lekarstwa na bezpłodność kobiet: tym cudownym środkiem jest odwar z korzenia *mandragoli.* Istnieje jednak poważna przeszkoda. Po zażyciu przez Lucrezię odwaru, pierwszy mężczyzna który obok niej legnie zostanie zatruty wyziewami leku i po ośmiu dniach wyzionie ducha. Trzeba więc porwać po zmroku z ulicy jakiegoś bezdomnego nędzarza i zamknąć go na całą noc z Lucrezią w jej sypialni; o świcie wyrzuci go się na bruk, a prawowity mąż będzie mógł wrócić do łożnicy bez obawy o własne życie. Messer Nicia zgadza się na ten plan, ale jak przekonać doń bogobojną żonę? Może to zrobić tylko jej świątobliwy spowiednik, Fra Timoteo. I robi, oczywiście za sowitym wynagrodzeniem w złocie. Niedomyślnym należy się wyjaśnienie, że owym bezdomnym nędzarzem porwanym po zmroku z ulicy będzie właśnie przebrany Callimaco; i że to on, po zażyciu przez Lucrezię *mandragoli,* spędzi z nią noc o której tak marzył. Bogobojna Lucrezia, poznawszy dzięki cudownemu lekowi rozkosze prawdziwej miłości, zapała do medyka taką wdzięcznością że za przyzwoleniem męża poprosi go by codziennie bywał dowoli i o każdej porze w ich gościnnym domu. Callimaco nie każe sobie tego zaproszenia dwa razy powtarzać. A o męża Lucrezii można być spokojnym: za dziewięć miesięcy stanie się szczęśliwym ojcem.

Wielu krytyków uważa *Mandragolę* za tragedię w masce komedii. Według tej interpretacji autor *Księcia* nawet tutaj, w krotochwilnej na pozór bufonadzie, spojrzał na świat chłodnym i bynajmniej nie rozbawionym okiem znawcy jego praw. Podstęp jest prawdą i siłą (Callimaco i Ligurio), uczciwość obłudą i głupotą (Messer Nicia) lub w najlepszym wypadku nieświadomością (Lucrezia). Kto chce w takim świecie żyć i prosperować, musi posiadać wolę Callimaca, zręczność i przebiegłość Liguria, i sprzedajną duszyczkę Fra Timoteo. Skrupuły, hamulce moralne, są w grze bezużytecznym balastem. Bo grą, nieustanną grą, jest świat w systemie „etyczno-spekulatywnym" Machiavellego. U nowszych badaczy twórczości wielkiego *segretario fiorentino* spotyka się nawet próby wyłuskania z *Mandragoli* alegorii politycznej. Pierwsi

widzowie komedii nie mieli jakoby żadnych trudności z odczytaniem jej zaszyfrowanego sensu. W roku 1512 upadła republika florentyńska, otwierając drogę powrotowi Medyceuszy. Lucrezia jest Florencją, wydaną źle za mąż za impotenta, w którym autor *Księcia* sportretował *gonfaloniera* republiki, Soderiniego. „Medyk" Callimaco to Lorenzo de Medici (*medico* — Medici), książę Urbino, który także wraca z Paryża. Plan zdobycia Lucrezii udaje się dzięki pomocy Fra Timoteo, jak opanowanie Florencji udało się księciu Urbino dzięki pomocy kardynała Giovanni de Medici, późniejszego Leona X. W *Mandragoli* wspomina się przelotnie o pewnym braciszku, który niegdyś dybał na cnotę Lucrezii. Mógłby nim być Savonarola. Jak widać, zwolennikom alegorycznego wytłumaczenia komedii Machiavellego nie brak dobrych tropów i poszlak.

W naszym *divertimento* krytycznym wystarczy poprzestać na jednoznacznym tekście *Mandragoli*. I przypomnieć że obraz miłości jako skomplikowanej operacji wojennej, w której i diabeł musi przegrać bez dobrego fortelu, zarysował też pośrednio Machiavelli w swojej paraboli nowelistycznej *Belfagor Arcidiavolo*.

III

Brzask Renesansu i jego największe nasilenie przed zmierzchem ukazują nam więc podobny motyw szkoły serc, która jest niemal wyłącznie szkołą przemyślności i podkopu, skrzyżowaniem dyplomacji z manewrem oblężniczym. Psychologia występuje tu jako znajomość praw rządzących światem który „chętniej złemu niż dobremu wierzy", reguł gry jednakowych i na wielkich i na małych szachownicach, a nie jako wysiłek przeniknięcia sekretów duszy ludzkiej. Sytuacja jest z góry dana, właśnie na wzór białych i czarnych figur rozstawionych na białych i czarnych kwadratach: należy ją tylko lepiej czy gorzej rozegrać. Wachlarz posunięć jest bogaty, ale wyklucza irracjonalne niespodzianki, nie pozostawia miejsca zaskakującym niuansom i światłocieniom. Przegrywa, kto źle obliczył swoje ruchy; wygrywa, kto do końca zachował jasny plan w mózgu i potrafił go wykonać cierpliwie krok po kroku, nie biorąc w ogóle pod rozwagę okoliczności wymykających się rachubie. Względy moralne, wahania, konflikty uczuciowe, wyrzuty i upiory sumienia, kłopotliwe autoindagacje, nie dochodzą do głosu: z natury rzeczy znajdują się poza polem bitewnym czy obszarem łowieckim. Jedną z zasad Renesansu było, że trzeba się wybrać do piekła by do syta zakosztować towarzystwa ludzi bystrych i pomysłowych.

Słowik, czwarta nowela piątego dnia *Dekameronu*, uchodzi za najbardziej czystą, liryczną i pełną poezji historię miłosną opowiedzianą w gronie dziesięciorga biesiadników. I jest nią rzeczywiście (jeśli pominąć „nieprzystojność", na ogół fałszywie i powierzchownie odbieraną przez czytelników Boccaccia). A przecież nawet tutaj, między nutami rozrzewnienia jakie z lutni narratora wydobywa pierwsza miłość dwojga młodziutkich kochanków, słychać dźwięk szybkiej i ostrej rozgrywki. Ricciardo Manardi kocha się w Katarzynie Lizio da Valbona. Dziewczyna odpłaca mu wzajemnością, ale jest jako jedynaczka pilnie strzeżona przez rodziców. Chłopiec podszeptuje jej doskonałą myśl: niech uprosi rodziców by jej w wiosenną noc pozwolili spać na balkonie, a on „postara się do niej dostać choć to bardzo wysoko". Katarzyna idzie za jego radą, motywując swoją prośbę upałem w mieszkaniu i chęcią słuchania śpiewu słowika w ogrodzie. Rodzice wyrażają zgodę. Ricciardo dotrzymuje obietnicy. „Katarzyna z nieopisaną radością go przyjęła. Po wielu pocałunkach legli po społu i przez całą noc niewysłowionej rozkoszy zażywali, przy czym słowikowi po wielokroć śpiewać kazali. Uniesienia ich trwały długo, noc zasię krótka była, nie postrzegli przeto, że już dzień jest bliski. Rozgrzani miłosnymi igraszkami i porą wiosenną, usnęli obok siebie bez żadnego okrycia. Katarzyna, objąwszy prawą ręką Ricciarda za szyję, lewą trzymała mocno tę jego cząstkę, której nazwy wy, białogłowy, wielce się zawsze wśród mężczyzn sromacie". Tak ich zastaje o świcie pan Lizio da Valbona. I budzi panią Lizio da Valbona słowami: „Wstawaj prędko, miła żono, jeśli chcesz obaczyć jak córka twoja, która w słowiku sobie upodobała, schwytała go i dotąd go w ręku trzyma". Żona, przyjrzawszy się dokładnie „jak Katarzyna w śpiewie słowika rozmiłowana trzyma schwytanego ptaka krzepko w swoim ręku", już otwiera usta do krzyku. Na to mąż: „Wstrzymaj się, żono, jeśli ci drogą jest miłość moja, wstrzymaj się i nie waż się ust otworzyć. Wierę, to co córka nasza schwytała, już do niej należeć musi. Ricciardo pochodzi z zacnego rodu, jest przy tym bogatym człowiekiem. Związek z nim tedy tylko zaszczyt sprawić nam może. Jeśli chce się żywy i cały z tego domu wydostać, musi się z Katarzyną pierwej zaręczyć, i przekonać nas że słowika w swojej własnej a nie w cudzej klatce umieścił". Droga do ołtarza jest utorowana. Na sześciu stroniczkach odbywa się prawdziwy *Blitzkrieg* zamążpójścia. Liryczny ton noweli polega tylko na tym, że nie wiadomo (rzecz rzadka u Boccaccia) ile w akcji było zwykłego i niewinnego przypadku, a ile zręcznie wykorzystanej obosieczności fortelu.

Andreuccio z Perugii (piąta nowela drugiego dnia *Dekameronu*) dał Crocemu asumpt do spojrzenia na całe dzieło Boccaccia. Zapewne — powiada filozof neapolitański — Boccaccio nie był

moralistą, nie można go porównać z Dantem, ale byłoby też dlań krzywdą postawić go obok Aretina (w którym Croce dostrzega *qualcosa di canagliesco,* coś z kanalii). Autor *Dekameronu* akceptuje życie w jego pełnym i niezmierzonym bogactwie przejawów i gradacji. Jakiż miałoby sens buntować się przeciw rzeczywistości, jeśli taka właśnie a nie inna jest rzeczywistość? Nie lepiej, w wielu przypadkach, prosić o pobłażliwość i nie skąpić jej tym co o nią proszą? „Wolno się uskarżać, i uskarżano się nie raz, że ta pobłażliwość i ironia przeniknęły z Boccacciem do życia włoskiego następnych stuleci i zapanowały w nim stopniowo; lecz wolno też bronić dobrych i zdrowych cech tej spokojnej akceptacji życia w jego niezmiennej realności".

Kiedy Machiavelli na swój sposób kodyfikował w *Mandragoli* „spokojną akceptację życia w jego niezmiennej realności", w Rzymie śpiewano karnawałową pieśń Lorenzo de Medici:

Quant'è bella giovinezza,
Ma si fugge tuttavia!
Chi vuol esser lieto, sia!
Di doman non c'è certezza!

„Jakże piękna jest młodość, a jednak przemija! Kto chce być wesoły, niechaj nim będzie! Któż z nas wie co jutro przyniesie!". A pod adresem Leona X wołano: *Viviamo, Babbo Santo, perché tutt'altra cosa è burla!* „Żyjmy, Ojczulku Święty, bo wszystko inne jest fraszką!". I burleskowy charakter miała włoska literatura renesansowa. Religijności formalnej, uprawianej z szelmowskim lub pobłażliwym przymrużeniem oka, odpowiadała swobodna i często misterna intryga z ducha *W miłości jak na wojnie* w życiu praktycznym.

Piszący te słowa nie jest również moralistą i osobiście podziela pogląd Crocego na zalety życia włoskiego odziedziczone w spadku po Renesansie, ale przedmiotem niniejszego eseju są *literackie* konsekwencje zjawiska. Renesans włoski nie stworzył w literaturze bohatera „problematycznego". U Boccaccia i u Machiavellego obcuje się z figurami całkowicie jednowymiarowymi w sytuacjach, które mają w sobie coś z ideogramów: gdyby chciano to przełożyć na język obrazów, wystarczyłyby płaskie ryciny (o zachwycającej zresztą różnorodności i wynalazczości) bez uciekania się do *chiaroscuro.* Dieta na dłuższą metę postna dla prozy i dramatu, toteż nic dziwnego że Włosi musieli czekać parę wieków nim wszeszły kolejne gwiazdy Goldoniego i Manzoniego. I przy bliższym w nie wejrzeniu okazuje się że mimo całej swej niezaprzeczalnej świetności były to gwiazdy świecące dawnym odblaskiem: *commedia dell'arte* nie wyszła poza szczwaną grę miłosną, choć ją na pozór wyrafinowała a w istocie zwulgaryzowała; w *Promessi Sposi* jednowymiarowość, płaskość i aproblematyczność odwróciły tylko znak na katolickie moralizatorstwo graniczące z bigoterią.

Dopiero w pierwszym ćwierćwieczu naszego stulecia nastąpiła reakcja. Jej gwałtowność mówi sama za siebie. Pirandello w teatrze a Svevo w powieści pokazali człowieka, którego racją bytu jest proteuszowa nieuchwytność i zmienność, który składa się cały z wymijających się wciąż odmian i projekcji własnej osobowości.

IV

Około roku 1550 ukazała się w Hiszpanii anonimowo *La vida de Lazarillo de Tormes, y de sus fortunas y adversidades.* Można tę datę uznać za narodziny romansu „pikaryjskiego", rozumiejąc przez „pikara" pierwszego w literaturze łazika czy *outsidera* społecznego (pochodzenia plebejskiego), a przez nowy model narracji szereg satyrycznych obrazków — w miarę zabawnych, w miarę gorzkich — z życia różnych klas społecznych. By dać w kilku słowach pojęcie czym był romans „pikaryjski", dość powiedzieć że święcił swoje apogeum w *Moll Flanders,* zaśpiewał swoją łabędzią pieśń w niemych filmach Charlie Chaplina, a przeżywa swoją karykaturalną degradację w powieściach *beatników* amerykańskich. Ale szesnastowieczny Anonim hiszpański (przypuszczalnie braciszek jednego z zakonów) zostawił po sobie coś więcej, niż stustronicowe dzieje „fortun i przeciwności" Łazarzyka z Tormes. Naszkicował postać o pewnej (jak zobaczymy, paradoksalnej) autonomii uczuć, a nie figurę posłuszną tylko wymogom i prawom intrygi.

U kresu swych wędrówek głodomora Lazarillo spotyka w Toledo księdza, który w uznaniu dla jego „zalet i poczciwości" oddaje mu za żonę własną służącą. Łazik z Tormes uważa to za uśmiech losu. Dobrodziej otacza nowożeńców szczodrą opieką, kupuje im domek obok swojego, w każde prawie święta zaprasza oboje do sutego stołu biesiadnego. „Lecz złe języki, których nie brak i nigdy nie zabraknie, nie dają nam żyć w spokoju, plotąc Bóg wie co, a raczej dobrze wiem co, bo widują moją żonę jak chodzi do swego dawnego pana by mu łóżko posłać lub obiad przyrządzić". Ksiądz wzywa parę do siebie i tak mówi: „Łazarzu z Tormes, kto słucha złych języków ten nigdy nie zakosztuje dobrego życia. Nie zdziwiłbym się gdyby ludzie, widząc twoją żonę wchodzącą do mojego domu... Zaręczam ci, że wchodzi ona do mojego domu bez uszczerbku dla twego i swego honoru. Nie zważaj tedy na ludzkie gadanie, ale pilnuj tego co ci bliskie, czyli własnej korzyści". Na to Łazarzyk: „Proszę księdza jegomości, postanowiłem oddać się pod opiekę zacnych ludzi. Prawda to jed-

nak że mi nie raz wspominano iż ta kobieta, zanim ją do ołtarza poprowadziłem, trzy razy powiła, co tu powtarzam w niczym nikomu nie uchybiając". Dotknięta do żywego żona w płacz i krzyk, i trzeba wielu zaprzeczeń i zaklęć by ją uspokoić. Łazarzyk obiecuje, że nigdy więcej do tego tematu nie powróci, przystaje też na dalszą „dobrą zgodę w trójkę". A gdy go czasem złe języki znowu bechtają i podjudzają, ma zwyczaj odpowiadać: „Słuchaj bratku, jeśliś mi przyjacielem, bólu mi nie zadawaj, bo nic mi po takich przyjaciołach co serce ranią. A rani mi serce kto obmową krzywdzi moją żonę, którą nade wszystko na świecie miłuję, bardziej niż siebie samego".

Jest to tylko interludium, po którym za chwilę przychwycimy u Cervantesa właściwą nić wątku „w miłości jak na wojnie" z noweli Boccaccia i komedii Machiavellego. Interludium nieodzowne i pouczające. Widać bowiem jak tradycyjna intryga zaczyna się w literaturze komplikować i zamazywać, tracąc dotychczasową ostrą wyrazistość rysunku. Boccaccio i Machiavelli poradziliby sobie inaczej z *ménage à trois* opisanym przez Anonima hiszpańskiego: w ich świecie podział na oszukujących i oszukanych, na wygrywających i przegranych, był bezsporny, nie dopuszczał wahań. W *Łazarzyku z Tormes* występuje pierwszy światłocień psychologiczny i literacki. Bohater opowieści wie doskonale że jest rogaczem i równocześnie nie chce o tym wiedzieć. Czy jedynie z obawy przez nędzą i głodem, czy wyłącznie z uwagi na „własną korzyść"? Nie należy naturalnie przeciągać w interpretacji struny, ale wyznanie o miłości do żony ma w ogólnej sowizdrzalskiej tonacji opowieści dźwięk zaskakująco szczery, czysty i głęboki. Zdany na łaskę i niełaskę swego zamożnego protektora, golec hiszpański rewindykuje w sposób paradoksalny prawo do jedynej jaka mu pozostała niezależności serca. Z niespodziewanym gestem odwraca się od wszystkiego, co dotąd uchodziło — nawet w dołach społecznych — za „reguły gry". Burzy schemat. Staje się właśnie postacią, bohaterem „problematycznym". I toruje drogę bohaterom jednej z *Nowel wzorowych* Cervantesa, *Zazdrośnika z Estramadury*. (Nawiasem mówiąc, Cerventes był pilnym czytelnikiem *Łazarzyka z Tormes:* opowiedziana tam historia *escudero,* głodującego i dumnego rycerza, odżyła później w innej formie na kartach *Don Kichota).*

V

Cervantes pisał *Nowele wzorowe* w pierwszej dekadzie XVII wieku, wydał je w roku 1613, czyli niemal dokładnie w sto lat po powstaniu *Mandragoli.* Czytając *Zazdrośnika z Estramadury,* odnosi się chwilami wrażenie że świadomie podjął i postawił na

głowie temat Boccaccia i Machiavellego. Uderza przede wszystkim doprowadzenie do absurdu, i jak gdyby skompromitowanie, tradycyjnych dotąd rekwizytów gry miłosnej: fortecy, machiny oblężniczej, fortelu.

Zbogaciwszy się niepomiernie podczas licznych podróży zamorskich, Filip Carrizales z Estramadury postanowił na stare lata (pod siedemdziesiątkę) osiąść w Sevilli i dokończyć żywota w dostatku i spokoju. Rychło jednak w samotności zaczęła go dręczyć myśl, że nie ma komu zostawić zgromadzonego z takim trudem majątku. Czuł jeszcze w sobie na tyle wigoru męskiego, by zaryzykować ciężar małżeństwa. Pragnienie ożenku owładnęło nim bez reszty, lecz równocześnie w wyobraźni odezwały się pierwsze ukłucia zazdrości: był bowiem zazdrośnikiem z natury i usposobienia, mimo że nigdy dotychczas nie miał do zazdrości powodu jako stary kawaler. Gwałtowność tego uczucia zdawała się już podważać jego projekty matrymonialne, gdy oto pewnego dnia przechodząc ulicą ujrzał w oknie Leonorę, śliczną panienkę w wieku lat trzynastu lub czternastu. Oczarowany jej wdziękiem i młodością, powiedział sobie w duchu: „Dziewczę jest piękne, a sądząc z wyglądu domu, nie powinno chyba pochodzić z zamożnej rodziny. Toż to prawie dziecko, jej młode lata uciszą moje podejrzenia. Pojmę ją za żonę. Zamknę ją na cztery spusty i tak się z nią obejdę, że nie pozna innego stanu prócz tego jaki ja jej dam poznać. Nie jestem taki znów stary, by porzucić wszelką nadzieję posiadania dziedzica. Nie ważne czy ma posag, starczy moich pieniędzy dla wszystkich: bogaci nie powinni szukać złota, lecz szczęścia w małżeństwie. Radość przedłuża życie, a kłótnie między małżonkami je skracają. A zatem stop: kości są rzucone. Tę ślicznotkę dobre nieba chcą mi dać za żonę".

Jak powiedział, tak zrobił. Poprosił o rękę Leonory i został przyjęty. Ze ślubem zwlekał, bo wiele czasu zajęło mu przygotowanie uplanowanej twierdzy małżeńskiej. Kupił dom w najlepszej dzielnicy miasta, kazał w nim zabić wszystkie okna wychodzące na ulicę i podwyższyć wszystkie mury, połączył ruchomym kołem bramę zewnętrzną z bramą wewnętrzną by dostawcy nie musieli wchodzić nawet za pierwszy próg, w stróżówce za zewnętrzną bramą umieścił starego murzyna-eunucha, zaopatrzył się w jedyny klucz do obu zamków który w dzień zamierzał nosić na szyji a na noc chować pod materac, sprowadził przyszłej żonie do towarzystwa sześć młodziutkich niewolnic o gwarantowanym dziewictwie, całość zaś fraucymeru powierzył nadzorowi starszawej już lecz cnotliwej ochmistrzyni. Gdy dzieło było gotowe, ruszył z Leonorą do ołtarza. Jej rodzice, ubodzy choć pieczętujący się herbem, czuli się tak jakby składali jedynaczkę w białym welonie do grobu.

Obwarowawszy się za wysokimi murami obronnymi, „poczciwiec jął kosztować jak umiał owoce małżeństwa, które Leonorze, nie zwyczajnej innym, nie wydawały się ani smaczne ani mdłe". Skoro świt, cała komitywa udawała się na wczesną mszę. Dnie upływały żonie i jej towarzyszkom na zabawach i coraz to nowych wybrykach łakomstwa. Mąż, upewniony wreszcie że nic mu nie grozi ze strony „zręczności i złośliwości ludzkiej", promieniał i uprzyjemniał mieszkankom swej fortecy życie ciągłymi podarkami. „Niech mi powie najprzezorniejszy i najchytrzejszy z ludzi jakież jeszcze środki ostrożności mógł był przedsięwziąć stary Carrizales, który doszedł do tego że wzbronił dostępu do swego domu nawet zwierzętom rodzaju męskiego. Nie widywano tu kotów ścigających myszy, nie słyszano szczekania psów; przyplątywały się tylko czasem, i były tolerowane, kocice i suki. Nigdy stopa mężczyzny nie przestąpiła progu dziedzińca wewnętrznego. Za dnia stary Carrizales rozmyślał, nocą czuwał. Interesy załatwiał na ulicy. Na arrasach zdobiących ściany salonów i saloników prawo obywatelstwa miały wyłącznie córy Ewy, kwiaty i rośliny. Cały dom pachniał uczciwością, skupieniem i wstydliwością: nawet w historiach opowiadanych przez służki przy kominku podczas długich wieczorów zimowych nie można było wykryć ni cienia rozwiązłości. Srebrna siwizna męża wydawała się Leonorze czystym złotem, gdyż pierwsza miłość dziewcząt odciska się w ich duszach jak pieczęć w wosku. Nadmierny dozór w jakim żyła wydawał jej się roztropnością człowieka doświadczonego; była przekonana, że wszystkie nowopoślubione mężatki przeżywają coś podobnego. Jej myśli nie śmiały wyjść poza ściany domu, jej pragnienia zdążały wiernie ślad w ślad za pragnieniami męża. Świat nie znał przenigdy równie surowego klasztoru, bardziej odosobnionych mniszek, lepiej strzeżonych złotych jabłuszek. A przecież zdołał wtargnąć i tutaj".

Wtargnął, po długim i upartym oblężeniu, w osobie urodziwego młodzieńca nazwiskiem Loaysa, członka bandy sevillskich lekkoduchów i uwodzicieli. Przebrany za ślepego na jedno oko żebraka o kulach (pomysł z *Mandragoli*), Loaysa siadał wieczorami pod zewnętrzną bramą warowni Carrizalesa i przygrywając sobie na gitarze, śpiewał zmienionym dla niepoznaki falsetem ucieszne piosenki. Murzyn-eunuch ze stróżówki, czuły z przyrodzenia na muzykę, wdał się z nim w końcu w rozmowę. Żebrak obiecał mu że nauczy go wszystkich znanych sobie piosenek, jeśli zostanie na kilka dni i nocy wpuszczony do stróżówki za bramą. Ustalili że rozmontują zamek, a potem go na nowo po cichu przybiją; i że nauczyciel będzie za dnia spał w najciemniejszym kącie, a noce poświęci lekcjom. Tak też uczynili.

Następnej już nocy odgłosy muzykujących seansów zwabiły

pod wewnętrzną bramę cały fraucymer. Od słówka do słówka, wyszło na jaw że za murami twierdzy znalazł się autentyczny mężczyzna. Ochmistrzyni i służki wyborowały dziurkę, by go zobaczyć. On zaś, świadom efektu chowanego w zanadrzu, zrzucił z siebie przebranie żebraka, objawił się w całej swojej młodzieńczej krasie i pięknym, jedwabistym głosem zaśpiewał jedną z piosenek. Zachwycone i podniecone jego urodą, postawą i prawdziwym strojem ukrytym pod łachmanami nędzarza, białogłowy wtajemniczyły w sekret Leonorę. Nie dała się długo prosić i przystała do spisku. Ustalono że towarzysze Loaysy przyniosą nazajutrz po zmroku maść usypiającą, że Leonora natrze nią skronie męża, po czym wykradnie spod materaca upragniony klucz. Tak też uczyniono. Przed wpuszczeniem śmiałka za wewnętrzną bramę, odebrano od niego solenną przysięgę że żadnej z obecnych w seraju niewiast nie stanie się nic zdrożnego. Złożył ją chętnie.

W saloniku przylegającym do komnat fraucymeru zabawiano się śpiewem i miłą konwersacją, aż wreszcie pierwsza poczuła wolę Bożą ochmistrzyni. Młodzieniec przyobiecał jej z galanterią wszelkie rozkosze, ale pod warunkiem że dane mu będzie przedtem zakosztować smaku Leonory. Ochmistrzyni, spięta ostrogą słodkiej nagrody, zabrała się ochoczo do przekonywania swej pani; i przekonała ją. „Lecz taka była odwaga Leonory, że młoda żona Carrizalesa potrafiła ją na czas przeciwstawić nieokrzesanej gwałtowności podstępnego uwodziciela: nie dostało tej gwałtowności by przemóc i posiąść ofiarę, toteż Loaysa natrudził się po próżnicy, a Leonora pozostała zwycięska na placu, i oboje usnęli". Sen zmorzył również wszystkie służki, łącznie z ochmistrzynią.

Tymczasem — czy że maść okazała się słabsza niż przewidywano, czy że zazdrość okazała się od niej silniejsza — Carrizales wydobył się z objęć Morfeusza. Pomacał łóżko obok siebie, a że nie namacał tej której szukał, zerwał się żywo na równe nogi jakby mu naraz lat ubyło. Krążąc ze świecą po uśpionym domu, zaglądając to tu to tam, trafił w końcu na miejsce zbrodni. W półmroku komnaty „ujrzał to czego nie chciałby nigdy ujrzeć, odkrył to czego za cenę własnych oczu nie chciałby nigdy zobaczyć: ujrzał Leonorę w ramionach Loaysy, pogrążonych w tak głębokim śnie, jakby to im, a nie staremu zazdrośnikowi, natarto skronie cudowną maścią" (scena ze *Słowika*, choć bez właściwego „słowika"). Resztkami sił, i nikogo po drodze nie budząc, powlókł się z powrotem do sypialni małżeńskiej; zamierzał uzbroić się w szpadę i krwią obojga kochanków zmyć plamę na swym honorze. Tam jednak siły ostatecznie go opuściły, upadł zemdlony na łóżko.

„Wstał dzień i zaskoczył parę neo-cudzołożców zaplątaną w sieci swoich ramion". Zbudził się także fraucymer. Ochmistrzyni

śpieszno było po odbiór nagrody, ale powstrzymało ją wysokie już słońce. Przeznaczyła więc na wyegzekwowanie zapłaty najbliższą noc, teraz zaś pociągnęła czym prędzej swoją panią do małżeńskiej alkowy, gdzie na widok nieruchomego jak głaz Carrizalesa uściskały się z radością. Potrząsany i obracany na wszystkie strony, stary zazdrośnik ocknął się nareszcie, westchnął głęboko i utopił w żonie smutny wzrok. Patrzył na nią długo w milczeniu, po czym kazał jej zawezwać natychmiast rodziców: dokuczało mu serce, spodziewał się rychłej śmierci. Leonora, wydawszy murzynowi polecenie, wróciła do męża i nuże obsypywać go tak czułymi pieszczotami i takimi zaklęciami miłosnymi, jakich biedak nie zaznał był i nie słyszał od niej nigdy dotąd w swym krótkim małżeństwie. Jej rodzice zastali ich obojga trzymających się za ręce i płaczących: ona płakała towarzysząc jego łzom, on bolejąc nad jej obłudą.

Gdy zapanował nieco nad sobą, wygłosił do teściów obszerne przemówienie w dwóch częściach. W pierwszej opisał swą miłość do młodziutkiej żony, wszystko co z miłości zrobił by uchronić przed złym światem klejnot jej urody i czystości, i porażkę jaką poniósł tej nocy przyłapawszy wiarołomną w objęciach kochanka. Drugą skierował przeciw samemu sobie. Powinien był — nieszczęsny! — wiedzieć, że nie pogodzisz siedemdziesięciu lat męża z piętnastoma laty żony; powinien był przeczuwać, że niby jedwabnik buduje sobie kokon w którym wypadnie mu umrzeć. Postanowił zatem być równie wielkoduszny w zemście, jak był wielkoduszny w miłości. Niech się tu zaraz stawi notariusz dla zmiany testamentu: Leonora otrzyma podwojony zapis, do którego dołączona będzie prośba by natychmiast po śmierci swego starego męża poślubiła swego młodego kochanka. Winowajczyni ledwie zdołała wyszeptać zbielałymi wargami: „Żyjcie długie lata, mój panie i jedyny skarbie! Jakkolwiek nie mam prawa żądać wiary dla mych słów, wiedzcie że obraziłam Was tylko w myślach".

Niebawem Leonora przywdziała wdowi welon i czernią owinęła swe zranione serce. W tydzień po pogrzebie wstąpiła do klasztoru o najsurowszej w Sevilli klauzurze. Loaysa, pożegnawszy się z nadzieją sięgnięcia po trofeum udanego oblężenia i fortelu, wsiadł na okręt idący do Indii.

VI

Udanego oblężenia i fortelu, bo *ad majorem Dei gloriam* nowela Cervantesa została w Hiszpanii Filipa II i Świętego Ignacego Loyoli ocenzurowana i poprawiona przez autora. W oryginalnej wersji młodzi kochankowie skonsumowali cudzołóstwo: Loaysa nie musiał się bynajmniej „trudzić po próżnicy", a jego „słowik" odśpiewał w „cudzej klatce" od pierwszej do ostatniej nutki swoją nocną pieśń.

Ślady tej bogobojnej operacji kosmetycznej są w tekście widoczne. Poczucie częściowej winy jest dla psychologa za słabym wytłumaczeniem nagłej i gwałtownej euforii miłosnej, z jaką Leonora po powrocie ze schadzki krząta się koło złożonego niemocą męża; bystre oko dostrzeże tu raczej podświadome resztki wielkiego i radosnego odkrycia. Urwane w pół słowa wyznanie o ocalonej wbrew poszlakom czystości („obraziłam Was tylko w myślach") nie brzmi zbyt przekonywająco. Sam Cervantes zresztą liczył się najwyraźniej ze sceptycznym uśmiechem czytelnika, skoro w ostatecznej wersji tak zakończył *Zazdrośnika z Estramadury:* „Nie wiem z jakiej przyczyny Leonora z większym ogniem nie usiłowała uniewinnić się w oczach zazdrosnego męża, nie próbowała mu uprzytomnić jak czysta i niepokalana wyszła z owej przygody; lecz zmieszanie które jej spętało język, i szybkość z jaką umarł stary Carrizales, nie dały jej dość czasu na odepchnięcie oskarżenia".

Należy więc wyobrażać sobie Leonorę winną i milczącą, w niczym nie naruszając pozostałych elementów opowiadania. Dopiero wtedy uzyska ono nową i głęboką perspektywę, niespotykaną w literaturze renesansowej. Dopiero wtedy też, na gruzach intrygi pokonanej przez miłość wolną od dotychczasowych schematów i przemawiającą tajemniczym językiem gestów negatywnych, zobaczymy trójkę protagonistów w roli bohaterów „problematycznych": starego Carrizalesa, który przebacza w imię swej zaślepionej i oszukanej miłości; Leonorę która poznaje prawdziwą miłość w ramionach kochanka, a jednocześnie odkrywa inną — również nieznaną — nad grobem męża, i pełna rozterki zagrzebuje się za życia w celi klasztornej; Loaysę który zastawia sidła intrygi dla zabawy i z męskiej próżności, aby skończyć w ich potrzasku i na zawsze porzucić widownię swego pyrrusowego zwycięstwa.

Ma się ochotę tu wyznaczyć punkt narodzin takiej powieści, do jakiej przyzwyczaiły nas następne stulecia. I bierze pokusa rozszerzenia tła. Europę drążyły reformacja i kontrreformacja, zaciemniała się i zamącała renesansowa „jasność", pogłębiała się i dramatyzowała wizja człowieka. Gdy w połowie XVI stulecia umierał w Loreto wielki i na owe czasy śmiały portrecista wenecki Lorenzo Lotto, dzieckiem był jeszcze Fra Paolo Sarpi, mnich wenecki o duszy i umyśle protestanta a o twarzy jak z portretów nowatorskiego Mistrza, autor maksymy: *Le falsità non dico mai mai, ma la verità non a ogniuno* — Kłamstwa nie mówię nigdy i nikomu, prawdy nie mówię każdemu. Jak kpiliby z tej maksy-

my Boccaccio i Machiavelli, jak rozumiałby ją Cervantes! Lotto ze swoją inspiracją biblijną uważany jest przez wszystkich niemal historyków sztuki za prekursora Holendrów, prowadzi w prostej linii do Rembrandta z jego nieprzeniknionymi i trudnymi do odcyfrowania twarzami męskimi, z jego najpiękniejszym i najbardziej zagadkowym w malarstwie światowym aktem kobiecym *Betsabe*.

Wyemancypowana z intrygi, miłość w literaturze wkroczyła na inne tory. Od *Princesse de Clèves* do „dziwnych pasji stendhalowskich", od *Madame Bovary* (w której, jak trafnie podkreśliła Mary McCarthy, jedyną na wskroś romantyczną postacią jest biedny rogacz Charles) do „bezużytecznej" namiętności Swanna, każdy kolejny utwór nowej szkoły serc spychał na dno zapomnienia renesansową formułę „w miłości jak na wojnie".

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

KWARTALNIK

DROGA

Wolna trybuna polskiej myśli demokratycznej

Zeszyt 2 tomu II (wiosna 1966) zawiera m.in.

Tysiąclecie — Uwagi o przemianach ideologicznych — Autoalienacja prof. Schaffa — Dyskusje z komunizmem we Francji — Glossy, komentarze, sprawozdania.

Cena egzemplarza 3 F.

W prenumeracie za 4 zeszyty 10 F.

Wyd. ŚWIATŁO, 5, rue d'Alsace, Paris 10e

konto poczt. PARIS C.C. 98 98 28

DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH POLSKICH

Zapiski bywalca

Gołąbek grucha, ja słucham, gdy przestanie gruchać — ja przestanę słuchać! Tak było i z nią! Przestał — i ona przestała. Biedne, emigracyjne dziewczę!

Napisałem o tym do znajomej w Warszawie, dobrej znajomej, z którą nie tak jeszcze dawno było się na wozie i pod wozem, wprawdzie w różnych okolicznościach i oddzielnie, ale zawsze mieliśmy dużo wspólnego, choć wozy były różne. Może różnią się i teraz, tylko ja nic na ten temat nie piszę. Nie znam się właściwie aż tak dobrze na tego typu pojazdach, zwykły mechanizm koła mnie przeraża, i — wstyd wyznać — wolałbym często podróżować leniwym meksykańskim mułem, którego czasem trzeba mocno od tyłu popychać, by ten podał się ku przodowi, niż jakimkolwiek innym środkiem pociągowym, ale ona, jak każda chyba kobieta, tego rodzaju sprawy mierzy sercem, zamiast głową. Głowa u niej — owszem — nie powiem i włos też, tylko że bezpieczniej chyba o tym nie mówić!

— Co? Powieść? Ty? Od kiedy, zalała mnie słowami, przygwoździła kobiecą elekwencją.

Dużo nauczyłem się z jej listu, właśnie tego, pełnego wykrzykników literackich, choć korespondowaliśmy z sobą dość często i myślałem, że nie miałem żadnych zaległości psychologicznych dotyczących jej osoby.

Owszem, miałem! Natura kobieca wymaga czujnej konfrontacji i stałych uzupełnień psychologicznych. Fizycznie, zmienia się ona również jak kameleon, ale to jest już sprawą zakładów kosmetycznych, a nie natury i jej niedociągnięć.

W jej zachowaniu się dostrzegłem zagadnienie ogólne, konflikt spódnicy jako takiej, z męskimi pantalonami, z którego jak igła z worka, wyłonił się nieśmiertelny problem płci, zeszpecając całkowicie problem słowa.

— Pisać, czy nie pisać — pomyślałem — po przeczytaniu jej listu, który jednak pochodził z Warszawy, od osoby mieszkającej w zacisznej dzielnicy, w mieszkaniu z dużym, zapatrzonym w park oknem. Chodziłem tam swego czasu z takim samym namaszczeniem, jak Gombrowicz po przyjeździe do Paryża, gdy biegł pod kamieniczkę Sartre'a.

Biedny Gombrowicz! W tym właśnie okazał się on prowincjonalny, nie doceniający samego siebie. Przecież Sartre, to mądrość wyszperana w książkach, kupiona w szkole, Sartre to tylko wielki gracz, gdy Gombrowicz, to kapłan. Gracze przychodzą i odchodzą, walczą o stawkę i giną na naszych oczach, kapłani zaś, nawet zamknięci w sobie, zniewalają swoje otoczenie, zmuszają je do myślenia. Gombrowicz zniewala, Sartre zaciekawia tylko.

Pisarz reaguje często jak alkoholik. Nie może uwolnić się od swego nałogu i tak jak alkoholik bagatelizuje swoje otoczenie, tak pisarz zapomina czasami o czytelniku. Gdyby usiłował on swoją historię zmieścić na kilku stronach, skondensować, zrobić z niej syrop językowy, może wtedy jego proza byłaby początkiem nowej szkoły, wstępem do nowego stylu, ale pisarz ma w sobie dużo również z kobiety, czy raczej z tego jej gatunku, który u nas nazywano powszechnie przekupką, teściową, roztrajkotanym gramofonem, żandarmem w spódnicy, nie dającym nikomu przyjść do słowa.

Jakież musiały to być przyjemne czasy, gdy kobieta, nie koniecznie dobrze urodzona i wykształcona — zawsze jednak bogata — otwierała za czasów romantyzmu i potem salon literacki, by w nim mogli dyskutować Szatobriandy, Sztendale i Prusty, a ona — wzór dyskrecji — przysłuchiwała się tym debatom z taką intensywnością, jakby każde ich słowo było wzięte z jej podręcznego sekretarzyka, ukrytego dyskretnie w buduarze. Dziś, musiała by to być „herod baba", która za wpuszczenie do siebie pisarzy i artystów, częstowałaby ich potokiem nieskoordynowanych słów. Wszyscy musieliby wysłuchać ich z nabożeństwem, prawić wydrze komplimenty, podkreślać że się wcale nie starzeje, a przeciwnie z każdym dniem wygląda młodziej, jak nowomianowana miss Ameryka czy Siamu.

Naturalnie, pisarz w jej salonie, opukując soczystymi komplimentami jej jałowe wdzięki, robiłby to wszystko dla zalet kuchni, chlał do nieprzytomności wódę lub inne ordynarne ale mocne trunki, pozytywnym zaś owocem tej pseudo intelektualnej wiwisekcji, byłyby seksualne nieszpory, wśród niepokonanych alkoholem biesiadników.

Nowe czasy, nowe zwyczaje i można się sprzeczać z wieloma historykami, którzy określają naszą współczesność wiekiem atomowym. Atom wprawdzie jest — tu i tam słyszy się o nim — ale jeszcze więcej jest rozbestwienia seksualnego, bredni na ten temat w słowie, wykładów i zachęceń idących z góry, a nawet uniwersytety prześcigają się, by zainteresować tym zagadnieniem młodzież i ściągnąć ją w swoje mury. Slogan: Precz z moralnością, wszystko dla seksu, odpowiadałby dziś bardziej, niż wypłukane z treści hasła patrycjuszy kultury, czy ojców kościoła.

O salonach tego rodzaju słyszy się często po obu stronach oceanu. Wydaje się, że z emancypacją kobiet, a zwłaszcza z ich usprawnieniem militarnym doszły one do tak muskularnej i atletycznej p h y s i q u e, że prześcigają w wielu wypadkach dorodnych olimpijczyków. Z potęgą mięśni, miała przyjść również potęga umysłu, ale czy te właściwości wędrują paralelnie?

Kobietom naszym należy się dziś wielkie dzieło, napisane przez znamiennego, współczesnego pisarza. Przypuszczam, że talent Gombrowicza zgłębiłby doskonale, ten trudny i niepokojący wielu przedmiot.

Kobieta dzisiejsza, to już nie ta dawna, znana nam z opowiadań Żmichowskiej, a nawet zakropiona soczystymi grymasami przez Magdalenę Samozwaniec, matrona czy niewiasta. Tamte kobiety, w naturalny dla nas sposób, łączyły się z matkami i siostrami, wprowadzały w życie mężczyzn aurę doskonałości, ładu, uległości. Dzisiejszy jej odpowiednik, to nieskoordynowany fantom nerwów, impulsów, odruchów, zachcianek — słowem, nowy twór, czasem ni przypiął ni przyłatał — nie podlegający dawnym klasyfikacjom i nie mieszczący się pod rubryką: białogłowa. Jest on często rodzajem odmiennym zupełnie, czasami pośrednim lub ślepą mistyfikacją, która nie posiada płci, a nawet w ubiorze sięga poza męską fantazję, zmierzając do pierwotnych, jaskiniowych prawie upodobań.

Nie wiem, kto kobietom dyktuje ich zewnętrzny strój? Nie są to, z całą pewnością, kobiety dbające o ich płeć i historyczne miejsce w kuchni, nie są to również mężczyźni, pragnący ubóstwiać je, wywyższać, darzyć luksusem. Często myślę, że mody, które jak rakiety zalewają świat, Paryż po to tylko wymyśla, by w kobiecie zniszczyć jej kobiecość. Zabić płeć. Powojenne zaś amazonki, które szczęśliwie rywalizowały z mężczyznami w podziemiach i partyzantkach, zachowują się teraz czasami tak, jakby mężczyźni nie byli im zupełnie potrzebni. Nawet dla celów biologicznych.

Ja, który całe życie kochałem naturę i nie przestałem jej kochać, chciałbym w jakiś sposób przestrzec cały rodzaj żeński,

wywieść go — jak Mojżesz swych Żydów — z grożącego mu niebezpieczeństwa współczesności, zawieść do mojej Ziemi Obiecanej, na jakąś bezludną tropikalną wyspę — ale udaje mi się to tylko czasami, wśród — niestety — ciągle tych samych, najbliższych moich znajomych. Powiedzmy — krótkie wakacje nie sprzyjają tego rodzaju misji!

Brak czasu, uniemożliwia dziś ważne nawet reformy i nie pozwala dotrzeć do sedna jakiejkolwiek sprawy. Można tylko napisać na ten temat kilka zaledwie słów, a i to w godzinach, skromnie uzbieranych z prywatnych oszczędności.

Wprowadzając moją historię w świat fikcji, poruszyłem bolączkę dzisiejszej kobiety, jedynie na marginesie. Łudzę się, że może moje słowa, zapłodnią jakiegoś tytana prozy, będą ową przysłowiową manną, ocalającą jego potencjalny i w zawiązku geniusz. Po jakie licho wspominać doliny dzieciństwa, szkolne lata i okres pokwitania, gdy oto kobieta współczesna stoi przed nami w tragicznym splendorze i domaga się ponownego jej odczytania. Pokryta liszajem współczesności, czeka na szczegółową analizę, wiwisekcję, a może nawet na cesarskie cięcia. Rozbierzcie więc ją, przeanalizujcie, wglądnijcie w zakątek nie tylko jej duszy ale i domu, dotknijcie każdego szczegółu — wykazując nam, a zwłaszcza im — więcej im niż nawet nam, jak przy szczęku oręża, huku bomb, w zamęcie rakiet i kosmicznych wyścigów, kobieta — sedno spraw ziemskich — zaczyna wymykać się nam z rąk, gdyż ze wszystkich znanych nam istot, ona, we współczesnym katakliźmie, najbardziej ucierpiała. Jej obecny rozwój, a raczej przekształcanie się, ma coś z tragedii Szekspira i jeżeli nie poczynimy zapobiegawczych kroków, sceny naszych domów, pokryją szczątki dawnej kobiecości, nieprzydatne do niczego, afunkcyjne i akobiece.

Dawny ideał białogłowy, przejdzie na naszych oczach do historii, w zamian otrzymamy coś, czym prawdopodobnie nie będziemy mogli się pochwalić, nie tylko przed potomnością, ale naszym najbliższym sąsiadem, coś zupełnie nie nadającego się na użytek domowy.

Mój utwór, nie ma aż takich pretensji. Staram się zaalarmować społeczeństwo i z lokalnego podwórka wołać o ratunek. Może przesadzam, może się mylę, ale widzę ciosy spadające na emigrację i dlatego proszę o naszego Gallupa.

Fakty, nawet w lokalnej skali, dobrze dopasowane, uniwersalizują się i nabierają oczywistych cech. Tylko jak je potem wtłoczyć w kategorie zdań, podciągnąć pod mianownik powieści? Dawny, stary artyzm, nie wystarczy tu, wolę więc chudość swoich słów wyjałowić zupełnie, odtuczyć i zamienić w prozę z garbem, ustawić przed oczami czytelnika nie osoby ale szkielety,

które przechodząc z jednej krańcowości w drugą, zgubiły nie tylko swój wygląd, ale proporcje wiążące ich życie z czasem.

Nie jest winą nas — ocalałych — że jesteśmy i właściwie nie ma nas. Jesteśmy, gdyż w pewnym sensie kończymy zaczęty w nas czas, a nie ma nas dla nowego jutra, przed którym stoimy bezradnie.

Ludzie, którzy odebrali nam dzień wczorajszy, zasługują na najwyższą karę, gdyż pozostawili nas w próżni bez horyzontu i perspektyw, pozbawionej tlenu. Czas nasz blednie i zapada się w mrok, jak w obrazach Kafki, tylko że Kafka był chorowitą konstrukcją pod każdym względem. W życiu i w twórczości. Pisał dla siebie, by wewnętrznie się uzupełnić, zabić pamięć ojca. Nie czuł się pisarzem, nie żył dla literatury, nie cierpiał dla niej. Jego sądy, więzienia, kolonie karne, były obrazem jego wnętrza, sprawą osobistą, a nie proroczą wizją państw totalnych, czy ludowego chaosu, zwanego komunizmem. Dlatego należy pozostawić go w jego prywatnym świecie, nie dawać mu przymiarek społecznych, gdyż nie obchodziły go grupy ludzkie i społeczne zagadnienia, a ci którzy starają się zamienić go w Scypiona współczesnej literatury, reformatora i proroka nadchodzących czasów, wyrządzają mu krzywdę.

Chcę być sam — zdaje się on mówić — ale dziś, gdy każdy musi gdzieś należeć, deklarować się za lub przeciw, o coś walczyć i nawet ginąć, program Kafki bycia tylko człowiekiem nie wystarcza. Jest tak wielki, że w pewnym momencie staje się bez znaczenia. Sam człowiek, to dziś za mało. Musi on w naszych czasach mieć jakiś przymiotnik, jakąś etykietkę lub numerek.

— Czyś zwariował na tym pustkowiu? — pisała w dalszym ciągu moja znajoma z Warszawy. Musisz natychmiast wracać, dodawała już niby czule, ale ja znałem tę czułość podszytą jadem radości. Mówiła jeszcze o możliwości nabawienia się choroby, o krajach kapitalistycznych, które sprzyjają epidemii cierpień umysłowych, list był długi, kobiecy, przeszedł po mnie jak trzęsienie ziemi, a choć w dalszym ciągu trzymam się jako tako w ryzach, to mój wewnętrzny kontynent zadrżał poważnie w posadach.

A jednak piszę! Jestem wstrząśnięty wypadkiem śmierci, tej właśnie, tak bliskiej, zahaczającej o nas wszystkich, omalże symbolicznej, stawiającej znak zapytania nad naszym dobrym, emigracyjnym światem.

Tak właśnie pisałem do mojej znajomej z Warszawy, twierdząc że jest to śmierć pod wieloma względami tragiczna, domagająca się przynajmniej ode mnie zastanowienia, drobnej pamiątki — lichtarza słów. Z drugiej zaś strony całkowicie bez-

owocna, zwłaszcza tu, na emigracji, gdzie każde życie liczy się na wagę złota. W normalnych przecież okolicznościach, Zmarła żyłaby jeszcze, cieszyła się rodziną, przyjaciółmi, telewizją, a może nawet tak popularnymi dziś „beatlesami"? Może? Niestety, nigdy tych szczegółów nie dowiemy się już.

— Czyż nie jest to więc — pisałem do warszawskiej znajomej — wypadek wyjątkowy, śmierć oskarżająca nas wszystkich, nie tylko emigrację?

Ale ona nie chciała mnie słuchać i może zapomniałbym zupełnie o tym liście, gdyby nie mary męczące mnie w snach — ich mary, nie moje — które przychodzą tu aż zza oceanu i tak długo mnie męczą, aż przygnieciony ich obecnością, dzwonię do biura paczek i wysyłam swojej warszawskiej znajomej i innym członkom rodziny, pół tuzina paczek, pięć recept z lekarstwami, dolary i to amerykańskie, nylony, pieprz, penicylinę, węgiel i złote krople na serce.

Potem mary znikają, ale tylko na krótki czas, bo nawet mary wiedzą, że człowiek nie jest z żelaza, że musi odpocząć, przygotować się finansowo.

Przed świętami, następuje istna epidemia. Nie wiadomo co się właściwie dzieje u nich, gdyż ulokowali się w bardzo niewygodnej części świata, za szczelną kurtyną, ale z relacji mar, nawiedzających mnie, nieustannie wynika, że młodzi wchodzą tam kilka razy w związki małżeńskie, ciotki i babcie nagminnie umierają, a mimo to żyją, trzy czwarte ludności zapada na różne choroby, a jedną czwartą męczy śmiertelna gruźlica, dlatego my tu — zdrowi i silni — nie możemy otwierać tylko naszych serc, gdy oni tam czekają na otwarcie kies.

Wypada zaś, że poprosisz o książeczkę, to zaraz zapytują zdziwieni: — Skąd wy macie czas na czytanie? Nic dziwnego dodają — listem lotniczym i do tego poleconym — że twoja hojność maleje? U nich — wiadomo — walka o byt, na lekturę nie ma czasu, tylko co my o tym możemy wiedzieć na zamożnym Zachodzie? Owszem, na odczepnego wysyłamy im paczki, tego nie przeczą (lekarstwa, boczek, ubranie — naturalnie wybrakowane ciuchy), ale to kropla w morzu, przy ich wojną wyostrzonym głodzie. A my tu zawracamy im głowę książkami.

Pisarzom ich — owszem — wiedzie się niezgorzej, rząd im płaci, gdyż muszą z czegoś żyć, ale to nie znaczy, że muszą pisać. Upartych natomiast uprasza się, by nie próbowali drukować swoich płodów. Lepiej zamknąć to w szufladzie i basta. Stąd powstał znany wszystkim slogan pisania do szuflady. Był nawet taki okres, coś jak szykany wielkości, że wszyscy grozili szufladami, ale gdy rząd zdecydował się do nich zajrzeć, to co się okazało? Oczywiście, świeciły one pustkami! Ten i ów miał

w nich jakieś świstki, które po sprawdzeniu, okazały się spisem wypitego alkoholu. Możliwe, że rząd nie zgrał swej akcji z literatami, i że wtedy, wśród nich był okres picia, a nie pisania, czemu zupełnie niedziwił bym się, znając zmienną i mało zdyscyplinowaną naturę pisarza? A rząd przecież działa planowo — pięciolatkami!

Utarł się potem zwyczaj, który chyba trwa do dziś, że przyjmowanie do Zawodowego Związku Literatów odbywało się na podstawie „chowania" do szuflady, a nie drukowania. Kraj na tym nie traci, a rząd korzysta, gdyż w razie potrzeby może takich „chowających" literatów mnożyć w tysiące, a potem zbierać podpisy.

Emigracja również, dzięki kontaktom z krajem, podniosła stan etatowy Pisarzy na Obczyźnie, bo niby my to od macochy!

Życie tu, życie tam i ja z latami zmagazynowanymi w emigracyjnym kuble, z cienką warstwą, mocno przybrudzonej i wyblakłej, różowej piany młodości, przesłaniającej ich wewnętrzny sens. Tylko wyobraźnia odrywała się od życia i pędziła jak jaskółka za drobnym w powietrzu owadem. Odbijałem się wtedy od ziemi, by tym silniej na nią upaść i z obolałym ciałem, rozglądać się po pokoiku na Dobrej, u owej Rózi, która jedną nogą, grubą i pomarszczoną, siną od żylaków, jest już dziś w literaturze.

Potem zapomniałem zupełnie o warszawskiej znajomej, żałując takiego drobiazgu jak piętnaście centów, wydanych na znaczek pocztowy. Twarzy jej dziś już właściwie nie pamiętam, ale piętnaście centów wraca do mnie często. Zwłaszcza gdy karmię kanarka, bo wtedy przyłapuję się na tym, że wymierzam mu tylko piętnaście skromnych ziaren, co dla ptaka przy naszych stosunkach gospodarczych, jest porcją głodową.

Słowa jej listu wracają do mnie i uciekają, jak nietoperze biegające w powietrzu, od drzewa do drzewa, i tylko gdy wpadną na rozłupany owal księżyca, widzimy ich nieptasie sylwetki i gumowe ruchy.

I dziś zamiast znajomej, przypomniały mi się owe centy, wyrzucone daremnie, choć nie jestem właściwie biedny, bo w lodówce mam pełno wiktuałów, chodzę ubrany i uprasowany, długów nie zaciągam, a nawet zapłaciłem rentę za mieszkanie. Gdy zaś brakuje centa w kieszeni, to wychodzi się na ulicę, pochyla i już jest dolar w dłoni. Skąd więc te myśli? Niestety, dziwne to ale prawdziwe, czasem mała strata sprawia wielki ból!

Zawiadomienie o pogrzebie przyszło chyba we środę, a może nawet we wtorek wieczorem, choć środa jest tu poręczniejsza.

Dzień Smutku! Więc chyba w środę. W czwartek natomiast byłem w biurze, a w południe, ulokowany na magistrackich schodach pobierałem upał z nieba, czyli zwyczajnie, wygrzewałem się na słońcu. Przedtem zjadłem sandwicze i wypiłem kokakolę. Bardziej wybredni wychodzą na kawę, czasami na herbatę do apteki. Tak, do apteki, nie do restauracji, które — owszem — też tu są, tylko że ludzie nie lubią jakoś do nich uczęszczać.

Apteka, to co innego. Wprawdzie cuchnie różnymi medykamentami, zmieszanymi z parą i gotującą się zupą, wprawdzie zatłoczona jest dziecinnymi zabawkami, a w przejściu stoją książki na żelaznych prętach, ruchomych i wirujących wokół pionowej osi, co może utrudnia wybór książki, ale urozmaica za to wnętrze samej apteki — mimo tych wszystkich przeszkód moi współtowarzysze biurowi, a nawet sędziowie i prokuratorzy, hurmem obsiadają mały kontuar przy wydzielonej ścianie, gdzie w pozycji wiszącej wtłaczają w siebie z pośpiechem niestrawnego „hotdoga" i zapijają go tutejszą kawą. Tutejszą! Bo kawa, aczkolwiek mielona z prawdziwego ziarna, przechodzi prawdziwe tortury bezustannego gotowania się na wolnym ogniu, niby ci święci średniowieczni prażeni w oleju, że nie tylko żołądek ale i wzrok nie może znieść tego wywaru. Do tego jak na złość, gotuje się ona w szklanych, ogniotrwałych zbiornikach, tak że cała akcja odbywa się na oczach widza.

Wisi on przy wąskim kontuarze, siąpi w siebie zupę z okrągłej porcelanowej doniczki, a przed oczami ma czarny brud za szklanym przepierzeniem naczynia, pyrkający w konwulsjach na wolnych, niebieskich płomykach z gazowej maszynki. Potem ten brud wlewają ci do filiżanki, w niektórych aptekach to dla oszczędności nawet do papierowych kubeczków — i każą pić.

— Higiena, postęp, oszczędność — mówią gazety, zachwalające sprzedaż papierowych kubeczków i szklanych „perkolatorów". Gazety są grube, trudno je unieść pod pachą po całodziennej pracy, a wiadomości w nich, jak się to mówiło u nas „ze świecą trzeba szukać".

— Co kraj, to obyczaj — myślisz sobie i gotowy jesteś truć się czarnym wywarem.

Obok siedzi staruszek zardzewiały od lat, sędzia tutejszy, Amor. Ma przymknięte oczy, gdy wlewa w siebie kawę, a po okrągłej pomarszczonej twarzy, przebiegają cienkie włókna ekstazy. Jemu tu wszystko smakuje. Więc siedzi, pije, przymyka oczy, czasami mlaska językiem i każe sobie dolać, gdyż wszyscy wiedzą, że sędzia Amor ma w tej aptece przywilej — za nic nie płaci. Ale dlaczego nie płaci, tego nikt nie wie. Według nieoficjalnych, pantoflowych danych, sięga to czasów, gdy Amor,

świeżo upieczony członek tutejszej palestry, zaczął ponad wszelką miarę poświęcać swój czas butelce i towarzystwu, które w każdym cywilizowanym kraju ma tę samą nazwę: doły i męty społeczne.

Jego klienci z czasem przestali być jego klientami, przenieśli się do innych, bardziej trzeźwych adwokatów, koledzy zaś, gdy chcieli znaleźć Amora, odwiedzali miejskie rynsztoki przed znanymi wyszynkami i nigdy się nie zawiedli. Wreszcie po naleganiach, raportach i pogróżkach policji, wkroczyła w to Izba Adwokacka, Amor znikł całkowicie z horyzontu palestry, a kiedy Miasto miało nieszczęście zobaczyć go ponownie, miał on na sobie togę sędziego magistratu i nieokreślony głupi wyraz na zagadkowej twarzy.

Życie tutejsze niewiele dostarcza rozrywek. Ci, którzy mają jakieś ambicje kulturalne, wyjeżdżają co jakiś czas do Nowego Jorku, lub odkładają je na wakacje. Podróże do Europy nie były jeszcze w tym czasie przymusem wewnętrznym, ale w związku z wojną i emigracją powojenną, ożywiły się jakoś i nabrały mody. Dla wielu, Europa była wspomnieniem bolesnym. Matki i żony jechały tam, by odwiedzić groby synów lub mężów, a potem wstępowały do Paryża, by po żałobie rozerwać się trochę, mieć „good time", co nikogo właściwie nie dziwiło, zważywszy że się jechało tak daleko i wydawało tyle dolarów.

Tak przyszła moda na Europę, ale Amor był zatwardziałym tubylcem, prawdziwym pionierem, zapominał do tego stopnia o „starym kraju", że jawnie gardził napływającą w tym czasie emigracją z Europy. Dawał swym pasjom ulgę, siedząc za sędziowskim pulpitem, co znów musieli łagodzić ojcowie miasta, dbający o pobory podatkowe i wzrost obrotów handlowych powierzonych ich pieczy. Amor był w tym czasie jednym z wielu niepokaźnych sędziów, nigdy nie zabłysł Salomonową mądrością, o co należało właściwie zgłaszać pretensje do Natury, natomiast jego sylwetka była ze wszech miar godna uwagi, a jej krótki pingwinowaty kształt, rzucał się z całą natarczywością w oczy. Nawet krótkowidze i pół ślepi dostrzegali ją.

Nikt chyba nigdy nie widział koloru jego oczu. Poruszał się krótkim, spętanym krokiem, głowę miał opuszczoną tak nisko, że spoczywała ona wygodnie na wydętym brzuchu, a ludzi prawdopodobnie poznawał po głosie, gdyż nigdy na rozmówcę nie patrzył. Ustawiał się bokiem, wysuwał ucho, a potem odbiegał ruchem pękatego szczura i znikał w swoim gabinecie, jak szczur w swojej norze.

Potem nagle umarł pierwszy sędzia Brown, zwierzchnik sądów magistrackich, a po nim objął tę funkcję Amor, drugi po zmarłym, co do długości wysłużonych lat. Pierwszym jego zarzą-

dzeniem, skierowanym do radnych miasta, było powiększenie gabinetu, do którego się przeniósł po zmarłym Brownie, odnowienie go i wyłożenie nowym dywanem, sięgającym od ściany do ściany, jak również wstawienie efektownego przenośnego baru. Miasto, które i tak wyrzucało pieniądze na prawo i lewo, nie przejęło się dodatkowym wydatkiem.

Właśnie, z jaką ślepotą szafuje się tu publicznym groszem! Począwszy od samego „majora" miasta, przez radnych i kierowników poszczególnych wydziałów, oszczędza się natomiast na szarym urzędniczym plebsie, któremu, gdyby nie związki zawodowe, wypłacano by głodowe pensje. Wprawdzie rekrutuje się ten plebs z ulicy, bez jakiegokolwiek zawodowego sita, ale obecni „dyrektorzy" pobierający grube tysiące, zaczynali dokładnie w ten sam sposób, a wielu z nich nawet dziś nie umie poprawnie podpisać się.

Amor. Wszystko w tym człowieku odrażało, był jak zło, szyte grubymi nićmi, którego intencje nawet dzieci mogłyby rozszyfrować, a nie ludzie dorośli. Mimo to po śmierci Browna, niedoszły alkoholik, złośliwy insynuator, objął jego funkcje, cofając w ten sposób historię naszego miasta w ciemne Średniowiecze. To, że zasiadał za sędziowskim pulpitem i interpretował prawo, było tak ślepym zbiegiem okoliczności, jak obraz owej bogini, stereotypowa płaskorzeźba na wszystkich sądach i ministerstwach sprawiedliwości, o zasłoniętych oczach i nie wyrównanych szalach wagi. Nowoprzybyli u Amora nie mogli liczyć na sprawiedliwość.

Nikt właściwie nie czuł się w tym kraju pewnie. Nawet element anglosaski, najbardziej zakorzeniony, tracił grunt pod nogami w zetknięciu się z Francuzami, czy duchowo bliską emigracją z Anglii. Tylko te rzesze rozbitków powojennych, których Hitler nie wykończył w swoich obozach, lub którym polityka wielkich mocarstw odebrała prawo powrotu do rodzinnych stron, mogły jeszcze błogosławić los i dziękować mu, że pozwolił im osiedlić się w tym kraju, gdzie warunki i prawo równały wszystkich i gdzie policja nie mieszała się do religijnych upodobań i rodzinnych nawyków. Oni mogli tu zakorzenić się najszybciej i — czując wdzięczność — stać się najlepszymi obywatelami nowej ojczyzny, tylko że ludzie tego pokroju co Amor — a takich było i dziś jeszcze jest dużo na wszystkich szczeblach drabiny rządowej, samorządowej i w przedsiębiorstwach prywatnych — starali się im bezustannie przypominać, że są elementem niezbyt mile widzianym, że są „nowoprzybyłymi" i pozostaną nimi do śmierci, a choćby nawet chcieli, to nie mają prawa o tym zapomnieć.

Zaczął się więc nawrót. W domach, w salach grup etnicznych, zaroiło się od ojców i dzieci, przepełniły się szkoły parafialne, gdzie nie tylko uczono religii, ale i języka ojczystego.

Od dawna więc nie chodzę do owej apteki na wspólne posiłki, wolę usiąść na schodkach frontowych i fastrygować wzrokiem powietrze. Zapatrzony w horyzont mogę łatwiej kontrolować siebie, ułożyć myśli w spokojną gamę, być po prostu sobą.

— Ty też się zmienisz, jak dłużej popracujesz tam — mówi mi ten i ów.

— Nie, nie zmienię się — odpowiadam.

— Zobaczymy — ?

— Zobaczymy — twierdzę stanowczo. Patrzą na mnie, kiwają głowami, odchodzą. A ja siedzę na zimnym cemencie i pozwalam pamięci babrać się w dawno wypowiedzianych słowach i zatartych twarzach, które już zginęły we mnie i tylko od czasu do czasu nieznana jakaś siła budzi je z zapomnienia i z całą wyrazistością ustawia twarzą w twarz. Jestem bardziej zły na siebie, na swoją niemoc, dziecinną w takim wypadku bezradność. Staram się przegnać je do ich ciemnego królestwa zapomnienia, a one jak na złość zaczynają żyć i mieszać się w moją teraźniejszość.....

— Pan pracuje w policji? —

Pytanie padło zza węgła domu, przy zbiegu ulic Portowej i Alberta.

Ulica Alberta, to strona północna naszego Magistratu, czyli tak zwane tyły. Posługiwanie się stronami świata jest tu powszechnie przyjęte, ma to nawet pewną precyzję, tylko skąd człowiek zabłąkany w śródmieściu, ma wiedzieć gdzie jest południe, a gdzie północ? O tym nikt jeszcze nie pomyślał?

Za pytaniem wynurzyła się postać, typowo emigracyjna, w resztkach wojskowego umundurowania, dostosowanego już do cywilnych wymóg, którego battledress, pozbawiony wojskowych akcentów, przypominał wypłowiałą cywilną wiatrówkę.

Pytanie brzmiało dziwnie, choć słowa były polskie. Wyrzekł je pan w podeszłym już wieku, o zagadkowej bez wyrazu twarzy. Miał on niebieski na głowie beret i wyglądał na pierwszy rzut oka na sponiewieranego życiem starca, ale domyśliłem się że jest on Wyższym Wojskowym. Byłym Wyższym Wojskowym.

Chciałem już mu odpowiedzieć, gdy ten uprzedził mnie: — Policja i wojsko — wie pan — to są najpotężniejsze instytucje w świecie. W każdym kraju bez wyjątku, dodał, i jego spłowiałe oczy zrobiły ruch, usiłując zatoczyć w powietrzu nieokreśloną linię, niby horyzont, zablokowany dachami okolicznych kamienic. Ja, ciągnął dalej cichszym już głosem, jestem specjalistą od zbierania wiadomości. Różnych i różnymi sposobami, ale wypró-

bowanymi do tego zaś niezawodnymi. Tak, tak — tu jeszcze bardziej przybliżył się do mego ucha — wywiad panie, to nauka, to są studia, to talent, a ja — mogę panu powiedzieć — mam go w małym palcu. I pokazał mi drobny, zasuszony kikucik, sam nie wiem której już ręki, ukrywający w sobie tak potężne w dzisiejszych czasach sekrety.

— Ja wiem, ciągnął dalej, pan wojskowy, więc mogę o wszystkim szczerze z panem mówić. Gdybym tylko mógł dostać się do szefa policji, gdyby ktoś zaufany wprowadził mnie w tutejsze ich sfery, bo sam pan chyba wie, ile niebezpiecznego elementu przedostaje się tu z Europy? Tak, nawet z Anglii, dokończył mimo zdziwienia na mojej twarzy. Zdziwienie to zaatakowało wszystkie jej zmarszczki prawdopodobnie od samego początku rozmowy, czego Wyższy Wojskowy, zapatrzony w kominy miejskie, nie dostrzegł.

Staliśmy tak, na rogu ulicy Portowej i Alberta, a ponieważ był to punkt o tej porze dnia wyjątkowo ruchliwy, wolno zaczęliśmy iść, by nie tamować pieszych.

Nie pamiętam już, jak pozbyłem się Wyższego Wojskowego, kandydata na Napoleona tutejszego wywiadu, ale chyba rozstaliśmy się w zgodzie, gdyż do tej pory ma on dla mnie dużo szacunku i kłaniamy się sobie nawzajem przy przypadkowych spotkaniach.

Spotykałem go od czasu do czasu tu lub tam, z wywiadu, jak słyszę, przerzucił się na politykę i prawdopodobnie doszedł do kwitnących rezultatów, gdyż zawsze ma zaróżowione uśmiechnięte policzki. Na twarzy widać mniej zmarszczek, a więcej sytych linii. Twierdzi, że przyjaźni się z ministrami, jest przez nich zapraszany i często, gdy mają oni decydować o sprawach nowoprzybyłych, on jest ich latarią orientacyjną. Zwłaszcza ministrowie pochodzenia ukraińskiego, zaprzyjaźnieni z polską grupą. Polska grupa nic wprawdzie przez to nie zyskuje, ale ileż przyjemnych słów spada na głowę Wyższego Wojskowego i otaczających go Prezesów. Jest to trwała aureola, gdyż notują ją kroniki i upamiętniają aparaty fotograficzne, zwłaszcza w okresie wyborów. Nie można przeto nie doceniać roli Wyższych Wojskowych, nawet tych, pokaranych przez los, skazanych na życie w cywilu i bez odznaczeń.

Żałuję nawet, że myślę o nich tylko czasami, fragmentarycznie, tak jak dziś, na schodkach Magistratu, ale niech wiedzą, że mają oni u mnie pierwszeństwo przed Zmarłą, która cały ranek zaprzątała moje myśli. Śmierć jest śmiercią i na mój rozum, życie powinno jej ustępować. Ale czasami nie chce i wtedy następuje kolizja.

Mój świat, nie jest światem szczęścia. Z jednej strony dzika

przyroda na bezludnych połaciach, ciągnących się aż hen, przez tundrę Eskimoską i bezludne wyspy, do bieguna Północnego, z drugiej zaś pokiereszowione niedobitki ludzkie, wydarte wojnie, w oczekiwaniu na wybuch nowej, żyjące z dnia na dzień, o jakim więc szczęściu można tu myśleć i co planować na dzień jutrzejszy? Ot, pełno obowiązków, które przekazała nam wojna, w stosunku do ojczyzny, do historii, do poległych na wojnie, gdzie więc tu miejsce na prywatę, na szczęście? Nawet dziś, człowiek właściwie nie umiera, ale pada na posterunku, choć posterunki nasze, pożal się Boże, to restauracyjny zlew przy którym emigrant zmywa garnki, łaźnia, pralnia parowa, dyżurka woźnego, czy hotelowy korytarz. Tam zapędzała nas — niedoświadczonych emigrantów, przyjeżdżających z Europy — pani Ragnu, urzędniczka biura pośrednictwa pracy, duchowy hetman tutejszej, zahukanej Polonii.

O pani Ragnu będzie jeszcze, o! będzie, będzie, bo przecież jej zasługą jest, że Polacy znani są i cenieni w tym mieście, jako najlepsi zmywacze naczyń restauracyjnych. Praca nie hańbi, niech żyje pani Ragnu!

Tak było i z naszą Zmarłą, padła na posterunku! W piątek wieczorem będzie różaniec przy trumnie Zmarłej i wystawienie Ciała, w sobotę, myślę, pogrzeb.

Weszło to już w zwyczaj, że te rzeczy odbywają się w piątki i soboty, kiedy ludzie są wolni, natomiast śmierć ma wolną rękę między poniedziałkiem a czwartkiem włącznie. Nawet natura nic nie ma przeciwko temu i dostosowała się do naszych warunków, tak że umieranie właściwie odbywa się we wtorki i środy, z małymi odchyleniami w tę lub wewtę. Ot, nowa potrzeba, nowy zwyczaj!

Różaniec z Wystawieniem jest donioślejszym właściwie dla nas obrzędem od samego Pogrzebu, gdzie ciało wiezie się szybkobieżnym samochodem za miasto na cmentarz i wrzuca pośpiesznie w dół, który tam już czeka gotowy. A wszystko to odbywa się, że się wyrażę może nie na miejscu, ale zgodnie z duchem języka polskiego, w tempie piorunującym.

— Dlaczego, pytam się nie raz, i ostatni sięgam po pulchną grudkę gliny, by ją według starych zwyczajów uplasować na grobie, gdy moi sąsiedzi, którzy przed chwilą stali obok mnie, zapuszczają już samochody i pędzą w stronę cmentarnych bram?

Dlaczego? Sobota jest dniem zakupów, robionych zazwyczaj na cały tydzień, pracujące matki i żony mają na ten dzień zamówione fryzjerki, trzeba w sobotę również sprzątnąć mieszkanie lub dom, zrobić generalne pranie, dzieci — o ile się je ma — wyprawia się w sobotę do parafialnej sobotniej szkółki, spo-

łecznicy mają często umówione na ten dzień zebrania, dochodzi jeszcze bingo, odwiedziny, zabawa — nie można się więc dziwić, że na pogrzeb i cmentarz żywi właściwie nie mają w sobotę czasu.

Co innego piątek wieczorem i Różaniec! Poeta powiedziałby, że widzi tę scenę „oczami duszy", ja patrzę na nią oczami emigranta i to tak często, że pogrzeby mogłyby mi się już przejeść, gdyby to były sprawy podlegające ludzkiej jurysdykcji? Sprawy życiowe? Niestety, tu nawet historia nic nie pomoże, tu działa niedosięgalna przez nas Opatrzność. Ona wyznacza nasz los, i kierunek naszych dróg, myślę że wkracza nawet w tajniki naszych myśli, które niby są wolne i nie podlegają żadnej cenzurze: boskiej czy ludzkiej.

Poczciwy, wiedeński staruszek twierdzi, że my sami odpowiadamy za nie, my i kilka pokoleń wstecz, a może nawet więcej niż kilka, jeśliby dobrze i w szczegółach przeanalizować jego słowa. Na to nie ma znów czasu. Wiedza współczesna staje się tak drobiazgowa, że pracujący czytelnik traci z nią całkowicie kontakt. Coś uszczknie on tu i tam, ale na prawdziwe, na całkowite poświęcenie się lekturze, na kontemplowanie idei, na sondowanie myśli, na analizę i radość poznawania nie mamy dziś absolutnie czasu. Ja przynajmniej otwarcie do tego się przyznaję. Jeżeli czytam, to bardzo na wyrywki i tylko to, co sprawia mi przyjemność. Trochę wierszy amerykańskich i dzienniki Gombrowicza. W tych siędzę po uszy. Wprawdzie budową ciała nie przypominam Goliata i nawet najdalej położona jej część, to zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od ucha, ale nie chcę przez to powiedzieć, że siedzenie po uszy w dziennikach Gombrowicza przychodzi mi z łatwością. Przeciwnie. Spotykam tu różne tamy i zahamowania, różne Kordyliery, Alpy i Góry Skaliste do przebycia, żegluję po bezkresnych oceanach i śledzę głębinowe cuda mowy ojczystej — od Alaski po Antarktydę — od niepokaźnych spójników, po serdecznie brzmiące rzeczowniki, wchodzę w jego mowę jak w ukrop dusznej łaźni i wychodzę świeży, syty, pełny wewnętrznej i fizycznej tężyzny. Gdyby w takim momencie wybuchł jakiś nowy Wrzesień, pędziłbym znów jak młokos do Coëtquidan, wyprawiał do Norwegii, pod Narwik, wpraszał się do obozów koncentracyjnych, uciekał, konwojował po oceanach, by wreszcie znów lądować w tej samej Francji, na zatrupionych plażach w Arromanches. Ale Dzienniki są nie tylko szaleństwem, są i ocaleniem!

A poeci amerykańscy? Niby dalecy od spraw europejskich, od spraw które nazywamy wielkimi (dla nas), historycznymi, zaprzątnięci sobą i własnym kontynentem, wybuchają nagle, jakby przeszli przez obozy hitlerowskie i komunistyczne kaźnie, piszą

jak żaden chyba poeta nie był w stanie tego wyrazić. Piszą więc za nas:

In a dark time, the eye begins to see:
I meet my shadow in the deepening shade;
I hear my echo in the echoing wood,
A lord of nature weeping to a tree.
I live between the heron and the wren,
Beasts of the hill and serpents of the den.

Tak długo już noszę w sobie te linie, że chyba stały się one moją własnością, w każdym razie znam je na pamięć i często powtarzam, tak jak powtarzam słowa: Czego chcesz od nas Panie za Twe hojne dary! Nie wiem czy którykolwiek z poetów przekroczył piękno tego zdania? Mógł coś do niego dodać tylko, coś podkreślić, czymś uzupełnić i tylko chyba jeden Norwid starał się stworzyć odpowiednik jego piękna na zupełnie innej płaszczyźnie, nowej i odkrywczej, jak linia Kochanowskiego.

A ty mnie ganić będziesz, że greckiej kolumny
Na brzegu morskim, falą oszklonej, tak żal mi,
Że prawie łzę ja dla niej miałem, jak dla trumny,
Gdy tyle bólów, smutków tyle się dziś psalmi.
Więc słusznie gań, a smucić pozwól się niesłusznie,
Bo któryż smutek (rzeczy biorąc wielkodusznie),
Któryż-bo smutek słuszny?!

Tak, nawet Norwid odpowiada pytaniem na pytanie! Tu, na frontowych schodkach, przed obcym Magistratem, w mieście nie mającym nic ze mnie, z włókien moich myśli, z koloru mojej krwi. Powtarzam Norwida, Kochanowskiego, recytuję poetów amerykańskich. Tych ostatnich pragnę złowić w sieć polszczyzny, podstawić pod nich nasze wibrujące słowa, urodzić po raz drugi. Ale czy to się uda?

W czasach pełnych ciemności, czujniejsze jest oko:
Spotykam cień swój wśród zgęszczonych cieni
I własne echo wśród leśnych ech słyszę
Władcę natury płaczącego w mroku.
Żyję gdzie czapli i strzyżyka łoże,
Pomiędzy bestią górską i wężem w ciemnej norze.

A potem tenże poeta pisze, czego już nie mogłem przenieść we własną plazmę:

What's madness but nobility of soul
At odds with circumstance? The day's on fire!

Ale w tej chwili nie rozstrząsam prawideł językowych i ich możliwości. Zwołuję słowa, by wytłumaczyć samego siebie, lub by pod ich wpływem spojrzeć na otoczenie, na to co się wkoło mnie dzieje, by wtłoczyć siebie w czas i fakty, które on nam przynosi, by po prostu żyć.

Na mnie czeka w tej chwili moje jutro z obliczem Zmarłej. Wiem że pójdę do niej i będę patrzył w jej twarz, jak patrzą inni, może się z kimś przywitam, może szeptem zamienię stosowne do okoliczności słowa, że „ślicznie wygląda; jakby spała; że wszystkie troski są już poza nią; szkoda — emigracja poniosła wielką stratę; była wzorową córką; oddaną społeczniczką; w tak młodym wieku, a tak politycznie dojrzała; że niezłomna; że czysta itd", inni również będą to mówić, przytakiwać głowami, nadziewać twarz smutkiem, oczy zmuszać do łez, usta do bólu.

Wszystko to właściwie jest i nie jest komedią. Każdy szczerze odczuwa moment śmierci, osoby nawet mu nieznanej, a tym bardziej bliskiej, bo spowinowaconej okolicznościami, miejscem, wspólnym celem, z drugiej zaś strony życie stawia tyle trudności, by tę ceremonię należycie w sercu rozwałkować i rozłożyć na czas. Obowiązki, potrzeby dnia, ułożona marszruta dziennych zajęć, w których wcale nie mieści się wizyta w domu pogrzebowym, wszystko to jakby spychało śmierć na margines, na nie odwiedzane przez nas antypody. I nagle telefon lub zawiadomienie, trach, bęc, marszruta bierze w łeb i przed oczami wyrasta opuchnięta grobami cmentarna kanikuła.

Ci, co mogą, szybko się przestawiają wewnętrznie. Zwłaszcza kobiety, u nich smutek i łzy występują jak na zawołanie, dodają do tego uroczysty „makijaż" twarzy i twarzową suknię.

Z mężczyznami, różnie bywa, chyba że są w ryzach u żon lub innych kobiet, wtedy wiedzą, co w takich wypadkach robić? Najgorzej jest z samotnymi kawalerami, do tego nieuspołecznionymi. Ale ci przeważnie nie dostają zawiadomień.

Myślę, że jutrzejszy Różaniec uda się! Mamy już w tym dużą praktykę, no i wieczory służą takim obrządkom. Po przepracowanym dniu i pogonią za życiem, stają nagle bez jakiegokolwiek usprawiedliwienia, opróżniają nam głowę i nieruchomieją czarną nutą niepewności. Zanim nadejdzie noc, zanim przyłapie nas sen, gubimy się zupełnie w sobie i nie wiemy co robić. Chodzimy nerwowo po pokoju, podrywamy się lub siadamy, bierzemy pismo do ręki, zapalamy papierosa, nastawiamy radio lub telewizję, a wszystko tylko dlatego, że nagle weszliśmy w dziwny krąg, w nieznany nam wymiar i nie wiemy co z sobą zrobić, gdyż nie

czujemy władzy nad otoczeniem. Bezsilność ta może trwać sekundy albo godziny, znika zaś tak samo niespodzianie, jak przyszła.

Dlatego wieczorami poeci wypisują różne głupstwa, dzieci płaczą przez sen, kobiety biegną na spotkanie z obcym mężczyzną i czarownice podążają na wiece.

Może dlatego Różańce odbywają się zawsze wieczorem, no i w poręcznym miejscu, tu w sercu Polonii, na jednej z „naszych" ulic, których mamy w tym mieście kilka. Począwszy od najstarszej, żywo przypominającej Nalewki, nazwanej nie wiem dlaczego, ulicą Królowej. Może Królowej Brudu i Królowej Śmierci, z pewnością nie tej, zasiadającej na ich tronie.

Dwudziestą czwartą sztukę Szekspira
Kościstą ręką pisze wiek
Raczej Hamleta nam czytać lub Lira
Na brzegach ołowianych rzek.

Anna Achmatowa za rzekę dała mi tutejsze jezioro, nad którym zamieszkałem przypadkowo czternaście lat temu, na ulicy której już nie pamiętam, w domu pod numerem siedemnastym. Były to smutne czasy po zwycięskiej wojnie, czasy demobilizacji, żegnania się z mundurem i — dla tych co wracali w ojczyste progi — zmiany skóry.

Z małego pokoiku londyńskiego wychodzącego na ulicę, patrzyłem na wędrówki narodów, czytałem odezwy wzywające do powrotu, prośby a potem nalegania rządu sprzymierzonego Królowej, aż wreszcie zniechęcony całą tą polityczną nieudolnością, postanowiłem przenieść się za ocean. Zresztą Królowa płaciła, nie wymagając.

Pokój znalazłem w domu dość pokaźnym ale już starym, cuchnącym wilgocią i kiszoną kapustą, przepełnionym powojennymi emigrantami z krajów bałtyckich. Przywieźli oni z sobą wygórowane plany i nieprzydatne w tym kraju zawody, co nie było jedynie cechą Bałtów. Polacy, Czesi, Ukraińcy, Rosjanie, Węgrzy, Rumuni, zakładali tu swój środkowoeuropejski kocioł, tak jakby nic się w świecie nie zmieniło, a oni w dalszym ciągu żyli w swoich pipidówkach.

Pamiętam szarmanckiego adwokacika, grubo po pięćdziesiątce, z uczernionymi brwiami i wąsami, poruszającego się jak pijawka. Jego wygibasy i prysiudy, gesty rąk, brwi, oczu, warg, wszystko to było teatralne aż do przesady, ale on nie zdawał sobie z tego sprawy. Chodził jak primadonna, czasami jak warszawski alfons, a nie członek poważnego wszędzie zawodu — palestry. Zresztą tu już nie należał do niej i może tylko dlatego

był tak wyczulony na towarzyskie splendory. Kobiety w dalszym ciągu wodziły za nim wzrokiem, a matkom falowały piersi gdy pokazywały go córkom w panieńskim stanie, jako ideał, a może unikat, który na tym gruncie nie przyjął się.

Jakaś młódź dorabiająca na życie nocami, dobrze sobie tu radząca i zadowolona z warunków, zwłaszcza dwu dorodnych Łotyszy wynajmujących mały apartament w piwnicy, gdzie na pokaźnym miejscu, łeb w łeb, wisiały ich fotografie w eleganckich niemieckich mundurach, choć wyglądali, jakby dopiero przekroczyli dwudziestkę.

W tych starych, spróchniałych ścianach, byli właściwie źródłem wesela i fizycznego szczęścia, ich wzorowe zachowanie było nawet ujmujące i z całą pewnością daliby się lubić, gdyby nie owe fotografie na ścianie i niespokojnie budząca się na ich widok myśl o obozach, o Niemczech, o torturach zadawanych rękami takich właśnie wynajętych za mundur i żołd młokosów, nie liczących się z życiem ludzkim.

Mieszkało tam również dość popularne małżeństwo staromłode, ona w obfitości sześćdziesięciu lat z hakiem, złajana życiem i sceną, on o różowej, robionej buzi, dziecię permanentnie młode.

W pobliskich domach, a nawet i dalej, mieszkało dużo różnych oficerów, bezradnych zupełnie w cywilu, gdy żołnierze wsiąkali natychmiast w tutejsze środowisko, jak kropla atramentu w bibułę. Znałem wszystkich po imieniu, bo taki był tu zwyczaj, choć między sobą przestrzegali oni tytułów i stopni przywiezionych z Europy, a właściwie to z niemieckich obozów. I taki był ich emigracyjny bagaż.

Dziwiłem się, jak ci ludzie zniszczeni wojną i pozbawieni poczucia rzeczywistości, mogli poważnie myśleć o zapewnieniu sobie miejsce, tu — w środowisku nowym i zupełnie nieznanym — gdzie przecież fakty musiały być faktami i to z pierwszej ręki?

Potem przestałem się dziwić, choć może i nie, tylko że zdziwienie, gdy trwa dłużej, przestaje być zdziwieniem, przechodzi w stan naturalny, jest po prostu życiem. Więc nie dziwiłem się w ten sposób jak na początku, ale wymijająco, wewnętrznie, nie głosem, nie gestykulując. Ten unik, zupełnie naturalny, przerodził się z czasem w wewnętrzny zez, który w dalszym ciągu niepokoił mnie i podrywał do ruchu. Ale do jakiego? Wychodziłem na ulicę i wracałem natychmiast, brałem słuchawkę, by ją odłożyć bez telefonowania, z książką w ręku siedziałem bezmyślnie godzinami, zabierałem się do pisania listów, planowałem podróże, chciałem wracać, ale nie mogłem.

Z czasem przeprowadziłem się na ulicę ciasną i niepokaźną,

o łagodnie brzmiącej nazwie: Delaware. Ochrzczono ją chyba tak, na pamiątkę szczepu Indian, bardzo uprzejmego dla Białych, którzy — mówiąc językiem dzisiejszych polityków — pierwsi poszli na kolaborację.

Pokój miałem czysty, z ładną staroświecką niszą, za oknem szumiało miasto, a na oknie stały doniczki alpejskich fiołków, o liściach podobnych do rozłożonych bezradnie ludzkich rąk.

Gospodynią moją była Polka, zahukana przez męża rzeźnika i bojąca się nie tyle własnego, co jego cienia. Nazywała się pani Jaworska. Inni mówili do niej Dziaworski, „mysys Dziaworski", ale ja nie mogłem.

Domownicy krzyczeli do niej tutejszym zwyczajem: — Mysys Dziaworski, telefon!, gdy ja robiłem to po swojemu: — Pani Jaworska, telefon dla pani.

Ona to bardzo lubiła, wydawało mi się, że na jakiś jej właściwy sposób dostojniała wtedy, stawała się inna.

— O, pan to jest kształcony, mówiła do mnie swoim skromnym, oszczędnym głosem, patrząc na ustawione nad kominkiem książki. Pokój mój sprzątała chyba codziennie, dokładnie, systematycznie, nie tak jak inne gospodynie, które — jak się w przyszłości przekonałem — robiły to raz w tygodniu i bez jakiegokolwiek uszczerbku dla kurzu.

Było to zaledwie w kilka dni po moim przyjeździe do miasta To, gdzie już był mój kolega, kuzyn pani Jaworskiej, były dywizjonowy płatnik, który właśnie wynalazł mi ten pokój. Zakładał on sklep z wędlinami i pani Jaworska bardzo mu we wszystkim pomagała.

— Lutek — mówiła — widzi pan, zakłada sobie sklep. A dlaczego pan nie otworzy sobie sklepu?

— Bo ja nie mam pieniędzy!

— A Lutek ma?

— Widocznie ma!

Pani Jaworska nie może tego zrozumieć? Jestem przecież z tego samego wojska, w tym samym stopniu, ja do tego mam nawet więcej lat służby. Lutek dziś ma pieniądze na sklep, a ja nie mam.

— To pan musiał dobrze się bawić w Anglii!

— Właściwie, to nie, choć mówiąc prawdę, żołnierz na froncie nie powinien oszczędzać, kończę sentencjonalnie.

— Lutek też był na froncie!

— Ale nie w pierwszej linii. Płatnicy nie walczą!

Pani Jaworska była wszystkiego ciekawa i chętnie opowiadała o tutejszym życiu. Chciała wiedzieć, jak było w Polsce po jej wyjeździe, jak w wojsku i Anglii?

Gdy przyjechała tu z siostrą, wszystko było jeszcze dziwniejsze niż dziś. Ludzie mówili tu tak dziwnie? Niby po polsku, ale po wsłuchaniu się, nie był to właściwie język polski. Był to język ich, tutejszy.

— Ale pani nawet dziś mówi poprawnie?

— Ach, gdzieżtam — zaprzecza. Kiedyś starałam się, czytałam książki, gazety, potem gdy wyszłam za mąż, zaczęłam mówić jak inni.

Wiem, że pani Jaworska skończyła w Polsce dwie klasy gimnazjum i może nawet rodzina przepchnęłaby ją przez szkołę, z pomocą zamożnego wuja w Kanadzie, ale ten nagle zdecydował by ona i jej młodsza siostra natychmiast przyjeżdżały do niego. Może choroba, a może zbliżająca się starość wpłynęły na jego decyzję, jak również i fakt, że wtedy jeszcze nie dbano tu o wykształcenie. Załadowano więc dwie nieletnie siostry na statek w Hamburgu, zawieszono im na piersi tabliczki z adresem wuja w Kanadzie i przestraszone wyprawiono w świat.

— A coście robiły na statku? — zapytałem, gdy pierwszy raz opowiadała mi to pani Jaworska.

— Płakałyśmy, odpowiedziała szczerze, choć ludzie byli dobrzy dla nas i opiekowali się nami jak mogli. Początkowo nie wychodziliśmy nawet z kabiny. Bałyśmy się zbłądzić na statku. Potem różni ludzie zabierali nas z sobą na posiłki. Ja miałam wtedy piętnaście lat, a siostra jedenaście, wyjaśnia pani Jaworska.

Najbardziej lubię końcową część tej historii. Jest dramatyczna i jakby wymyślona przez autora powieści sensacyjnej. A jednak zdarzyła się i to tu, w tym mieście.

Okazuje się, że po długiej podróży koleją, nikt na nie na dworcu nie czekał.

— A wuj, zapytałem?

— Wuja też nie było.

— Chyba wiedział, że przyjeżdżacie?

— Wiedział! Wysłałyśmy mu list i telegram.

— Więc coście zrobiły?

— A nic! Najpierw czekałyśmy na wuja, aż posnęłyśmy na na ławce. Potem bałyśmy się wyjść z dworca. Była noc, ciemno...

— Czegoście się bały, pytam zdziwiony?

Pani Jaworska uśmiecha się i mówi zupełnie poważnie: — Wie pan, najbardziej to bałyśmy się Indian.

Dalszy ciąg historii jest również obrazowy i niecodzienny. O świcie dwie siostry z tobołkami na plecach idą ulicą trzymając się kurczowo za ręce i głośno płaczą. W pociągu zgubiły tabliczki z adresem wuja, boją się zaczepić kogokolwiek, więc

idą na ślepo i głośno lamentują. Ten właśnie lament uratował je, bo nagle usłyszały przez płacz polską mowę: — Przecież to polskie dzieci, zawołała jakaś kobieta.

— A po czym to poznała?

— Płacząc — mówi pani Jaworska — zawodziłyśmy bezustannie, o mój Boże, mój Boże, chyba tu zginiemy!

Potem to zebrała się cała gromada Polaków, zaczęli wypytywać nas, kilku znało nawet wuja, który nagle zachorował i nie mógł przyjechać na dworzec. Telefonu zaś nie miał.

Wysłuchałem z czasem wiele podobnych historii, ale ta najbardziej utkwiła mi w pamięci, tak jak do dziś nie zapomniałem „W pustyni i w puszczy" lub „Serce" Amicisa. Pani Jaworska miała dar opowiadania, a jej powściągliwość nadawała słowu wagi. Przy tym kochała swoją siostrę więcej niż kogo innego i umiała miłość tę wprząść delikatnie w zdania.

Ona to chyba była moim pierwszym Cyceronem w tym mieście. Mówiła mi gdzie mieszczą się; banki, kościoły, polskie parafie, domy, magistrat, ważniejsze sklepy. Jak się zapisać do parafii i jak dostać zezwolenie na zakup wódki? Kiedy i gdzie się tu pije, jakie są przepisy regulujące wyszynk alkoholu? Był to kraj o zupełnie innych zwyczajach i co kroku gubiłem się w przepisach, które zaskakiwały swoją nielogicznością. Ale... co kraj, to obyczaj, mówiłem sobie i wypytywałem panią Jaworską o różne szczegóły, jak gdzie pójść zjeść, albo gdzie robić zakupy? Od niej to dowiedziałem się, że do apteki chodzi się nie tylko po lekarstwa, ale i stołować się.

— A co pan będzie robić, zapytała mnie, gdyśmy rozmawiali o jej kuzynie Lutku i jego sklepie?

Pracę znalazłem w rzeźni, na peryferiach, gdzie najpierw zapytano mnie, czy jestem wrażliwy na krew? Wzruszyłem ramionami.

— Na krew? Nie, już nie!

Gruby, o okrągłej budowie chłopak w biały kitlu, podsunął mi pod nos kwestionariusz. Napisałem nazwisko, imię, zawód: były wojskowy.

Poszliśmy potem korytarzami, ten w białym kitlu nic nie mówił. Mijaliśmy różne drzwi bez zamków, otwierane kopnięciem nogi, zza których dochodził monotonny szum. To nie były głosy ludzkie, jak się przekonałem potem, tylko stłumiony hałas pracujących maszyn. Kobiety w różnym wieku, w plastykowych fartuchach i czepkach, krążyły po korytarzach, przecinając nam drogę. Nie przypominały jednak sióstr szpitalnych.

Mój przewodnik miał mocną, kwadratową prawie głowę, osadzoną na pokaźnym karku, krótkie blond włosy i jasne niebieskie oczy. Wyglądał, jakby był ułożony z mięśni stwardnia-

łych na kamień. Jego plecy były szerokie, zad mocno zarysowany, nogi jak dobrze naoliwione sprężyny, nadawały całemu ciału wyjątkową lekkość i elastyczność. Szedł, jakby był naelektryzowany.

— Wyglądasz jak zawodowy piłkarz — powiedziałem.

Nie zwalniając kroku, odwrócił głowę. Jego niebieskie oczy znieruchomiały, kropelki potu wystąpiły na utuczoną szyję.

— Grałem kiedyś w baseball, powiedział i przestał na mnie patrzeć.

— Byłeś w Anglii — zapytał mnie po chwili?

— Tak!

I w Niemczech?

— W Niemczech też!

Poszliśmy obok korytarza, który kończył się długim metalowym balkonem, zwisającym pod sufitem nad ogromną halą. Wypełniały ją metalowe szyny, po których biegły rolkowe pasy i krążki, przesuwające martwą nierogaciznę. Pokaźnych rozmiarów wieprze, ostrzyżone już i wymyte, zwisały głowami w dół, tworząc groteskową raczej scenę. Nie miałem czasu by dociec, w jaki sposób ciała ich pojawiały się nagle na metalowych linkach zakończonych hakami, gdyż mój przewodnik nie pozwolił mi się zatrzymać, ale była to manipulacja zręczna i nawet miła dla oka, coś jak sztuczka w cyrku.

Szliśmy przez chwilę w milczeniu. Pomyślałem sobie, że jednak dobrze byłoby pracować w tej właśnie hali, gdzie wszystko jest takie czyste, jak być powinno w obliczu śmierci. Żadnej odrazy, czy wstrętu. Przeciwnie, patrzenie na wędrujące mechanizmy ze schludnymi trupami, sprawiało mi wewnętrzną satysfakcję. Tak jakbym wszedł w krajobraz pełny niebezpieczeństwa, ale znany mi, gdzie grożącą śmierć zwalczała pewność, że nic mi się na razie nie może stać, gdyż dopiero co wszedłem w życie.

Przypuszczam, że wielu doznaje uczucia niesytości i z niecierpliwością czeka na następny dzień, następny tydzień, a potem miesiąc i rok, by wypełnić próżnię którą w sobie noszą. Bo chyba każdy czegoś pragnie i na coś czeka, tylko że jedni czekają z założonymi rękoma, inni w gorączkowym poszukiwaniu, jedni myślą że będzie to wygrany na loterii los, inni marzą o wewnętnym katakliźmie, który na wzór przypowieści biblijnej będzie w stanie przenosić w nas góry naszych pragnień?

I właściwie czymże byłoby życie bez tych złudzeń? Tylko maszyną zwykłą, choć precyzyjną, na nic nie czekającą. Ale nauczmy maszynę myśleć, natychmiast zacznie marzyć!

I tak znalazłem się w rzeźni! Zwykłym zbiegiem okoliczności, czy naturą rzeczy, która nami rządzi swoją niewidzialną ręką,

jak nie jedna żona rządzi mężem, a zwłaszcza pewna żona, dobrze mi znana, pewnym mężem, ale ich tu nie wymienię, bo staliby się oni zaraz przedmiotem plotek i insynuacji — a przecież nie o to w mojej kronice chodzi — tak więc naturą rzeczy która wypełnia w nas niezamieszkane przestrzenie: pory owłosionej skóry, aorty, płuca, a zwłaszcza skąpy, choć precyzyjnie poruszający się mechanizm serca, tą naturą rzeczy, przewyższającą inne jej fenomeny, takie jak powietrze, pokarm cyckany z sutek, potem ze smoczka, czy łyżką, z aluminiowych w kuchni naczyń — tą, będącą w nas i poza nami, dlatego chyba nieśmiertelną naturą rzeczy, przewyższającą moje indywidualne możliwości, znalazłem się najpierw w tym mieście, a potem w rzeźni, trochę z winy mojej, a trochę z winy Królowej, niedostatecznie opiekującej się mną, zamieszkałem potem u pani Dziaworskiej w sposób tak naturalny, jakby to była jakaś pani Sobolewska z Powiśla, lub Rózia z ulicy Dobrej. Dostałem pokój trochę podobny, a trochę inny od tamtych, czynszowych mieszkań, gdzie był jeden zlew na ośmiu mężczyzn i jeden ustęp w korytarzu na całe piętro. Pokój tutejszy był jednak cichszy i bez pluskiew. Zacząłem na nowo żyć!

Wacław IWANIUK

PACZKI BEZ CŁA - PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI

$ = 72 zł. £ = 201 zł.

Tel: FRE. 7888

PRZEDSTAWICIELSTWO
BANKU P.K.O.

HASKOBA LTD
81 CROMWELL Rd., LONDON S.W. 7

BIURO PODRÓŻY: ANGLOPOL TRAVEL Ltd.
38 Thurloe Place, LONDON S.W. 7 Tel. KEN 3223

Nowość

Już się ukazał
jako CXXVII tom „BIBLIOTEKI KULTURY"
w serii „DOKUMENTY"

SĄD IDZIE!

Stenogram z procesu Andreja Siniawskiego (A. Terca) i Julija Daniela (M. Arżaka) — odbytego w Moskwie, w lutym 1966 — wraz z „ostatnim słowem" oskarżonych.

Wstęp Heleny Zamoyskiej.

Str. 120 Cena: F 7,50 (dol. 2,75; 11/6)

Punkt odniesienia

Jakiej pragniemy Europy? Na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Jedni z nas są za federacją, drudzy za Europą „ojczyzną ojczyzn", trzeci — obawiam się najliczniejsi — zgodziliby się na każdą koncepcję, która zamykałaby przed Rosją europejskie wrota szczelnie i skutecznie.

Napoleon został pobity czysto europejskimi siłami. Hitlera nie zdołaliśmy pobić czysto europejskimi siłami i w konsekwencji — choć Niemcy zostały pokonane — równowaga europejska nie została odbudowana.

Polityka jest funkcją siły. „Równowaga sił" jest wyrazem rzeczywistego układu sytuacji. „Równowaga sił" w polityce jest odpowiednikiem pola grawitacyjnego w fizyce. „Równowagi sił" nie można niczym zastąpić ponieważ w polityce nie wynaleziono do tej pory namiastki siły.

Problem nie polega na tym czy Europa będzie miała taką czy inną formę organizacyjną. Problem natomiast polega na tym czy Europa bez udziału mocarstw czy mocarstwa poza-europejskiego jest zdolna do wytworzenia normalnego systemu równowagi sił.

Amerykanie zjawili się w Europie ponieważ czysto europejski system równowagi sił załamał się. W pierwszym okresie powojennym — Stany Zjednoczone i Rosja Sowiecka przyjęły postawę gwarantów ochraniających Europę przed odrodzeniem się niemieckiego niebezpieczeństwa. Lecz ta sojusznicza sielanka trwała bardzo krótko.

Podkreślałem wielokrotnie w poprzednich artykułach, że w oczach Moskwy i wschodniej Europy de facto kontrolerem Niemców są Amerykanie. Wycofanie się prez. de Gaulle z NATO spowoduje z całą pewnością zwyżkę niemieckich papierów politycznych w Waszyngtonie. Jedno jest całkowicie pewne: nie ma dla nas powrotu do sytuacji sprzed Monachium. Nie możemy mieć Europy zarówno bez Rosji jak i bez Ameryki. Można sobie wprawdzie wyobrazić „czystą" Europę w której Niemcy byłyby równoważone przez sojusz francusko-brytyjski. To jest jednak

spekulacja czysto teoretyczna ponieważ powiązania W. Brytanii ze Stanami Zjednoczonymi są tak wielkie i różnorodne, że w konsekwencji każda brytyjska wersja Europy byłaby wersją atlantycką.

Europa zachodnia „zwarta, silna, gotowa" z kwitnącym NATO uzbrojonym po zęby — harmonizowałaby z polskimi interesami pod jednym warunkiem: gdyby podjęła inicjatywę w naszej — wschodnio-europejskiej sprawie. Osobiście w to nie wierzę. NATO nie zostało rozbrojone przez Francję tylko przez Rosję. Sowiety musiałyby zainscenizować serie kryzysów w Berlinie na nienotowaną skalę — by ożywić wygasłe poczucie zagrożenia. Bez poczucia zagrożenia, które tchnąć w narody zachodniej Europy mogą tylko Sowiety — NATO skazane jest na wegetację.

Rosja broni swojego wschodnio-europejskiego imperium prostą i skuteczną taktyką. Demonstracyjnie nie wykorzystuje ani wojny wietnamskiej ani kryzysu w NATO by poprawić swą pozycję w Europie. Dzięki tej taktyce Rosjanom powiodło się rozładować niemal całkowicie poczucie zagrożenia wśród narodów zachodnio-europejskich. Któżby chciał psuć ów idylliczny pokój jakże korzystny dla rozwoju gospodarczego — wysuwając żądania dotyczące egzotycznych krajów jak Polska czy Węgry? Zanik poczucia zagrożenia powoduje postępującą anemię sił NATO a owa „demobilizacja" z góry uniemożliwia wysuwanie jakichkolwiek żądań pod adresem Rosji. Pokojowość w stosunku do zachodniej Europy stanowi dla przywódców sowieckich najlepszą gwarancję, że zachodnia Europa nie upomni się o swą wschodnią ubogą krewną.

Nie ma jednak róży bez cierni i nie ma Europy bez Niemców. NATO bez Francji przekształci się w trój-przymierze amerykańsko-brytyjsko-niemieckie. W takiej sytuacji zwyżka politycznych akcji niemieckich jest nieunikniona. Amerykanom będzie coraz trudniej występować w podwójnej roli sojusznika i kontrolera Niemiec.

Przed kilku tygodniami znany historio-filozof brytyjski prof. Toynbee przemawiając w radio bawarskim powiedział, że świat może uniknąć katastrofy tylko wówczas jeżeli wszystkie narody przyjmą dobrowolnie amerykańsko-rosyjskie światowe przywództwo. Tak oto jałtański dialog z 1945 r. pomiędzy Rooseveltem a Stalinem po 21 latach przekształcił się w uniwersalistyczną koncepcję.

System jałtański zakładał centralistyczne hegemonie w odnośnych strefach wpływów — amerykańską na Zachodzie — sowiecką na Wschodzie. Po jednej strony barykady dominowane przez Amerykanów NATO — po drugiej stronie Pakt Warszawski dominowany przez Rosjan.

Gdzie jest de Gaulle Paktu Warszawskiego? Gdzie jest przywódca wschodnio-europejski który by się wyłamał spod hegemonii sowieckiej?

Nie znamy planów prez. de Gaulle'a — wydaje się jednak, że swój exodus z NATO mógł zdyskontować we Wschodniej Europie. Reorganizację NATO można było uzależnić od analogicznej reogranizacji Paktu Warszawskiego. Jeżeli się chce zreformować system jałtański to musi się to czynić po obu stronach jałtańskiego muru.

System jałtański można zmienić i niewątpliwie należy zmienić. Równocześnie jednak byłoby naiwnością przypuszczać że Amerykanie i Rosjanie wycofają się z Europy. Amerykanie jeżeli będą do tego zmuszeni opuszczą Francję lecz nie kontynent europejski. Możemy przeorganizować system podwójnej hegemonii lecz pozbycie się obu hegemonów przekracza możliwości narodów europejskich.

W chwili gdy piszę te słowa trudno jest przewidzieć wynik rozmów, które przeprowadzi gen. de Gaulle w czasie swej czerwcowej wizyty w Moskwie. Lecz już dziś można stwierdzić, że pozycja Francji zbliża się do statusu semi-neutralnego. Prez. de Gaulle uważa — nie bez słuszności — że maksimum suwerenności w Europie może zapewnić polityka poprawnych stosunków z obu hegemonami z wyłączeniem uczestnictwa w paktach wojskowych jednej ze stron. Sowiety uważają NATO za sojusz „agresywny" — w konsekwencji państwo członek NATO w oczach Moskwy z definicji należy do wrogiego obozu.

Lecz co my, wschodni Europejczycy na tym zyskujemy? Czy Polska może wystąpić z Paktu Warszawskiego powołując się na przykład Francji?

O zjednoczeniu Europy napisano setki artykułów i kilkanaście interesujących książek. Fakt, że w tej sprawie nic się nie dzieje ilustruje charakterystyczny immobilizm polityki europejskiej. Zaczęłoby się coś dziać gdyby w tej sprawie podjęli rozmowy Amerykanie i Rosjanie.

Europę dzielą Niemcy. Materiałem z którego zbudowano „żelazną kurtynę" w 50% jest problem niemiecki. Wszystko co stało się na wschodzie Europy włącznie z granicą na Odrze i Nysie — miało za cel zabezpieczyć Rosję przed Niemcami. Jeżeli ktoś chce zlikwidować system satelicki i zjednoczyć Europę — musi Rosji zaproponować inny system zabezpieczający ją przed Niemcami. To jest punkt pierwszy i podstawowy na którym należy oprzeć realną analizę problemu zjednoczenia Europy.

Jest naiwnością tłumaczyć Rosjanom, że od Zachodu nic im nie zagraża albowiem sędziami w tej sprawie mogą być tylko Rosjanie i wschodni Europejczycy, nikt inny. Jesteśmy przywiązani do sowieckiego rydwanu łańcuchem niemieckim. By odzyskać swobodę ruchu trzeba wpierw skruszyć ów łańcuch. Rosjanie zgodziliby się na desatelizację tylko wówczas gdyby nowy system pewniej zabezpieczał ich przed Niemcami niż obecny.

Musimy pogodzić się z faktem, że Rosja jest w Europie i w niej pozostanie. Zachód mógł nie wysuwać hasła „bezwarunkowej kapitulacji" — mógł zawrzeć odrębny pokój z pokonanymi lecz nie powalonymi Niemcami — mógł powstrzymać się od równania z ziemią miast niemieckich i za tę cenę nie dopuścić Rosji do Europy.

Polacy w początkowym okresie rewolucji mogli poprzeć siły Białych Rosjan i być może — przeważyć szalę. Nie twierdzę, że należało popierać kontrrewolucję czy układać się z Niemcami. Twierdzę natomiast, że istniały takie możliwości.

Przegraliśmy z Rosją na Wschodzie, bo to co dla nas było ideą jagiellońską — w oczach Litwinów, Ukraińców czy Białorusinów było czystym imperializmem. Polski imperializm przegrał na rzecz imperializmu rosyjskiego, ponieważ Rosja jest potężniejsza.

Sowieccy żołnierze rosyjscy pod bramą Brandenburską nie wyskoczyli jak Minerwa z głowy Jowisza, lecz stanowią epilog dwu-wiekowego procesu historycznego.

Gdybyśmy dziś byli — już nie mówię pod Smoleńskiem — lecz w Wilnie i we Lwowie — żołnierzy sowieckich nie byłoby w Berlinie. Niemcy jednak byliby wówczas nie tylko w Gdańsku i w Wrocławiu lecz prawdopodobnie w Katowicach i w Poznaniu. I o tym nie wolno zapominać!

Należy zakończyć status okupacyjny w centrum Europy i „zakomodować" Rosję Sowiecką w nowym układzie starając się usilnie wpływać na jej ewolucję. Tempo owej ewolucji w znacznej mierze zależeć będzie od systemu bezpieczeństwa na kontynencie.

Chińczycy zamiast ryżu produkują kosztowne bronie atomowe ponieważ spodziewają się inwazji amerykańskiej z godziny na godzinę. Zdaniem amerykańskich rzeczoznawców być może dopiero trzecie pokolenie przywódców chińskich uwierzy, że Amerykanie nie planują inwazji Chin. To samo można powiedzieć o Rosjanach. Myślę, że dopiero trzecie pokolenie uwierzy, że Niemcy nie planują i nie mogą planować odwetu. I z tych przyczyn dla Moskwy zagadnienie bezpieczeństwa w ramach polityki europejskiej stanowi problem centralny.

W ocenie Moskwy i narodów wschodnio-europejskich — jednostronna pokojowa deklaracja ze strony Niemiec choćby najbardziej uroczysta nie stanowi gwarancji bezpieczeństwa. Niemcy zdetonowali dwie wojny światowe depcząc wszystkie prawa boskie i ludzkie.

Problem niemiecki jest nie do rozwiązania w ramach czysto europejskich. I to stanowi o końcu Europy dawnego stylu. 75-cio milionowe, zjednoczone Niemcy, trzecią potęgę gospodarczą świata mogłaby pomieścić tylko zjednoczona cała Europa oparta o gwarancję sowiecko-amerykańską.

Przez „gwarancję" rozumiem szerszy układ sowiecko-amerykański który normowałby sytuację na tym odcinku globalnego frontu. Rosjanie być może zgodziliby się na pewną formę zjednoczenia niemieckich republik i przyznaliby większą swobodę państwom satelickim — pod warunkiem, że ogólna równowaga sił sowiecko-amerykańska na terenie Europy nie uległaby zachwianiu a nowy układ stwarzałby lepsze warunki bezpieczeństwa.

W Monachium we Wrześniu 1938 r. europejscy mężowie Stanu po raz ostatni bez udziału Amerykanów i Rosjan decydowali o losach Europy. Wyobraźmy sobie dziś przy stole obrad przedstawicieli rządów niemieckiego, włoskiego, francuskiego i brytyjskiego. O handlu, przemyśle i wymianie kulturalnej ci panowie mogliby owocnie dyskutować. Lecz los polityczny Europy jako całości i sprawa wojny czy pokoju — są już poza zasięgiem ich decyzji. Więc po co się okłamywać?

Należy wyodrębnić następujące istotne punkty:

a) — Europejczycy tak zachodni jak i wschodni muszą zdać sobie sprawę z faktu, że epoka europejskiej polityki bezpośredniej dobiegła kresu. Żadna europejska konferencja ani żaden europejski traktat nie zjednoczą Europy. Na szczeblu polityki światowej państwa europejskie mogą prowadzić tylko polityką pośrednią. Przez „politykę pośrednią" należy rozumieć formy nacisku i wpływu na Waszyngton i Moskwę. Gdyby Europa zachodnia przemawiała w Waszyngtonie jednym głosem wywierałaby możny wpływ na bieg polityki światowej.

Problem zjednoczenia naszego kontynentu widziany z Moskwy i z Waszyngtonu nie jest „sprawą europejską" tylko jednym z elementów polityki globalnej. Żadne z państw europejskich nie prowadzi polityki globalnej. Dlatego państwa europejskie nie mogą we własnym zakresie dokonać zjednoczenia kontynentu czy zadecydować o politycznych losach Europy jako całości.

Gdyby pewnego dnia na Kremlu zjawił się Gomułka i oświadczył, że przemawia w imieniu Polski, Węgier, Czechosłowacji i Rumunii — prawdopodobnie zostałby uwięziony pod zarzutem organizowania antysowieckiego spisku. Lecz państwa zachodnio-europejskie bez najmniejszego ryzyka mogłyby w Waszyngtonie w określonych sprawach prezentować solidarny front. Dlaczego tak się nie dzieje? W Londynie, w Rzymie, w Paryżu politycy w większej mierze uwarunkowani są przeszłością niż teraźniejszością. Nie jesteśmy w pełni przystosowani do nowej historycznej sytuacji. Może nie tylko w Chinach wiązać należy nadzieje z trzecim pokoleniem...

b) — Planując określony program czy tylko dyskutując na temat pewnego rozwiązania politycznego — trzeba zacząć od uzgodnienia terminologii.

W chwili obecnej nie ma w obiegu bardziej wieloznacznego określenia jak „zjednoczenie Europy". Zjednoczona Europa zachodnia, „Europa po Ural", Zjednoczenie dwóch Republik niemieckich, Niemcy w granicach z 1937 r., „wyzwolenie" krajów satelickich plus demokratyczne wybory, odepchnięcie Rosji Sowieckiej na linię graniczną z 1939 r., Polska w granicach przedwojennych powiększona o Ziemie Odzyskane i td. i td.

Terminem „zjednoczenie Europy" ludzie współcześni zwykli określać naręcza „pobożnych życzeń" często sprzecznych i wyłączających się wzajemnie.

Byłoby rzeczą wskazaną ustalić minimalny jednoznacznie zdefiniowany program „zjednoczenia Europy" by ludzi oswoić z rzeczywistością. Europejczycy nie mogą podjąć rozmów z Amerykanami na powyższy temat, a Waszyngton nie może wszcząć w tej

sprawie żadnych negocjacji dopóki zachodni plan zjednoczenia Europy nie jest ściśle sprecyzowany.

c) — Niemcy są źródłem największych trudności i nadziei w sprawie zjednoczenia Europy. Gdyby nie było dwóch republik tylko jedno państwo niemieckie po tej stronie barykady — o zjednoczeniu Europy nie mówiłby nikt poza emigrantami z krajów satelickich. Dopóki Niemcy są podzielone — bez państw wschodnio-europejskich można się obejść. Z chwilą gdy na horyzoncie zarysowałaby się wizja 75 milionowych zjednoczonych Niemiec — trzydziestokilkumilionowa Polska nabrałaby natychmiast nowego znaczenia. W takiej sytuacji Europa wschodnia stałaby się funkcjonalnie potrzebna Europie zachodniej a zwłaszcza Francji.

Emigranci zza „żelaznej kurtyny" nie mogą wywierać skutecznego nacisku politycznego. Natomiast Niemcy zachodnie, których status stale rośnie — mogą wywierać potężny nacisk w kierunku zjednoczenia Europy. Niestety Niemcy — zarówno naród jak i rząd — nie dojrzeli do zjednoczenia. W Niemczech bardzo mało ludzi zdaje sobie sprawę z faktu, że Europejczycy — w przeciwieństwie do Amerykanów — bardziej boją się zjednoczonych Niemiec niż Rosji Sowieckiej. Uznanie granicy na Odrze i Nysie jest niezbędne by uspokoić Europę zachodnią — nie Sowiety. Żadne z państw zachodnio-europejskich łącznie z Francją i Wielką Brytanią nie poprze niemieckich dążeń zjednoczeniowych — dopóki rząd w Bonn nie uzna granicy na Odrze i Nysie.

Nie wszyscy Niemcy rozumieją, że zjednoczenie republik niemieckich nie może być wyizolowane z problemu zjednoczenia Europy. Na kontynencie nikt nie pragnie zjednoczonych Niemiec w przepołowionej Europie. Zjednoczenie nie może oznaczać przesunięcia „żelaznej kurtyny" na granicę Odry i Nysy. Powyższe postulaty nie są dyktowane sympatią dla Polski czy krajów Europy wschodniej. W tym wypadku nie chodzi o Polskę czy Czechosłowację lecz wyłącznie o pozycję Niemiec w Europie.

Jeżeli równowaga amerykańsko-sowiecka miałaby być utrzymana — zjednoczone Niemcy nie mogłyby sprzymierzyć się ani z Ameryką ani z Sowietami. W konsekwencji Niemcy musiałyby przyjąć status neutralny względnie semi-neutralny.

W sumie należy stwierdzić, że negocjowane zjednoczenie Europy — jeżeli w ogóle jest możliwe to tylko za ceną poważnych ofiar ze strony Niemiec.

◆

Pewne koncepcje polityczne jak np. zjednoczenie Europy — spełniają ważną funkcję nawet wówczas gdy w danym momencie nie są realne. Pobudzają bowiem tok myślowy dziesiątków tysięcy ludzi w pożądanym kierunku i tym samym przyśpieszają ewolucję. Przez „realizm" rozumiemy w polityce określony stopień ewolucji.

W Polsce — powiedzmy dla przykładu — nie mieliśmy nigdy

uporządkowanej demokracji parlamentarnej. To nie oznacza, że demokracja parlamentarna jest nie realna czy bez sensu. Oznacza to tylko, że stopień ewolucji społecznej w Polsce był zbyt niski by demokrację parlamentarną uczynić zjawiskiem realnym.

Osobiście i prywatnie nie wierzę w negocjowane zjednoczenie Niemiec i Europy. Kongres Wiedeński, Wersal, Jałta — wielkie przemeblowania Europy i świata odbywały się zawsze bezpośrednio po wojnach. Dopóki przemysł i miasta niemieckie leżały w gruzach a krajem rządzili dowódcy zwycięskich armii — Niemcom można było narzucić wszystko. Dziś na to jest za późno. I punkt najistotniejszy. Zjednoczenie Europy nie jest potrzebne ani Amerykanom ani Rosjanom. Potrzebne jest tylko Europejczykom. Europejczycy po obu stronach granicy nie wypracowali do tej pory metod nacisku i wpływu na swoich hegemonów. Rządy zachodnio-europejskie mimo, że są w nieporównywalnie lepszej sytuacji niż rządy satelickie — w istotnych sprawach nie mają wiele więcej do powiedzenia w Waszyngtonie niż Gomułka w Moskwie.

Istnieją trzy możliwe rozwiązania problemu zjednoczenia Europy: układ negocjowany — konflikt wojenny — przekształcenie koegzystencji we współpracę.

Z owych trzech możliwości ostatnia wydaje mi się najbardziej prawdopodobna choć odległa. „Zimną wojnę" wygrywa nie Rosja lecz Europa. Dzieje się to wolno, ewolucyjnie lecz konsekwentnie. Dla Stalina nie istniał problem ofensywy Zachodu. Europejskie partie komunistyczne były bardziej stalinowskie niż sowieccy bolszewicy. Mur odcinający Sowiety od wpływów kulturalnych Zachodu był całkowicie szczelny. Rosja weszła głęboko w Europę lecz dziś można uznać za pewne, że nie Rosja skomunizuje europejski Zachód tylko raczej Zachód zeuropeizuje Rosję.

Intelektualiści, pisarze, inteligenci w całym europejskim bloku wschodnim są zafascynowani Zachodem. Kogo na Zachodzie fascynuje sowiecki komunizm? Nie fascynuje nawet zachodnio-europejskich komunistów. Tego rodzaju proces jeżeli trwa latami musi w końcu wyrazić się konkretnymi przemianami.

Pewien stopień europeizacji komunizmu jest warunkiem nieodzownym przemiany koegzystencji w współpracę. Pokojowa koegzystencja wystarcza by utrzymać status quo. Lecz w ramach polityki koegzystencji nie jest rzeczą możliwą budowanie zjednoczonej Europy. Do tego trzeba coś więcej. Rosjanie na terenie europejskim muszą być zdolni do prawdziwej współpracy z Amerykanami by rozwiązać problem niemiecki, który stanowi klucz do zjednoczonej Europy.

Można przyjąć pogląd, którego nie podzielam — że na skutek wewnętrznych trudności w Sowietach nastąpi kryzys, który będzie można wykorzystać i wyrzucić Rosjan ze środkowo-wschodniej Europy. Kryzys — o ile nie jest upadkiem — stanowi etap ewolucyjny. Rewolucja technologiczna oraz styk z kulturą europejską na szerokim froncie powodują wstrząs społeczny, który będzie się pogłębiał. Jestem przekonany, że w najbliższych latach

będziemy świadkami dramatycznych wydarzeń w Rosji Sowieckiej — nie przewiduję jednak upadku i bankructwa. Skłonny jestem przypuszczać, że za 50 lat od dziś w Rosji panować będzie system gospodarczo-społeczny mało podobny do współczesnego ustroju sowieckiego — lecz nazwa i tradycja pozostaną. Ewolucja nie wyłącza czasowych nawrotów do praktyk stalinowskich. Istotą ewolucji jest przełamywanie się reakcji i postępu.

Na Zachodzie sterujemy ku rządom prezydenckim i administracyjnym — różnice pomiędzy partiami politycznymi tracą swą dialektyczną przeciwstawność — interesujemy się ekonomią i dobrobytem, a wybory jak ostatnio w Anglii — przypominają turniej statystyków. Cyfry, cyfry, cyfry.

Lecz Rosja Sowiecka jest w pełnym płomieniu dialektycznej epoki. Słowa: wolność, równość, sprawiedliwość — tętnią tam żywą krwią współczesnego pokolenia.

Terc, Arżak, list 25 intelektualistów sowieckich — to wszystko byłoby bezpośrednio odczute i zrozumiane w pewnych kołach Zachodu pół wieku temu.

Ludzie patrzą na proces Terca i Arżaka jak na fotografię głodnych dzieci w Indiach. Gdzieś są głodni, są nawet głodni wolności. Lecz tak głód wolności jak i chleba dla człowieka Zachodu jest pojęciem nieznanym w rzeczywistym kontekście. To są zjawiska zimno-wojenne i przedmiot studiów dla kremlinologów.

Polacy winni wystrzegać się antropologicznego podejścia do „ludzi sowieckich". Dla nas to nie są szczepy nad Amazonką, których prymitywną kulturę studiuje się z naukowym obiektywizmem. Ci ludzie najdosłowniej walczą w naszej sprawie. Owych 25-ciu intelektualistów sowieckich, którzy ostrzegali przed rehabilitacją Stalina — podjęło osobiste ryzyko w kwestii równie istotnej w Moskwie, jak w Warszawie.

Lecz to tylko uwagi na marginesie. Chciałbym zakończyć ten artykuł stwierdzeniem, że w gruncie rzeczy jesteśmy podwójnymi emigrantami — z Polski, której nie ma i z Europy której nie ma. Nie odbudujemy ani drugiej Rzeczypospolitej ani dawnej Europy. Zjednoczona Europa jeżeli kiedyś powstanie stanowić będzie całkowicie nowy układ odniesienia.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Ze Związku Sowieckiego

W Rosji i w świecie komunistycznym minęło 10 lat od drugiej śmierci Stalina, ważniejszej od tamtej pierwszej, z marca 1953 roku. Antystalinowskie trzęsienie ziemi niby ustało. Panika minęła, ale minął i mit odnowy. Pozostała czkawka na górze i rozczarowanie na dole. Oficjalna Moskwa odświętowała to dziesięciolecie na swój sposób: przemilczeniem jubileuszu strącania bożków i procesem przeciwko dwum zuchwalcom, co piórem walczyli o europeizację Rosji.

W okresie stalinizmu nie było w ogóle miejsca na jakieś spory o orientacje — najwyżej do chwili najbliższej denuncjacji albo zesłania do obozu pracy. (Opowiadał mi niedawno pewien historyk sowiecki ze starszego pokolenia, jak to kiedyś Stalin, na jakiejś naradzie, mruknął: „Iwan był niezłym carem, tylko z opozycją się niepotrzebnie cackał").

Ale kiedy raz już pękła obręcz wszechpotężnego strachu, wszystko zaczęło się na nowo. Nie od sporów z lat dwudziestych na temat szans rewolucji światowej, lecz od kontrowersji z ubiegłego stulecia pomiędzy „Słowianofilami" a „Zapadnikami".

Pierwsze lata po rewolucji — to jeszcze bujne kontakty z Zachodem, to Łunaczarskij, Chagall, Malewicz, Meyerhold, Dowżenko, Kurbas, Radek, Litwinow, Cziczerin. Zwycięstwo stalinizmu — to Mołotow, Żdanow, Szołochow, Sjerow (ten od malarstwa, nie od policji), Gerassimow. W praktyce sławienie „matuszki Rossiji", ksenofobia, nacjonalizm, zacofanie w nauce i sztuce, socrealizm.

Tradycjonaliści i moderniści

Ale od połowy lat pięćdziesiątych zaczynają się nowe procesy duchowe. Stara gwardia Europejczyków postanowiła zerwać z kulturalną izolacją Rosji. Ehrenburg, Paustowskij, Szkłowskij, Marszak, Obrazcow i Pasternak rozpętali pierwsi wojnę z tradycjonalizmem stalinowsko-słowianofilskim. Za nimi poszli młodsi jak Twardowski, Słucki, Martynow, Kirsanow, Etkind, Kosołopow, Niekrasow. Walka rozgorzała na dobre kiedy do boju stanęli jeszcze młodsi jak Woznessenskij, Achmadulina, Nieizwjestnyj, Jewtuszenko, Boczarow, Brodskij, Siniawskij, Daniel i cała plejada niezbyt znanych na Zachodzie pisarzy, poetów, krytyków, historyków, malarzy i rzeźbiarzy. Początkowo słaby, ten obóz Europejczyków z każdym rokiem — i wbrew oporom swych wrogów — przybierał coraz bardziej na sile.

Po drugiej stronie barykady skupili się obrońcy ortodoksji beztalencia, socjalistycznego realizmu i łatwego życia za powieści produkcyjne lub rymowane hymny na cześć partii: Koczetow, Babajewskij, Elsberg, Jermiłow, Sofronow, Prokofjew, Dołmatowskij, Gribaczow, Markow, Cichałkow, Gerassimow, Sjerow, Sobolew, Wuczeticz i inni funkcjonariusze od literatury, kultury i sztuki. Mieli ze sobą większość aparatczyków w partii i rządzie, pieniądze i wszystkie nieomal czasopisma. Nieomal, bo już w 1956 roku wyłamał się im „Nowyj Mir" pod kierunkiem Twardowskiego. Ale trzymali w garści: „Literaturną Gazietę", „Oktjabr", „Newę", „Moskwę", „Znamja" i „Młodą Gwardię", nie licząc literackich pism prowincjonalnych na Uralu, nad Donem i Wołgą, na Syberii i na Dalekim Wschodzie.

Ten stan rzeczy trwał jednak bardzo krótko. Pod kierunkiem Kosołopowa „Literaturnaja Gazieta" zwekslowała na pozycje modernistów. Powstał miesięcznik „Junostj", który od początku stanął w obozie Europejczyków. Z wyjątkiem „Oktjabra", opanowanego przez klikę Koczetowa, linia wszystkich innych miesięczników w Moskwie i Leningradzie zaczęła się niepokojąco chwiać lawirując pomiędzy obydwoma ugrupowaniami.

Z czasem, znani pisarze trzymający się zrazu z dala od tych sporów, jak Leonow, Fjedin, Simonow, przestali ukrywać swoje sympatie dla modernistów. Sam Aleksiej Surkow przymknął do ruchu pro-zachodniego.

Widząc co się dzieje klika tradycjonalistów postanowiło zmobilizować prowincję przeciwko obydwu metropoliom: Moskwie i Leningradowi. W tym celu stworzono nowy związek literatów Republiki Rosyjskiej jako przeciwwagę organizacyj pisarzy we wspomnianych miastach centralnych i nowe pismo, najpierw „Literatura i Żyźń", a po jej upadku „Literaturnaja Rossija". Kiedy zaś za zgodą Iljiczowa usunięto Kosołopowa z „Literaturnoj Gaziety" i powierzono jej kierownictwo staremu oportuniście, zgranemu za Żdanowa, Czakowskiemu (nie mieszać z porządnym człowiekiem i pisarzem Czukowskim), stan posiadania dogmatyków trochę się poprawił.

Po upadku Chruszczowa kiedy obydwie grupy ruszyły do nowego boju o zdobycie decydujących wpływów, początkowo nowe kierownictwo raczej sprzyjało modernistom. Ale reakcjonistom udało się sfabrykować kilka podłych donosików, zdobyć poparcie szefa moskiewskiej organizacji partyjnej, Jegoriczewa, odznaczającego się wyjątkowym brakiem intelektu i odtąd, mówiąc za Stalinem „Żyt' stało łuczsze, żyt' stało wieselej".

Stawka na prowincję i nacjonalizm rosyjski

Nie wszystko poszło jak z płatka. Musieli toczyć długie walki na przykład z naczelnym redaktorem „Prawdy" Aleksiejem Rumiancewem, który wiedział, ile będzie Rosję kosztowało w oczach Europy zwycięstwo reakcjonistów. Po dwóch zawałach serca Rumiancew opuścił „Prawdę". Wówczas to klika Koczetowa i Sobolewa poszła na całego. Aresztowano Siniawskiego i Daniela. Sobolew zaczął rozjeżdżać po prowincji rosyjskiej i montować front na przyszły IV. zjazd pisarzy, który się odbędzie w czerwcu bieżącego roku. Przeforsowano pochwalne nekrologi na 70-lecie Żdanowa w „Prawdzie", „Izwiestiach" i w „Leningradzkiej Prawdzie".

Rozhulano się zupełnie bezczelnie w okresie procesu przeciwko Siniawskiemu i Danielowi. W „Izwiestiach" udało się im przeforsować wspólny elaborat podpisany przez Dymitra Jeromina, trzeciorzędnego pisarza, który w roku 1952 otrzymał nagrodę stalinowską za paszkwil antywłoski „Burza nad Rzymem". W redagowaniu tego sławetnego artykułu wzięli udział Koczetow, Sofronow i Sobolew. Przebrali jednak miarkę, co się skrupiło na Jerominie. Przewodniczący komisji ideologicznej Demiczew zwymyślał go ostatnimi słowami. Dostało się też redaktorowi naczelnemu „Izwiestii", Tołkunowowi, za „brak zmysłu politycznego".

Na sam proces nie udało się zwerbować w charakterze oskarżycieli społecznych nikogo spośród znanych pisarzy. Doszło nawet do poważnej gaffy, szeroko komentowanej w Moskwie, wśród literatów. Jako najbardziej zaciekły przeciwnik obydwu oskarżonych wystąpił Arkadij Wasiliew, który służył w organach NKWD jako sędzia śledczy podczas stalinowskiego terroru lat 30-tych, a po wojnie „wsławił" się tak zwanymi „felietonami demaskującymi" przeciwników reżymu, czyli pozostał zasadniczo wierny swojemu zawodowi oprawcy. Przemówienie Wasiliewa na rozprawie sądowej wywołało reakcję nawet wśród tych pisarzy, którzy nie pochwalali utworów Siniawskiego i Daniela.

Grupa Koczetowa liczyła na to, że proces przeciwko pisarzom stanie się punktem zwrotnym w polityce kulturalnej reżymu pochruszczowowskiego. Spekulując na nastrojach nacjonalistycznych i szowinistycznych, prowodyrzy tej nagonki spodziewali się, że w społeczeństwie rosyjskim wezmą górę nastroje „patriotyczno-ojczyźniane" i że w ten sposób można będzie wszcząć akcję represyjną w stosunku do obozu Europejczyków, w pierwszym rzędzie, że się uda zlikwidować Twardowskiego i cały zespół „Nowego Miru". Popularny tygodnik o masowym nakładzie „Niediela" wydrukował na ten temat komunikat pod znamiennym tytułem „Łuna goworit po russki", czyli „Księżyc mówi po rosyjsku". Ale i to nie wzięło. Kiedy wzburzony tym wyskokiem szowinizmu zapytałem pewnego naukowca sowieckiego co to ma znaczyć, machnął ręką lekceważąco i powiedział: „Na księżycu to może i prawda, gorzej, że już na przykład w takiej Rumunii nie".

Dogmatycy w osaczeniu

Wkrótce sprawy przybrały zupełnie inny obrót. Szanujący się pisarze sowieccy odmówili kategorycznie wyrażenia pochwał pod adresem sądu, który skazał pisarzy. Na konferencji związków pisarzy, odbytej nazajutrz po procesie w Warszawie, Chorwaci, Słoweńcy, Serbowie, Czesi, Słowacy, Polacy i Węgrzy zaatakowali orzeczenie sądu. Wkrótce ruszyła lawina protestów z Zachodu. Nie znalazł się zagranicą dosłownie ani jeden komunista, który by aprobował wyrok sądu moskiewskiego. Nic dziwnego, że znany ukraiński, sowiecki reżyser filmowy, Czuchraj, oświadczył podczas dyskusji z filmowcami włoskimi w Moskwie: rząd nasz zarobił na tym procesie rubla, a stracił przyjaciół i sympatyków.

Na trzy tygodnie przed otwarciem XXIII Zjazdu Partii, kiedy zmarła Achmatowa, napisanie nekrologu w tych samych „Izwiestiach", które udzieliły niedawno głosu Jerominowi, powie-

rzono redaktorowi „Nowego Miru", Twardowskiemu. Na scenie dwóch teatrów moskiewskich wystawiono sztuki antystalinowskie, „Diona" Zorina i przeróbkę poematu Twardowskiego „Wassilij Tjorkin na tamtym świecie".

Cóż się więc stało? Kierownictwo komisji ideologicznej zdążyło się zorientować, że proces moskiewski przemienił się w klęskę reżymu Breżniewa-Kosygina, klęskę potrójną, bo wewnątrz kraju, w państwach socjalistycznych i na Zachodzie. Na dwa tygodnie przed Zjazdem obóz liberalny przystąpił ze swej strony do ofensywy. Czterdziestu najlepszych pisarzy i krytyków sowieckich wystosowało do Komisji Ideologicznej protest przeciwko surowemu wymiarowi kary w stosunku do Siniawskiego i Daniela. Nieomal jednocześnie dwadzieścia siedem osobistości z życia literackiego, artystycznego i naukowego zwróciło się do Komitetu Centralnego partii z prośbą, aby wbrew krążącym w kraju pogłoskom, nie dopuszczono do rzekomo zamierzanej częściowej rehabilitacji Stalina.

Zjazd partii biurokratów

XXIII Zjazd Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, czwarty z rzędu bez Stalina i pierwszy z kolei bez Chruszczowa, był czymś w rodzaju parady lub używając polskiego żargonu biurokratycznego „odprawy" nowej klasy biurokratów. Cała Rosja, tonąca w ogólnikach, cyrkularzach, ewindencjach i sprawozdaniach powstała zza urzędniczych biurek i zademonstrowała swoją klasową solidarność przeciwko nowym czasom i prądom. Wziąć choćby referat takiego Leonida Breżniewa. Cóż to za wspaniały okaz urzędniczej drętwej mowy! Ale zjazdowiczom z Rjazania czy Tuły, Chabarowska i Rostowa to się podobało, bo nareszcie przemówił swój człowiek, funkcjonariusz z krwi i kości, trzymający się niewolniczo, tak jak trzeba, tekstu tasiemcowego manuskryptu, a nie jak Nikita Chruszczow, trybun ludu, rozwalający bezwstydnie ustalony od dziesięcioleci rytuał zjazdów i zebrań, w świętoburczy sposób zaskakujący swoimi wybrykami delegatów, wytresowanych na normalny przebieg masówek, a nie na nagłe i nieprzewidziane improwizacje.

Kolektywne kierownictwo przywróciło nowej klasie nie tylko jedynie zrozumiały urzędniczy sposób wyrażania swych myśli i obcowania, ale i uwolniło ją od długoletniej zmory destalinizacji. Chruszczow, który w nieopatrzny ale chytry sposób wymościł sobie drogę do władzy oskarżeniem zmarłego tyrana, ukręcił jednocześnie z destalinizacji na biurokratów bicz, którego bali się tak jak kiedyś prawosławni czorta. W narodzie poszły słuchy, że odpowiedzialnych za zbrodnie, areszty, zsyłki, małych stalinów i stalinków pociągną do odpowiedzialności. Odtąd tysiące a może i setki tysięcy partyjnych kacyków zapałało nienawiścią do tych wszystkich, co zakłócili spokój i harmonię kolektywnej solidarności. Zespół Breżniewa uciął łeb hydrze nieczystego sumienia, prania na oczach narodu brudnej urzędniczej bielizny, a może jeszcze gorszych konsekwencyj. Wprawdzie moskiewski sekretarz partii Jegoriczew powiedział, że nie ma powrotu do błędów i wypaczeń z okresu „kultu jednostki", co również przyjęto z ulgą, ale co ważniejsze proklamował generalną rehabilitację lat trzydziestych, czterdziestych i początku pięćdziesiątych. W ten sposób zdjęto anatemę, rzuconą przez Chruszczowa na okres stalinizmu. Destalinizacja została odłożona do aktów z napisem „załatwione". I dopóki obecne kierownictwo na Kremlu utrzyma się przy władzy, dopóty nikt w Związku Sowieckim nie odważy się wyjąć tych akt z szuflady. Logicznym ukoronowaniem procesu tych restauracyjnych zabiegów jest reaktywowanie dawnych instytucji: Politbiura i Generalnego Sekretarza Partii. A w ślad za tym idzie zniesienie chruszczowowskiego regulaminu o rotacji na rozmaitych szczeblach aparatu partyjnego. Nikita pragnął w ten sposób zapewnić partii lepszy system krążenia krwi w arteriach władzy. Ale biurokracja dojrzała w tym zamach na swój establishment. Nowa klasa, dążąc do konsolidacji nadszczerbionej hegemonii w układzie sił społecznych, musi również pamiętać o narybku. Anulując system rotacji ufa, iż w ten sposób uzyska dopływ nowych sił.

„Rosyjska droga do komunizmu"

Zastosowanie tego rodzaju środków otrzymało bardzo istotną podmurówkę w postaci ideologiczno-doktrynalnej. Czuwał nad tym sam Susłow. Pod jego egidą proklamowano z trybuny zjazdowej nawrót do starego systemu indoktrynizacji partii a przez nią całego społeczeństwa.

Inteligencji twórczej, jeżeli nie liczyć garstki przedstawicieli nauk ścisłych, na tym zjeździe nie było. Ci z literatów, którzy dostali bilet wstępu, jak Szołochow, Tichonow, Markow i Bribaczow z Rosji lub Kornejczuk z Ukrainy, należą już od dawna do warstwy biurokratów. Ostatecznie wyrzucono z Komitetu Centralnego głównego rzecznika krytycznej literatury, naczelnego redaktora miesięcznika „Nowyj Mir" Twardowskiego i poetę Aleksego Surkowa, który z pozycji dogmatycznych przeszedł przed kilku laty do ugrupowania liberalnego.

Moskwa wytyczyła biurokracji „rosyjską drogę do komunizmu", przebiegającą krętymi wąwozami własnej tradycji, pomiędzy modelem chińskim i najbardziej zacofanymi modelami Europy Środkowo-Wschodniej, jak na przykład systemu gomułkowskiego w Polsce.

Tylko w teorii i praktyce ekonomii społecznej, w systemie zarządzania przemysłem, zatwierdzono prawo do stosowania eksperymentów według dotychczasowych recept Kosygina. A więc recepcja klasycznych środków i bodźców gospodarki kapitalistycznej nie przeczy widocznie przywróconemu puryzmowi ideologicznemu Susłowa. Jest w tym oczywiste przeciwieństwo i poważny

zalążek przyszłych konfliktów zarówno społecznych jak też światopoglądowych. Jak biurokraci sowieccy dadzą sobie radę z tego rodzaju schizofrenią polityczną, pokażą najbliższe lata. Wiemy jednak skądinąd, że ów rozbrat między ekonomią a formami życia społecznego nie jest niczym nowym w historii Rosji. Od początku industrializacji tego kraju system gospodarczy wyprzedzał polityczne formy ustrojowe. Czym się to dla systemu cezaropapizmu carskiego skończyło, pokazała rewolucja lutowa i październikowa. W warunkach bardzo kompleksowych zagadnień skurczonego i wzajemnie od siebie zależnego świata, w obliczu narastających konfliktów społecznych, pokoleniowych, narodowościowych i ustrojowych wewnątrz ZSSR, droga obrana przez Breżniewa może się okazać katastrofą. O takim a nie innym wyborze środków zaradczych przesądziły jak zwykle wśród konserwatywnych formacyj społecznych egoistyczne interesy klasowe, niezdatnej już do samoistnej regeneracji biurokracji.

Pokrowski znowu aktualny?

Trudno mieć do Stalina urazę, że nienawidził szkoły Pokrowskiego i że ją zgnębił. Równie i dziś, współcześni władcy Rosji nie kwapią się, by go w pełni zrehabilitować. Może odczuwają instynktownie, że jego „Historia Rosji" mogłaby dać powód do wysnuwania pewnych niebezpiecznych analogii. No bo jakby odczytano dziś w Związku Sowieckim takie oto zdania: „Kiedy umarł Mikołaj, każdemu spadł z serca kamień. Burżuazja była bardzo zadowolona ze skromnych „wielkich" reform. Najwięksi śmiałkowie spośród warstw burżuazyjnych decydowali się co najwyżej na to, by prosić o „ukoronowanie budowy", prosząc o konstytucję. Ale nie popadali w rozpacz, kiedy państwo ucisku odrzucało ich dezyderaty. Sytuacja inteligencji nieco się zmieniła. Dla niej powstały pewne ulgi. Cenzura istniała wprawdzie nadal, ale stare rosyjskie wzorce ustąpiły miejsca nowocześniejszym francuskim metodom. Miast zwykłego czerwonego ołówka cenzora wydawcom gazet i czasopism grożono „ostrzeżeniami" lub „konfliskatami". Jednak obecnie można było pisać o pewnych rzeczach, o których za Mikołaja nie można by było nawet czynić aluzyj. Ale właśnie w związku z nowymi „reformami" wynikało tyle ciekawych i frapujących zagadnień, iż połowiczne koncesje musiały się wydawać jeszcze bardziej krępującymi, niż dawne porządki. Toteż aresztowania szły za aresztowaniami. Najwybitniejszego publicystę owych czasów, Czernyszewskiego, zamknięto najpierw do więzienia a potem zesłano na katorgę. Hercen, najpopularniejszy wówczas pisarz, nie śmiał tworzyć w Rosji i mieszkał w Londynie. Wystarczyło zawrzeć z nim znajomość, by się znaleźć na sybirskim wygnaniu. Znany krytyk i publicysta, Pissarew, pisywał swe artykuły w twierdzy petropawłowskiej. Wszystko to wywoływało głębokie rozgoryczenie i rosnący opór, zjawiska które znali tylko dekabryści. Zrzucenie rządów samowładczych stawało się dla wszystkich koniecznością. Zresztą sprzyjały temu koncesje, na które się zdecydował reżym ucisku, zaś odruchy niezadowolenia wśród chłopów, które nastąpiły w ślad za „wyzwoleniem" utwierdzały w wierze, że cel ten nie jest już bardzo daleki. Niezależnie od tego pod jakimi sztandarami ówczesna inteligencja występowała — czy to pod demokratycznym, czy socjalistycznym lub anarchistycznym — zadanie jej było jedno i to same: obalenie caryzmu...

Szybki rozwój przemysłu przy końcu XIX stulecia przyczynił się w niezwykle wydatny sposób do wielkiego rozrostu inteligencji w Rosji...

Ruch robotniczy, ruch chłopski i ruch intelektualistów w miastach podcinały korzenie rządom ucisku, chociaż góra wyglądała tak, jakby się jeszcze w ciągu wielu lat mogła utrzymać przy władzy. Mężowie z osiemdziesiątych lat byli przekonani, że rewolucja w Rosji, przynajmniej za ich życia jest nie do zrealizowania. Ale młodzież dziewięćdziesiątych lat wyczekiwała już z tęsknotą najbliższej przyszłości, zadając wręcz pytanie: kiedy wybuchnie rewolucja? Po roku 1901 wszyscy odczuwali już jej zbliżanie się. Jak jednak i czym się ona zacznie? Jak podejść do tej granitowej skały, co się mieni rządami samowładczymi? Fale uderzają już od dawna w piedestał tej władzy, ale góra jej jest wciąż jeszcze bardzo oddalona od najwyższej fali. Każdy strajk, każda demonstracja kończy się nieuchronnie rozpędzeniem, aresztowaniami, zesłaniem. I żadnemu ruchowi nie udawało się zdobyć ogólnonarodowego zasięgu, wzburzyć wszystkie siły społeczne. Wydawało się, że ze sporadycznymi strajkami lub demonstracjami rząd się zawsze upora. Poza rewolucyjnymi kołami, które niezmordowanie kontynuowały swą organizacyjną i propagandową działalność... w szerokich warstwach inteligencji panowały nastroje przygnębienia... Nikomu z tych małodusznych ludzi nie przychodziło do głowy, że Romanowowie sami sobie już grób wykopali i że majestatyczna góra samowładczej skały trzyma się jeszcze siłą inercji i że jedno silniejsze uderzenie fali wystarczy, by tę skałę obalić".

Bohdan OSADCZUK

Kronika angielska

PROTEST I TRZY PUNKTY

W „Daily Californian" z dnia 16. 3. br. ukazał się protest w sprawie Kuronia, Modzelewskiego, Hassa i towarzyszy. Protest podpisany jest przez dziesiątki profesorów i organizacji studenckich uniwersytetu w Berkeley i skierowany w formie listu otwartego do rządu PRL. Wśród podpisów organi-

zacji studenckich na pierwszym miejscu widnieje W.E.B. Du Bois Club, który zrzesza młodzież komunistyczną (pro sowiecką). Niewątpliwie to jest podpis, który daje najwięcej do myślenia.

W kwietniu ub. roku władze PRL aresztowały 12 młodych komunistów pod zarzutem rozpowszechniania zakazanej literatury politycznej. W lipcu 1965 r. sześciu z oskarżonych stanęło przed sądem i otrzymało wyroki od trzech do trzech i pół lat więzienia. Proces następnych trzech oskarżonych odbył się 12 stycznia 1966 r. Wszyscy trzej otrzymali po 3 lata więzienia. Los pozostałych aresztowanych jest nieznany. Nie jest wyłączone, że zostali zwolnieni.

Najstarszym z uwięzionych jest Ludwik Hass skazany w drugim procesie na trzy lata więzienia. Hass jest trockistą. Aresztowany przez władze sowieckie w roku 1939 przebywał w osławionym łagrze w Workucie i w innych łagrach do roku 1957.

Inni oskarżeni są znacznie młodsi od Hassa. Karol Modzelewski, skazany w pierwszym procesie na trzy i pół lata więzienia, liczy lat 27. Jacek Kuroń młody intelektualista-marksista otrzymał również 3 i pół lat w pierwszym procesie. Historyk Romuald Śmiech i ekonomista Kazimierz Badowski — otrzymali podobnie jak Ludwik Hass po 3 lata więzienia w drugim procesie.

Aresztowani opracowali pamflet liczący 128 stron pisma maszynowego. W owym dokumencie — podobnie jak przed sądem — Hass zdefiniował swą postawę jako „trockisty i rewolucyjnego socjalisty".

Dobrze znany Czytelnikom „Kultury" Witold Jedlicki (obecnie na uniwersytecie w Berkeley) — przemawiając na zebraniu, które uchwaliło cytowany list protestacyjny wydał o Ludwiku Hassie jak najlepsze świadectwo. Hassa nie załamała ani Workuta ani łagry i więzienia i pozostał wierny swym przekonaniom, które głosił z bezprzykładną odwagą.

W cytowanym pamflecie na którego redakcję Hass (należy przypuszczać) wywarł decydujący wpływ — obecną administrację określono jako „dyktaturę biurokratów", która okrada robotników. Autorzy pamfletu domagali się przywrócenia demokracji robotniczej opartej na radach robotniczych.

Trzy punkty w omawianej sprawie należy wyodrębnić i podkreślić:

a) Protesty masowo poparte spełniają istotną funkcję. Zapewniają bowiem takich ludzi jak Hass i Kuroń, że nie są osamotnieni w swojej walce o prawo do własnych przekonań.

b) Gdyby Ludwik Hass zastąpił Gomułkę prawdopodobnie nie przyznałby debitu „Kulturze". Lecz my walczymy o wolność słowa nawet dla tych, którzy gdyby byli przy władzy — owej wolności nam by odmówili.

c) Terc i Arżak siedzą w więzieniu lecz dokonali czego zamierzali. Instytut Literacki, który wydaje „Kulturę" — udostępnił ich książki całemu światu.

Gdyby Hass i Kuroń przesłali swój pamflet zagranicę — wydanie tego typu pracy mogło się stać wielkim wydarzeniem nie tylko w lewicowych kołach Zachodu lecz również w komunistycznym świecie Zachodu. Zachodnie partie komunistyczne stają się dziś naturalnym sojusznikiem postępowych i rewolucyjnych frakcji w bloku wschodnio europejskim.

W tej sprawie główną rolę odegrały nie trudności techniczne tylko kompleks anty-emigracyjny. Hass, Kuroń i towarzysze nie skalali się kontaktami z emigracją lecz wszystkie trzy kopie ich pamfletu wylądowały w schowkach Bezpieki. Świat nie dowiedział się i zapewne nigdy się nie dowie co

mieli do powiedzenia i za co w gruncie rzeczy zostali skazani. Woleli pójść do więzienia z zakneblowanymi ustami niż swym pamfletem poruszyć opinię międzynarodową.

Lenin i Trocki w latach „burzy i naporu" nie mieli żadnych kompleksów anty-emigracyjnych. Jeżeli ma się coś do powiedzenia należy wyjść poza ramy własnego biurokratyczno-policyjnego państwa. Działalność rewolucyjna nie polega na cierpieniu w milczeniu, tylko na głoszeniu, wszystkimi stojącymi do dyspozycji środkami, swojego programu. Ideowych męczenników nie brakowało nam nigdy natomiast praktyka-rewolucjonisty nie mieliśmy ani jednego. Dlatego uwłaszczenie chłopów mieliśmy z drugiej ręki, reformę rolną mieliśmy z drugiej ręki i rewolucję mieliśmy z drugiej ręki. Wydaje się, że i „liberalizację" będziemy mieli kiedyś z drugiej ręki.

ANTROPOLOGIA — DZIECIĘ EPOKI PRZEMOCY

W kwietniowym numerze „Encounter" ukazał się „wywiad-rozmowa" George Steinera ze znakomitym antropologiem francuskim Claude Levi-Strauss'em. Levi-Strauss jest antropologiem typu Malinowskiego w tym sensie, że przywiązuje podstawowe znaczenie do prac badawczych w terenie. Lecz na tym kończą się analogie z naszym wielkim rodakiem. Zainteresowania Levi-Straussa obejmują etnografię, socjologię i marksizm. Jak sam przyznaje, lektura Marksa podjęta w młodości wywarła na niego wielki i trwały wpływ. Lecz oczywiście Levi-Strauss nie jest marksistą w zwyczajnym tego słowa znaczeniu.

W opinii Levi-Straussa — Marks pierwszy w naukach społecznych zastosował metodę „odszyfrowania". Instytucje społeczne nabierają sensu i znaczenia dopiero wówczas gdy zostają „odszyfrowane". To jest podejście etnografa pracującego w terenie. Etnograf obserwuje zjawiska i instytucje, które w szyfrze jego cywilizacji są nie do odczytania. Musi znaleźć klucz do odszyfrowania tych instytucji by móc je zrozumieć.

Choć Levi-Strauss nie idzie tak daleko — sądzę, że jeżeli przez marksizm rozumieć interpretację procesu historycznego to można zaryzykować twierdzenie, że barierą, która oddziela ludzi cywilizacji zachodniej od ludów prymitywnych jest... marksizm.

Ludy pierwotne — jak tubylcze szczepy australijskie — mają za sobą historię równie długą jak my, ponieważ wszyscy wywodzimy się z wspólnego pnia. Różni nas nie historia tylko *podejście* do historii. Stosunek owych szczepów do historii jest negatywny. W ich opinii każda zmiana jest zła a wyrazem mądrości ludzkiej jest uporczywe dążenie do zachowania pierwotnego stanu rzeczy i warunków.

Ludzie Zachodu — a marksiści w szczególności — wykazują pozytywny stosunek do historii dopatrując się sensu i znaczenia w procesie dziejowym.

Czy istotnie tak jest?

Levi-Strauss przyjmuje za Marksem, że historia ma sens i powinna mieć sens bo tylko w ten sposób możemy nadać szersze znaczenie naszej cywilizacji.

Równocześnie jednak Levi-Strauss podkreśla, że to co jest prawdą dla obserwatora w ramach danej cywilizacji — nie musi wydać się prawdziwe

obserwatorowi z zewnątrz, który dysponuje szerszym polem widzenia. Podobnie geometria euklidesowa jest prawdziwa w ramach ograniczonego układu lecz nie wystarcza do wyjaśniania zjawisk bardziej złożonych w sensie czasu i przestrzeni.

Osobiście wydaje mi się, że jest zbyt wcześnie wyrokować czy historia ma sens czy nie ma. Gdy Engels przyrównał Marksa do Darwina nikt nie przewidywał epoki atomowej. Dopóki światowa wojna atomowa jest rzeczą możliwą, dopóty nie można twierdzić dogmatycznie, że historia ma sens. Dopiero gdy wypracujemy system międzynarodowy, który umożliwi pełne i rzeczywiste rozbrojenie atomowe — będzie można bronić rzeczowymi argumentami tezy, że historia ma sens. Należy bowiem pamiętać, że z każdym rokiem produkuje się nowe i potężniejsze bronie nuklearne a postęp w kierunku rozbrojenia i kontroli jest równy zeru.

Marks nigdy nie przypuszczał, że ludzie zdobędą środki umożliwiające likwidację procesu historycznego.

Jeżeli przyjmujemy jako pewnik, że historia ma sens wówczas musimy również uznać za pewnik rozbrojenie i międzynarodową kontrolę atomową. Albowiem świat, który zmierza do zagłady atomowej nie może podtrzymywać tezy, że jego historia ma jakikolwiek sens czy znaczenie.

Lecz to tylko uwaga na marginesie.

Interesujące są opinie Levi-Straussa dotyczące konformizmu i antykonformizmu. Ponieważ jesteśmy świadkami powstawania cywilizacji światowej — przyjmujemy za pewne, że ludzkość ulegnie z czasem ujednoliceniu. Pewne kraje będą takie jak współczesna Ameryka — inne kraje przypominać będą Amerykę sprzed dwudziestu laty — lecz w sumie wszędzie będzie Ameryka.

Levi-Strauss sądzi, że ludzkością rządzi nie tylko konformizm lecz również „zasada różnorodności". Obserwujemy na przykład stałe poszerzanie się przepaści między pokoleniami. Owe stada „nastolatków" *(teenagers)* nie strzyżone, niegolone z tranzistorami i patefonami — uganiające się po kontynentach Europy i Ameryki na skuterach i motocyklach robią wrażenie importu z obcej planety — bez jakichkolwiek analogii czy powiązań z pokoleniem poprzednim.

W opinii Levi-Strauss'a olbrzymi rozwój środków komunikacyjnych i tele-komunikacyjnych umożliwił współczesnemu młodemu pokoleniu zbudowanie własnej kultury — w znacznej mierze różnej od kultury pokolenia poprzedniego.

W okresie mojej wczesnej młodości nie było radia, telewizji, samolotów pasażerskich a samochód i motocykl należały do rzadkości. Pomiędzy moim pokoleniem a poprzednim nie było przepaści — bo nie było jej czym wykopać.

Warto również przytoczyć opinie Levi-Strauss'a o materializmie. W XVIII i XIX wieku sądzono, że kultura ludzka jest czymś całkowicie różnym od przyrody. Obecnie nasze pojmowanie natury uległo rewolucyjnym przemianom. By zrozumieć funkcjonowanie skomplikowanych zjawisk przyrodniczych staje się rzeczą konieczną stosować modele kulturowe. Jako przykład Levi-Strauss przytacza model przekazywania cech dziedzicznych. Innymi słowy, człowiek współczesny nie jest materialistą w sensie XVIII-XIX-wiecznym ponieważ przekonaliśmy się, że przepaść pomiędzy kulturą a przyrodą jest mniejsza niż sądzono. Nie wynika to z faktu, że w kulturze jest więcej przyrody niż przypuszczano lecz odwrotnie — przekonujemy się, że w przyrodzie jest więcej kultury niż w ubiegłym stuleciu byliśmy skłonni mniemać.

Levi-Strauss w omawianym wywiadzie operuje wielkimi skrótami myślowymi. Wydaje mi się jednak, że jego pogląd, który dzieli wielu uczonych można interpretować w tym sensie, że obraz kosmosu jako gigantycznego mechanizmu zegarowego „wyparował" podobnie jak „wyparowała" materia. Laik nie związany naukowymi konwencjami może pójść o krok dalej i powiedzieć, że przyroda — tak jak ją dziś odszyfrowujemy — wydaje się dziełem nie tylko czyjejś wszechmocy lecz również odbiciem czyjegoś geniuszu i kultury.

Antropologia jest typowo zachodnią nauką. Wynika to stąd, że cywilizacja zachodnia ustosunkowywała owe dość „specjalnie" do ludów pierwotnych. Przez stulecia podbijaliśmy owe ludy, wyzyskiwaliśmy je, handlowaliśmy nimi jako niewolnikami i dlatego przychodzi nam bez trudu patrzeć na tych ludzi jako na przedmioty. Owe ludy mogą stanowić przedmiot naszych badań ponieważ traktowane były jako przedmiot.

Nie ulega wątpliwości — mówi Levi-Strauss — że antropologia jest dzieckiem epoki przemocy.

OBRAZ SĄSIADA

W polityce olbrzymią rolę odgrywa „obraz". Chruszczow bijący butem w pulpit w czasie debaty w OZN — wielu Polakom wydawał się „syntezą-portretem" rosyjskości. Chamstwo uważamy bowiem za jeden z charakterystycznych rysów „człowieka sowieckiego".

Okazuje się jednak, że ów występ z butem Chruszczowowi niezmiernie zaszkodził. E. Crankshaw w swojej biografii Chruszczowa, która w formie książkowej ukaże się latem br. — stwierdza, powołując się na opinię Rosjan, że ów epizod był jednym z gwoździ do trumny Nikity jako polityka. Rosjanie — naród w znacznej mierze chłopski — cenią „krzepę" a nawet rubaszność. Jednak zachowanie się Chruszczowa w OZN było sprzeczne z godnością i powagą charakterystyczną dla postawy chłopa. Chruszczow zachował się nie jak chłop ale jak błazen. Rosjanie wymagają by ludzie, którzy ich reprezentują zachowywali się z powagą i godnością.

Polacy pomimo, że sami są jeszcze ciągle w połowie narodem chłopskim — w Rosjanach widzą chłopów i chłopów przemienionych w robotników, tylko chamów śmierdzących dziegdziem.

Niemniej ponury jest obraz Niemca uformowany w polskiej psychice zbiorowej. Propaganda komunistyczna z jałowym uporem stara się utrwalać tezę, że wszyscy Niemcy zachodni są hitlerowcami, który ze względów taktycznych czapki z trupimi głowami schowali na razie do komody.

Każdy konflikt jest w gruncie rzeczy konfliktem ideologicznym. Wróg nie tylko nie ma racji, lecz reprezentuje zło. Walczy się nie tylko w imię interesów państwowych lecz w celu obrony ideałów wolności, niepodległości, chrześcijaństwa, cywilizacji zachodniej i td. Wróg stanowi zawsze antytezę tych ideałów.

Uracjonalnienie polityki musi się zacząć od zobiektywizowania prototypów w psychice zbiorowej. Nie ulega na przykład wątpliwości, że obraz Chin w amerykańskiej psychice zbiorowej jest fałszywy i obraz Ameryki w zbiorowej psychice Chińczyków jest również całkowicie fałszywy.

Ideologiczność konfliktu Wschód-Zachód polega na tym, że dla przekonanego komunisty kapitalizm z definicji reprezentuje nie tylko wadliwy system gospodarczy lecz zło w sensie etycznym.

Ludzie chcą być zawsze po stronie aniołów a komuniści przywiązują do tej sprawy szczególną wagę. Najprostszą metodą zdobycia „statusu anielskiego" jest przyznanie sobie wszystkich cnót i wspaniałomyślne scedowanie wszystkich wad na konto przeciwników. I dlatego racjonalizm i obiektywizm w polityce oznacza przede wszystkim racjonalne i obiektywne spojrzenie na własny naród.

W tej niezmiernie istotnej dziedzinie pisarze, publicyści, historycy — mogą odegrać większą rolę niż zawodowi politycy skazani na wieczne kokietowanie wyborców.

Tylko Niemiec, który obiektywnie ocenia przeszłość własnego narodu zdobędzie się na obiektywizm w stosunku do Polski i Polaków. Są tacy Niemcy. Do takich Niemców należy Armin Dross, pomorzanin, znakomity tłumacz autorów polskich. Dross jest nie tylko tłumaczem lecz i autorem. Jego prace dotyczące stosunków niemiecko-polskich charakteryzuje wielki obiektywizm i życzliwość. Dross szczerze pragnie wyrównania stosunków polsko-niemieckich i jeżeli kiedyś to nastąpi to owo wyrównanie będzie dziełem nie polityków i biurokratów tylko takich ludzi jak on. Ostatnio ukazała się książka Armina-Drossa pt. „Deutschland und Polen in Geschichte und Gegenwart" (Hermann Schroedel, Hannover).

Wystarczy wymienić tytuły kilku rozdziałów by zorientować Czytelnika w zasięgu pracy Drossa: „Niemiecko-Polskie kompleksy", „Przemiany Obrazu Niemiec w Polskiej Literaturze", „Polityczno-Psychologiczne Zahamowania". Wyżej zacytowane rozdziały stanowią wstęp i rozplanowanie perspektywy omawianych zagadnień. Część druga, która składa się z siedmiu rozdziałów, stanowi próbę historycznej syntezy Polski jako państwa europejskiego. Część trzecia i ostatnia nosi charakterystyczny tytuł: „Dzieje Sąsiedztwa".

Dross podkreśla, że w przeciwieństwie do Rosji — Polacy z Niemcami żyli w dobrych sąsiedzkich stosunkach przez stulecia. Pomiędzy „Reichem" a Polską historią notuje tylko dwie wojny: w roku 1157 i w roku 1939.

Omawiana książka przeznaczona jest dla czytelnika niemieckiego. Hitleryzm a zwłaszcza polityka wschodnia Trzeciej Rzeszy przedstawiona jest z pełnym obiektywizmem. Dross cytuje w dosłownym brzmieniu tajną adnotację z 2. 10. 1940, która stanowiła podstawę i wytyczną hitlerowskiej polityki w stosunku do Polski i Polaków: „Führer jeszcze raz podkreślił, że Polacy mogą mieć tylko jednego pana tzn. Niemca. Dwóch panów obok siebie nie może i nie powinno istnieć i dlatego wszystkich przedstawicieli polskiej inteligencji należy zlikwidować".

Tylko Polak, który ma odwagę spojrzeć obiektywnie na dzieje własnego narodu jest moralnie uprawniony do krytykowania Niemców czy Rosjan. Ci z nas, którzy jeszcze dziś bronią Berezy i Brześcia — nie mają tego prawa.

Nie istnieje odpowiedzialność zbiorowa. Istnieje jednak solidarność z własnym narodem w złym i w dobrym. Należy się szacunek takim Niemcom jak Armin Dross, którzy potępiają bezwzględnie i bezwarunkowo hitleryzm i ów potępiony hitleryzm biorą na swoje plecy — ponieważ to jest brzemię historii ich narodu.

W Rosji jest jeszcze niewielu Arminów Drossów, którzy gotowi byliby potępić bezwarunkowo stalinizm i wziąć owo brzmię na swoje barki.

„CYGAŃSKIM WOZEM"

Przyjaźnię się z Kazimierzem Wierzyńskim więc Czytelnik nie bez racji posądzić mnie może o kumoterstwo. Nie sądzę bym potrafił napisać o Wierzyńskim bez kumoterstwa jeżeli przez kumoterstwo rozumieć sentyment. Myślę jednak, że przecież nawet w stosunku do Wierzyńskiego potrafię zmobilizować nieco obiektywizmu.

Mój Ojciec był kolegą gimnazjalnym i przyjacielem Tetmajera. W moim domu na honorowym miejscu stoją tomy poezji Wierzyńskiego z jego dedykacjami. W gabinecie mojego Ojca stały tomy Tetmajera również z dedykacjami.

Byłem uczniem V klasy gdy do naszego podhalańskiego domu zawitały pierwsze numery „Skamandra". Mój Ojciec zapoznawszy się z ich treścią oświadczył, że jeżeli pragnę wydoskonalić mój smak literacki — powinienem „Skamandra" wyrzucić do kosza i ze zdwojoną energią kontynuować lekturę mistrza Tetmajera.

Dziś analogiczne opinie wygłasza o poetach i pisarzach o ćwierć wieku od niego młodszych gwiazda „Skamandra" i mój przyjaciel Kazimierz Wierzyński. Więc co tu mówić o obiektywiźmie w literaturze.

Nakładem „Polskiej Fundacji Kulturalnej" w Londynie ukazał się tom szkiców Wierzyńskiego pt. „Cygańskim wozem". Proza nie stanowi mocnej strony Wierzyńskiego. Miłosz — choć poeta — najlepsze rzeczy napisał prozą. Nie można nawet porównać świetnej „Doliny Issy" z „Traktatem Poetyckim".

Wierzyński nie dysponuje również analityczną, krytyczną mózgownicą typu Herlinga Grudzińskiego i dlatego jego szkice o poetach czy pisarzach trudno nazwać krytyką literacką.

A jednak tego co Wierzyński napisał o Camusie, Andrzeju Bobkowskim, Lechoniu, Rafale Malczewskim, Herlingu Grudzińskim — nie napisałby żaden krytyk literacki. To są krótkie noty-impresje poety o pisarzach — zawsze syntetyzujące, nigdy analityczne. W notatce o Camusie Wierzyński ujął w poetyckim skrócie jednego z największych i najtragiczniejszych pisarzy powojennej Europy. Zrobione to jest po mistrzowsku. Owa nota mówi więcej o autorze „Dżumy" niż tom studiów krytycznych.

Pewne istotne rysy ludzi i sytuacji bledną i wydają się na zawsze stracone dopóki nie padnie na nie ciepłe światło ludzkiego uczucia. Opisywani przez Wierzyńskiego zmarli przyjaciele ożywają — chciałoby się powiedzieć w jaskrawej barwie, którą emanowali za życia. Owa naturalna zdolność ewokowania ciepła osobistej atmosfery wolna od sentymentalizmu decyduje o nieprzepartym uroku pisarstwa Wierzyńskiego. Ów wdzięk, który skrystalizowany w formie świeci i bije własnym pulsem — może jest najbardziej wyczuwalny i autonomiczny w tym co Wierzyński napisał o ptakach.

WIELKI ŚWIAT I PROWINCJA

Gdy w amerykańskim tygodniku „Time" (nakład 4 miliony — o ile pamięć mnie nie myli) — ukazał się artykuł o „Kulturze" ozdobiony dużą

fotografią domu w Maisons-Laffitte z braćmi Giedroyciami, z Zosią i Zygmuntem Hertzami (plus piesek) na pierwszym planie — otrzymałem sporo listów i telefonów z gratulacjami.

W Londyńskim „Sunday Times" ukazał się również artykuł o „Kulturze" z fotografią. W okresie procesu Terca i Arżaka pojawiło się sporo artykułów o „Kulturze" w prasie francuskiej i niemieckiej tudzież w różnych periodykach amerykańskich i europejskich. Lecz oczywiście artykuł w amerykańskim magazynie „Time" oceniono za największe osiągnięcie.

„Zauważyli was" — pisali jedni. „Weszliście na Wielki Świat" — pisali drudzy. „Przestaliście być pismem prowincjonalnym" pisali inni.

Co to jest „wielki świat" i co to jest „prowincja"? Podejmuję się wybrać garść zeszytów „Kultury" (z Gombrowiczami, Miłoszami, Hostowcami, Grudzińskimi) — których poziom jest znacznie wyższy od przeciętnego standartu analogicznych publikacji angielskich czy amerykańskich.

O światowości nie decyduje poziom tylko język, nakład, pieniądze, a w ostatecznym rozrachunku potęga *(power)*.

Powyższy pogląd — choć powszechny wydaje mi się anachronizmem z którym należy walczyć. Źródłem tego zjawiska był dziewiętnastowieczny imperializm. Cesarskie Niemcy i Austria narzucały język niemiecki a imperialna Wielka Brytania uczyła po angielsku jedną czwartą ludności globu. Wszystkie ówczesne media komunikacji były w rękach i na usługach potęg imperialnych. W owej epoce „wielki świat" to byli imperialiści i zdobywcy a prowincją i parafiańszczyzną było wszystko inne.

Z biegiem lat wyrobił się w narodach „prowincjonalnych" kompleks imitatorski. Niedawno czytałem w prasie brytyjskiej notatkę na temat rozwoju muzyki jazzowej w Polsce. Autor zwrócił uwagę, że kompozytorzy jazzowi w Polsce po raz pierwszy zerwali z tradycją imitatorską i sięgnęli do oryginalnych motywów ludowych. Nie znam się zupełnie na muzyce lecz bezkrytyczne naśladowanie Zachodu przejawiało się u nas nie tylko w tej dziedzinie.

Czy gdyby „Inny Świat" Herlinga Grudzińskiego nie został przełożony na język angielski należałoby uznać tę książkę za prowincjonalną?

W Anglii ukazuje się co godzinę nowa książka. W Ameryce ukazuje się nowa książka przcięnie co 15 minut. Znaczny procent tych książek pomimo, że ukazują się w „wielkim świecie" jest rozpaczliwie prowincjonalny i ginie bez śladu nie wzbudziwszy nigdzie najmniejszego zainteresowania.

Na emigracji istnieje nieopisany snobizm obcojęzyczności. Jest rzeczą potężną a nawet cenną gdy dobra polska książka poprzez przekład na język angielski zostaje udostępniona milionom czytelników po obu stronach Atlantyku lecz przekład nie decyduje o randze pisarza. Znam pisarzy emigracyjnych, którzy na swym koncie mają niepomiernie więcej pozycji angielskich niż Wierzyński. I co z tego? Ci panowie są „trzecią klasą" a Wierzyński od pół stulecia jest czołowym polskim poetą.

Uznanie i rozgłos w tzw. „wielkim świecie" mogą być lub mogą nie być proporcjonalne do rangi danego pisarza. Reymont zdobył najwyższy międzynarodowy i światowy „status symbol" — nagrodę Nobla, Żeromski nie dostał Nobla a przecież nie może być najmniejszej wątpliwości, że był pisarzem niepomiernie wyższej rangi niż Reymont. „Chłopi" są beznadziejni a „Popioły" i „Przedwiośnie" są wspaniałe.

Artykuł w „Time" o „Kulturze" posiada wielkie znaczenie. Lecz zarówno artykuł w „Time" jak i w „Sunday Times" są niezmiernie prowincjonalne. Reporterzy tych pism nie dojrzeli w „Kulturze" niczego poza sensacyjnym elementem „przemytniczym". „Kultura" stała się reporterską sensacją bo pisarze sowieccy, których książki drukujemy zostali uwięzieni.

Z artykułów w prasie światowej nikt nie dowie się niczego o „Kulturze". Pozycję naszego pisma można wymierzyć tylko w skali wschodnio europejskiej. Czy wschodnia Europa z Moskwą włącznie jest prowincjonalna? Czy Terc, Arżak, Gombrowicz, Hostowiec — są prowincjonalnymi pisarzami?

Osobiście — wydaje mi się, że prowincjonalni są raczej ci, którym ignorancja uniemożliwia dojrzeć intelektualnego warsztatu poza fasadą znanego dziś na „wielkim świecie" domu w Maisons-Laffitte.

LONDYŃCZYK

Przegląd niemiecki

Pan Bogdan Szarlak w liście z 17 marca rb. pisze do redakcji: „Monachijski korespondent 'Kultury' ", S. W. Kozłowski, informuje o niektórych przejawach życia na terenie Bundesrepublik, ale nie o wszystkich. W Niemczech Zachodnich działa kilka sił. O jednych, tych lepszych, p. Kozłowski pisze. Te jednak ani nie budzą bardziej powszechnego zainteresowania, ani nie znajdują w szerszym zasięgu oddźwięku". Jako najbardziej znamienny przykład innych sił, „które znajdują właśnie bardziej masowy posłuch", autor listu wymienia NPD — Nationaldemokratische Partei Deutschlands.

Czy NPD naprawdę znajduje masowy oddźwięk? Czy rzeczywiście stanowi zalążek złowrogiej siły? Nie wydaje mi się.

NPD jest skomplikowanym produktem polityki powojennej. Założyciele usiłują „uchwycić władzę" według klasycznych wzorów Lenina i Hitlera. Operują skrajnie radykalnymi hasłami, obiecującymi wszystkim wszystko. Wypracowali „Manifest" i „Podstawy naszej polityki", z których można wnioskować, że ambicje autorów są o wiele wyższe od uzdolnień, nie wyrastających ponad poziom politycznego prymitywu.

Jednak we wrześniu 1965 uzyskali w wyborach do Bundestagu 1,8% głosów, a wybory komunalne z marca rb. w Hamburgu i w Bawarii dały im 3,9%. Stąd poruszenie w prasie niemieckiej i zagranicznej. Ale ten przyrost należy porównywać z ilością i przyrostem głosów oddanych dwum wielkim partiom. Obecnie w Bundestagu chadecy łącznie z socjalistami reprezentują ponad cztery piąte głosujących Niemców. Marcowe wybory komunalne w Hamburgu dały socjalistom 59 i chadekom 30 procent głosów; poprzednio 57,4 i 29,1. Trudno sobie wyobrazić aby NPD mogło powstrzymać w Niemczech tendencję do dwupartyjnego systemu rządów.

W tych warunkach NPD stanowi ważne zagadnienie dla sztabów chadecji, socjalistów i zwłaszcza FDP (Wolnych Demokratów), sprawia zapewne duży kłopot związkowemu i krajowym ministrom spraw wewnętrznych, ale dla sąsiadów Niemiec jest co najwyżej zagadnieniem wymagającym uważnej obserwacji.

W Niemczech Zachodnich siłą, którą można nazwać niebezpieczną, i któ-

ra odgrywa decydującą rolę w konstrukcji NPD, jest głęboko zakorzeniona tradycja posłannictwa pruskiej konserwatywnej państwowości, nakazująca walkę do upadłego o legendy jakiegoś mistycznego ducha niemczyzny i niemieckiej kultury. Tradycję tę najzwięźlej wyraził Wilhelm II, 15 czerwca 1918 roku, w chwili najwyższego napięcia ostatniej wówczas, wielkiej ofensywy niemieckiej na zachodnim froncie:

„Albo prusko-niemiecko-germański światopogląd — czyli prawo, wolność, honor, obyczaj — winien zwyciężyć i trwać, albo zawali się pod anglosaskim kultem służby bożkowi pieniądza. Jeden z tych światopoglądów musi w tej walce bezwarunkowo zwyciężyć. Niech zwycięża niemiecki światopogląd!"

Od tej wypowiedzi upłynęło prawie pół wieku. Niezbyt trafnie oceniony przez Wilhelma anglosaski kult bożka-pieniądza rozwinął się w tym czasie w potężne społeczeństwa demokratyczne o ustroju socjalnym, jaki nie śnił się chyba samemu Marksowi. Państwo pruskie istnieje tylko jako obiekt badań historycznych. Jednak wiele tradycji wyhodowanych przez to państwo trwa nadal, przy czym ujemne wartości tych tradycji wykazują większą żywotność od dodatnich. Tylko trwaniem tych tradycji można tłumaczyć że:

— Obecne oficjalne stanowisko Rządu — w rozpoczynającym się dwudziestym drugim roku po ustaniu działań wojennych — pod słowem „Zjednoczenie" każe rozumieć: terytorialne przywrócenie zwierzchności państwowej Niemiec w granicach z 1937 roku, a nie ustanowienie jedności wolnościowej i narodowej w obu częściach podzielonego „berlińskim murem" narodu.

— W słownictwie Związków Wysiedleńców hasło „Heimatrecht" oznacza przede wszystkim powrót tego „Heimatu" do państwa niemieckiego, a nie prawo do powrotnego osiedlenia się uchodźcy w miejscu pochodzenia.

— W podnieconej dyskusji, toczącej się od pół roku na temat memoriału Kościoła Ewangelickiego padały groźby wystąpienia z Kościoła, jeżeli Kościół nie zmieni stanowiska, to znaczy, jeżeli nie powróci do iluzji dyktowanych przez tradycję.

Nie posiadam danych potwierdzających wykonanie tej groźby, ale to nie jest ważne. Istotny jest sam fakt użycia takiej groźby, oraz że Kościół Ewangelicki nie przeląkł się i nie zmienia swego stanowiska. I zapewne nie zmieni, otrzymując potężny sukurs ze strony Kościoła Katolickiego, nie tylko pod postacią wymiany pism między polskimi i niemieckimi biskupami.

Arcybiskup Salzburga, dr Andreas Rohracher, w marcu rb. brał udział w uroczystości wprowadzania pierwszego superintendenta nowej diecezji luterańskiej Salzburg-Tyrol. Przy tej sposobności zwrócił się do „ewangelickich braci" by przebaczyli krzywdę, jaką przed dwoma wiekami jego poprzednik, arcybiskup Leopold hr. von Firmian, wyrządził protestantom. (W 1732 roku arcybiskup Firmian spowodował wysiedlenie około 20.000 protestantów, z których około 16.000 osiedliło się w Prusach Wschodnich, reszta emigrowała do Hanoweru, Holandii i Ameryki).

Nie jest wykluczone, że gest arcybiskupa Rohrachera umocni tylko agresywne zamysły pokrzywdzonych wysiedleńców, panów Adolfa von Thadden (spiritus movens NPD) i ministra chadecji Seebohma. Ale po chrześcijańsku rozumujący katolik i ewangelik, a takich jest w Niemczech sporo, dopatrzy się w wydarzeniu salzburskim wyrazu nowej epoki zapoczątkowanej przez ostatni Sobór Watykański, a nie zauważonej przez „niezłomnych" przeciwników memoriału Kościoła Ewangelickiego w Niemczech.

Zawzięta kampania przeciw memoriałowi EKD, prowadzona głównie przez hierarchów i biurokrację związków uchodźców, przyczynia się w wielu wypadkach do fanatycznego traktowania sprawy, a więc wykluczającego rzeczową dyskusję, ale jednocześnie wywołuje potrzebę gruntownej znajomości zagadnień Polski obecnej, oraz rozszerza i popularyzuje zaciekawienie sprawami polskimi wśród Niemców nie pochodzących z terenów wschodnich.

Może jest to przypadek, ale po rozpętaniu kampanii przeciw EKD, dwa doskonałe podręczniki niemieckie o historii Polski — profesora Rhodego „Kleine Geschichte Polens" i profesora Roosa „Geschichte der polnischen Nation 1916-1960" — w ciągu kilku miesięcy rozeszły się już w drugim wydaniu.

Memorandum EKD i dialog Episkopatów Katolickich winny zasadniczo ułatwić rządowi Kanclerza Erharda ruszenie z martwego punktu sprawy stosunków niemiecko-polskich. Nie wydaje mi się jednak, aby to mogło wkrótce nastąpić a nawet wątpię, aby to było możliwe podczas bieżącej legislatury parlamentarnej. Do takiej decyzji konieczna jest zdecydowana większość partii rządzącej, albo koalicja harmonijnie współdziałająca, czyli czynniki, które mogłyby skutecznie przeciwstawić się wpływom skrajnego nacjonalizmu, skoncentrowanego w NPD i dominującego w instytucjach typu „Göttinger Arbeitskreis für Ostfragen", czy w biurokracji związków uchodźców. Podkreślam: w biurokracji, — nie wśród ogółu uchodźców. A wpływy te, jak tego różne wydarzenia w Niemczech Zachodnich dowodzą, nie posiadają dostatecznej mocy, by decydować o biegu polityki Niemiec, są jednak dostatecznie silne, by wiele poczynań storpedować. Najskuteczniejszym działaniem przeciw tym wpływom jest po prostu bieg czasu.

Czas nie jest jedynym czynnikiem przyczyniającym się do nawiązania niemiecko-polskich stosunków pod postacią rokującą obustronne korzyści. Czynnikiem o jeszcze większym znaczeniu jest obecny rozwój i kierunek historiografii i historiozofii niemieckiej w odniesieniu do zagadnień Europy Wschodniej.

Od dziesięciu mniej-więcej lat stale wzrasta w Niemczech ilość kandydatów na naukowców, wybierających historię Polski jako główny obiekt badań. Wzrasta też ilość dysertacji na polskie tematy, a habilitacje związane z historią Polski nie są już wyjątkowymi wydarzeniami. Charakterystycznym szczegółem tego ruchu naukowego jest przyjęcie za aksjomat, że badanie historii Polski bez gruntownej znajomości historii Rusi-Rosji-Związku Sowieckiego, lub odwrotnie — badanie historii Rosji bez znajomości Polski — jest nonsensem.

Mając możność bezpośredniego kontaktu z wieloma przedstawicielami tego ruchu, upewniam się w przekonaniu, że ułożenie warunków współżycia sąsiedzkiego między Niemcami a Polakami, warunków nie tylko strawnych, ale i korzystnych dla obu stron, wypłynie z pracowni tych naukowców, a nie z gabinetów dzisiejszego pokolenia polityków.

◆

W marcu rb. profesor G. Rhode, jako prezes „Studiengesellschaft für Fragen Ost- und Mitteleuropäischer Partnerschaft", zorganizował w Lindenfels drugi już sympozjon historyków, literatów i publicystów zajmujących się zagadnieniami stosunków niemiecko-polskich. Temat ogólny — Sytuacja

religii i kościoła w dzisiejszej Polsce — został podzielony na sześć referatów z dyskusjami.

Lista uczestników, w porównaniu z pierwszym spotkaniem w listopadzie 1964 roku, uległa niewielkiej zmianie. Przybyło dwóch Amerykanów, prof. Marian K. Dziewanowski i prof. Richard Staar, Anglik, prof. Richard Hiscocks i — z racji na temat ogólny — trzech teologów niemieckich, prof. Harald Kruska, prof. Bernhard Stasiewski i ksiądz prałat Franz Wosnitza.

Zagadnienie językowe spotkania budziło trudne do określenia uczucia. Rozmowy toczyły się w trzech językach. Wszyscy uczestnicy rozumieli język polski i znali niemiecki. Przewodniczący prof. Rhode witał gości po angielsku i po polsku. Prof. Hiscocks zwracał się do gospodarzy po niemiecku. Prof. Dziewanowski przemawiał tylko po angielsku. Prof. Staar — Amerykanin dawnego holenderskiego pochodzenia — swój referat ze swadą wygłosił z pamięci biegłą polszczyzną. Pełen temperamentu prof. Jerzy Hauptmann (w 1944 bił się na Starówce w Warszawie, a po uwolnieniu z Murnau niezwłocznie zabrał się do studiów) w pewnym momencie wyjaśnia mi: „Na Śląsku, w okolicy z której pochodzę, wyznanie ewangelickie, mimo niemieckiego nazwiska, jest niemal synonimem polskości". A odwrotnie? — Obecny na sympozjonie ks. prałat Wosnitza katolickie święcenie kapłańskie otrzymał w Polsce i przebywał tam do 1947 roku. Był i jest Niemcem.

Wyjaśnienie Jerzego Hauptmanna tyle mi tylko wyjaśniło, że trwałe wyrównanie skomplikowanych sporów narodowościowych może nastąpić jedynie na płaszczyźnie obranej przez Episkopaty Katolickie i autorów memoriału EKD.

Pomijam szczegóły trzy dni trwającego sympozjonu. Przebieg obrad w Lindenfels przekonał polskich uczestników jak wiele można skorzystać z wzajemnych nie wymuszonych kontaktów. Myślę że i niemieccy rozmówcy nie uważają za zmarnowany czasu spędzonego na tym spotkaniu.

Znając trudności z jakimi prof. Rhode musi się liczyć, by zapoczątkowane spotkania przeistoczyć w długotrwałą instytucję, składam mu wyrazy uznania za już dokonaną działalność. Jednocześnie sugeruję myśl podjęcia batuty pozostawionej przez śp. profesora Wernera Markerta.

S. W. KOZŁOWSKI

Monachium, 7 kwietnia 1966.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Najnowsza historia Polski

Wojna i pokój (I)

I

Traktat pokojowy, kończący wojnę Rzeczypospolitej Polskiej z Rosją bolszewicką, podpisany został w Rydze dn. 18 marca 1921 r., ratyfikowany dn. 15 kwietnia tegoż roku. W 45-tą rocznicę tych dat spisuję uwagi o sprawach prowadzących do wojny 1920 r. i o warunkach — po zwycięstwie — w których pokój był zawierany.

Ostatnio powracają do owych czasów, trudnych i skomplikowanych, historycy, zarówno jak amatorzy — powieściopisarze, felietoniści. Ci ostatni skłonni są szczególnie do wyrażania sądów apodyktycznych w treści, a nieokrzesanych w formie.

Oto główne zagadnienia sporne: czy wojna 1920 r. była nieunikniona; jaki był związek między ideą federacyjną J. Piłsudskiego, a wyprawą kijowską oraz między tą operacją a zwycięskim zakończeniem wojny; wreszcie jaką rolę odegrał Piłsudski w okresie pertraktacji pokojowych i czy słuszny jest zarzut, że odstąpił on wówczas od swych — podstawowych w roku 1919 — planów federacyjnych.

Dla oceny prawidłowości, czy konieczności decyzji pobieranych w danym czasie opierać się trzeba na znajomości przesłanek i elementów sytuacyjnych, które *wówczas* ludziom decyzje pobierającym były znane; wchodzi tu w grę zarówno znajomość zamierzeń strony przeciwnej i stanu sił którymi rozporządza ona dla ich wykonania, jak i świadomość sił i możliwości własnych; niepospolicie ważnym elementem jest również czynnik czasu i wyboru momentu działania w najfortunniejszej chwili. Nie wcześniej i nie później. Otóż nie tylko amatorom, ale i historykom zawodowym zdarza się że, pisząc o przebiegu wypadków sprzed pół wieku niemal, popełniają swego rodzaju anachroniz-

my. Jeśli zaś chodzi o cudzoziemców, nie doceniają oni często że w owym wrzącym kotle, którym była w latach 1918-1920 wschodnia część Europy, a szczególnie Rosja, my, Polacy, mieliśmy nieporównanie lepszą orientację niż czynniki kierownicze na zachodzie Europy, czy w Stanach Zjednoczonych.

Jest też rzeczą pierwszorzędnej wagi charakterystyka działających osób oraz ich metod. Częste są i tu błędy. Pozwalam więc sobie sądzić, że wiadomości i obserwacje z lat owych mogą być materiałem dla historyków przydatnym. Będę się opierał głównie na wspomnieniach już przed kilkunastu laty przeze mnie spisanych, powołując się tylko niekiedy na dokumentację późniejszą.

◆

Działania wojenne, których kulminacyjnym okresem był rok 1920 rozpoczęły się de facto *o rok przeszło wcześniej*, ściśle mówiąc dnia 17 lutego 1919 roku, kiedy to, po ewakuacji okupacyjnych sił niemieckich z tego terenu, wojska rosyjskie zaatakowały linię Bugu na odcinku wołyńskim. Aż do kwietnia roku następnego były to operacje fragmentaryczne przerywane okresami zastoju, próbami pertraktacji poufnych i jawnych. Z obu stron oczekiwano na moment właściwy do kapitalnej rozprawy. Data ta ma — jak następnie wskażę — szczególne znaczenie.

Piłsudski i Lenin

Naczelne stanowiska po obu stronach zajmowali wytrawni rewolucjoniści, przywódcy ruchu socjalistycznego: J. Piłsudski po polskiej stronie, zaś W. I. Ulianow-Lenin po stronie rosyjskiej. Obaj interesowali się od dawna — być może z podobnych powodów — sprawami wojny i wojska. Piłsudski, analizując przebieg i upadek rewolucji przeciw caratowi w 1905 r., doszedł do przekonania że obalenie istniejącego ustroju przemocą przestało być możliwe — w istniejących już wówczas warunkach — środkami dla rewolucjonistów dostępnymi; brauningi i mauzery mogły być skuteczne przeciwko policji czy żandarmerii, nie miały jednak żadnych szans przeciwko karabinom maszynowym i samochodom pancernym; bomby poradzić nie mogły przeciwko bateriom artylerii. Z chwilą więc gdy wkraczało wojsko klęska była nieunikniona. Stąd wniosek, że rewolucja mogła mieć szanse zwycięstwa tylko w wypadku gdy wojsko w całości, lub w części przynajmniej, odmawiało posłuszeństwa rządowi, lub stawało po stronie rewolucji. A zatem trzeba umieć posługiwać się wojskiem, jako decydującym elementem walki, lub mieć do dyspozycji ludzi, którzy to umieją.

Różnica między Piłsudskim a Leninem polegała na tym, że u Piłsudskiego zainteresowanie wojskiem i wojną trafiło na grunt specjalny. Miał on w charakterze swym wrodzone cechy wodza i niewątpliwy talent. Pociągał za sobą jakby magicznie ludzi, budził w nich zaufanie i przywiązanie. Zdolny był do najcięższych

decyzji i trwania przy nich; zdumiewająca też była jego zdolność przewidywania. Ciekawe, że pierwszym chyba człowiekiem, który te cechy dostrzegł, był jeden z późniejszych zaufanych towarzyszy Lenina, Marks Horwitz; gdy powstała polska partia komunistyczna, w grudniu 1918 r., stanął on na jej czele; ale już w czasie rozłamu w P.P.S. w 1906 r., powiedział o Piłsudskim: „Towarzysz Wiktor — co on za socjalista? Powinien być generałem!".

Lenin, Karol Marks i Karol Clausewitz

Jest rzeczą pewną, że Lenin studiował nie tylko Marksa lecz i Clausewitza. Było to wśród socjalistów rosyjskich zjawisko wyjątkowe; panowało wśród nich jednolite nastawienie psychologiczne do spraw wojska i jego instytucji: była to — w różnym stopniu nasilenia — mieszanina uczuć pogardy, lekceważenia, nienawiści; oficerów niższego stopnia traktowano jak półanalfabetów i durniów; wyższych zaś jako tępe i okrutne tryby groźnej maszyny, w służbie absolutyzmu i reakcji społecznej. Nikomu, oprócz właśnie Lenina, nie przychodziło na myśl że prowadzenie wojny jest specyficzną gałęzią *wiedzy;* co więcej, że jest to jedna z najstarszych gałęzi wiedzy ludzkiej. Jej podstawowe wskazania, wynikające z tysięcy lat doświadczenia, są cenne i przydatne w dziedzinach wykraczających daleko poza operacje sił zbrojnych. Dotyczą one *wszelkich form walki,* równie dobrze w polityce wewnętrznej jak w dyplomacji międzynarodowej. Stosowane są świadomie lub nieświadomie przez wielkich mężów stanu. Lenin niewątpliwie stosował je świadomie. Cele swe brał z Marksa. Metody działania z Clausewitza. Nie jest to tylko ciekawostka biograficzna. Wpływ ten jest wyraźnie widoczny w całokształcie jego działań od roku 1917 począwszy. W taktyce obalenia rządów rewolucji demokratycznej po jego przybyciu do Rosji i uchwycenia władzy dla swej, znaczną mniejszość stanowiącej, partii; w doprowadzeniu do rozkładu armii istniejącej, stworzeniu nowej, i zorganizowaniu jej tak, by była zdatna do działania; w jego pracy politycznej i dyplomatycznej; w jego kierowniczym wkładzie w wojnę z Polską wreszcie, która miała być tylko etapem do niesienia rewolucji dalej.

Jak wiadomo, ostatnie dwa lata przed pierwszą wojną światową Lenin spędził na emigracji w Krakowie i w Poroninie. Po wybuchu wojny został przez władze austriackie aresztowany i deportowany do granicy szwajcarskiej. W Poroninie pozostawił kosz pełen książek, czasopism, gazet — polskich, niemieckich i rosyjskich. W maju 1919 r. dostarczono ten kosz do min. Spraw Wojskowych w Warszawie. Oczywiście, zainteresowałem się zawartością; nie było tam nic specjalnie dla nas ciekawego oprócz jednej książki w języku niemieckim: General Karl von Clausewitz „Vom Kriege" (O wojnie). Książka ta nosiła wyraźne ślady częstego i uważnego studiowania. Tu i ówdzie na marginesach odnotowane były poszczególne słowa przetłumaczone na rosyjski; zaś na ostatniej stronie książki znajdowało się kilkanaście zdań

pisanych ołówkiem, tu i ówdzie zatartym i wyblakłym; dotyczyły one kampanii napoleońskiej 1812 r. Były to uwagi zarówno o Napoleonie jak o Kutuzowie, z bardzo wysokimi ocenami tego ostatniego, ze wzmianką końcową że stał on pod względem inteligencji, charakteru i prawidłowości swej strategii bez porównania wyżej od legendarnego w Rosji Suworowa.

W kilkanaście lat później, w moich rozmowach z Antonowem-Owsiejenko, a później Karolem Radkiem w Warszawie, poruszałem temat wojskowych zainteresowań Lenina; znalazłem potwierdzenie. W podręcznej bibliotece Lenina znajdował się szereg podstawowych dzieł z literatury wojskowej. Antonow, który był zawodowym oficerem armii carskiej, mówił mi że wśród cywilnych czołowych działaczy rewolucji bolszewickiej Lenin był jedynym, który w zagadnieniach i trudnościach wojny i jej prowadzenia na najwyższych szczeblach orientował się należycie.

Daleki jestem od twierdzenia, że Lenin był typem żołnierskim lub miał specjalne talenty w tej dziedzinie; ani też że mógł przez lekturę nabyć kwalifikacje do bezpośredniego dowodzenia. Natomiast, przy swej niepospolitej inteligencji, musiał wynieść z niej świadomość że są dziedziny sztuki wojskowej — przede wszystkim w dziale kwatermistrzostwa (zaopatrzenia, transportu i tp.), w których zarówno *specjalna wiedza jak i doświadczenie jest rzeczą absolutnie niezbędną i niezastąpioną.* Toteż natychmiast po osiągnięciu władzy wyciągnął odpowiednie konsekwencje i przeprowadził reformy w stanie rzeczy, dla którego tak charakterystyczne było mianowanie chorążego rezerwy, prawnika z wykształcenia — naczelnym wodzem, a znakomitego dialektyka, wyżywającego się w mówieniu i pisaniu — komisarzem ludowym do spraw wojny. Wbrew praktyce pierwszych miesięcy bolszewickiego panowania — mordowania zawodowych oficerów, na których polowano jak na zwierzynę — Lenin zaczął poszukiwać starannie wyższych oficerów sztabowych, którym nie udało się uciec bądź zagranicę, bądź na tereny zajęte przez „białych", wydobył z ukrycia Szaposznikowa i Siergieja Kamieniewa, a przy ich pomocy wielu innych; niezależnie od ich poglądów woleli oni przejść z roli ściganej zwierzyny do bezpieczeństwa, a nawet dobrobytu i poszanowania, gdy powrócili do swej pracy fachowej. Pod koniec 1918 r. miał już Lenin zorganizowany i pracujący sztab generalny oraz powiększający się stale zastęp sztabowców przy wyższych dowództwach armii czerwonej. Mógł więc Trocki jeździć swym specjalnym pociągiem i wygłaszać płomienne przemówienia do żołnierzy na różnych frontach walki; Lenin zadbał o to, aby otrzymywali oni na czas zapasy broni i amunicji, aby funkcjonował transport dla koncentracji, parcia naprzód czy odwrotu.

Stwierdzić można ponad wszelką wątpliwość, że to Lenin a nie ktokolwiek inny był od tego czasu czynnikiem decydującym w sprawach wojny, tak samo jak w czasie wojny ostatniej był nim W. Churchill dla sił Zachodu w walce z Hitlerem.

Można by wyliczyć szereg charakterystycznych dla metod działania Lenina zasad, które niewątpliwie przejęte zostały z literatury wojskowej. Podkreślę w tej chwili tylko jedną: nieugiętość i nieustępliwość w strategii, tj. w dążeniu do osiągnięcia głównych celów walki; zaś — przeciwnie — pełną elastyczność i giętkość w taktyce, w środkach działania i w poszczególnych fazach walki. Oponenci Lenina stawiali mu nieraz zarzut, że posuwa się za daleko w swojej taktyce; nazywali go „królem oportunistów"; zarzucali mu łączenie się z wrogami partii i jej programu dla osiągnięcia przejściowych sukcesów; wytykano mu układy z mieńszewikami, a nawet z socjal-rewolucjonistami a później flirty (nie bez powodzenia) z socjalistami angielskimi, którzy w terminologii ortodoksyjnych bolszewików byli przecie zdrajcami klasy robotniczej i pachołkami kapitalizmu. Na to wszystko Lenin odpowiadał spokojnie: „tak jest, z diabłem i jego babką pójdę, jeśli mi na danym odcinku i w danym czasie będzie z nimi po drodze *(po puti)*". Dodać trzeba do tego oczywiście, że nigdy nie zamierzał takich przejściowych układów dotrzymywać, z chwilą gdy przestawały mu być potrzebne. Nigdy też nie uważał aby w walce z „wrogiem klasowym" należało się krępować jakimikolwiek względami lojalności. Gdy delegowani przezeń do pertraktacji towarzysze — odbierając instrukcje, lub składając sprawozdania — używali zwrotu „trzeba zrozumieć punkt widzenia przeciwnika", odpowiadał Lenin: „Tego wam nie wolno robić. Gdy będziecie próbowali rozumieć przeciwnika, to odejdzie wam ochota do rozwalenia mu łba".

Lenin w całej pełni praktykował maksymę: cel uświęca środki. W tej dziedzinie wykazywał on nie tylko giętkość, ale czasem krańcową odwagę i ryzyko.

„Z djabłem i jego babką" — w praktyce

Gdy — w 1918 r. — zastanawiałem się nad niebywałym osiągnięciem Lenina, jakim było odebranie przezeń władzy rządowi demokratyczno-socjalistycznemu, brałem pod uwagę zarówno bezwzględność jego metod, jak i błędy jego przeciwników. Nie mogłem jednak znaleźć odpowiedzi na jedno pytanie: skąd wziął on środki materialne dla prowadzenia przez szereg miesięcy, na ogromnym obszarze, akcji wymagającej niewątpliwie wielkich funduszów — na utrzymanie tysięcy ludzi, agitatorów i emisariuszy, na ich podróże, na wydawnictwa agitacyjne, na wyposażanie odległych ośrodków. Każdy obeznany z działaniami konspiracyjnymi wie, że brak pieniędzy udaremnić może najwspanialsze plany najbardziej utalentowanych organizatorów, w najlepszej nawet koniunkturze. W kwietniu 1917 r. gdy Lenin przybył do Rosji nie były przecie jeszcze dlań dostępne ani skarb i Bank Państwa, ani klejnoty koronne ani depozyty i schowki w bankach prywatnych. Nie jednemu nasuwał się więc ten sam znak zapytania. Przez długie lata tłumaczono zagadkę w ten sposób, że to dr A. Helphand znany pod pseudonimem „Parvus", były czło-

nek partii Lenina w czasie rewolucji 1905 r. — zaczął subsydiować bolszewików w 10 lat później, gdy po sensacyjnie zmiennych kolejach życia osiadł jako zamożny bankier w Kopenhadze.

Dopiero w 1956 r. odnalezione zostały w tajnych archiwach rządu niemieckiego dokumenty z pierwszej wojny światowej, stwierdzające, że Parvus był tylko niezmiernie zręcznym pośrednikiem, zaś fundusze pochodziły od *cesarskiego rządu niemieckiego*. Jest to raport min. spraw zagranicznych Rzeszy R. von Kühlmanna do Wilhelma II, datowany 3 grudnia 1917 r., już po przewrocie bolszewickim, oraz raporty wybitnego dyplomaty hr. Brockdorf-Rantzau, posła niemieckiego w Kopenhadze w 1915 r., opisujące z podziwem precyzyjną i dyskretną robotę Parvusa.

Kühlmann, informując cesarza o przebiegu starań niemieckich o rozbicie koalicji, a w szczególności o „spowodowanej przez nas akcji subwersyjnej w Rosji", stawia „na pierwszym miejscu podsycanie tendencji separatystycznych i wspieranie bolszewików".

Pisze on: „Bolszewicy dopiero po otrzymaniu od nas stałego dopływu funduszów, *przez różne kanały i pod różnymi pokrywkami*, uzyskali możność należytego postawienia swego głównego organu „Prawda", poprowadzenia energicznej propagandy i wydatnego rozszerzenia szczupłych początkowo podstaw swej partii".

A dalej: „Bolszewicy doszli obecnie do władzy; jak długo się przy niej utrzymają nie można jeszcze przewidzieć. Potrzebują pokoju aby umocnić swą pozycję; z drugiej strony — leży całkowicie w naszym interesie aby wyzyskać okres ich rządów, który może być krótki, dla osiągnięcia najpierw zawieszenia broni, a potem — o ile możliwe — pokoju".

Na marginesie tego raportu odnotowano: „Nie jest przewidywane wspieranie bolszewików w przyszłości".

Co zaś do przeszłości przed grudniem 1917 r. — Brockdorf-Rantzau meldował swemu rządowi już w sierpniu 1915 r., że organizacja dra Parvusa operuje zastępem ludzi w Kopenhadze i w Rosji, przy czym potrafi on działać tak dyskretnie że „nawet ludzie należący do organizacji nie zdają sobie sprawy, że *nasz rząd* stoi za tym wszystkim".

W kilka tygodni później melduje Brockdorf-Rantzau, że Parvus ocenia pełne koszta organizacji rewolucji w Rosji na 20 milionów rubli. Po otrzymaniu upoważnienia z Berlina, poselstwo wypłaca (29 grudnia 1915 r.) Parvusowi, na poczet tego, pierwszą zaliczkę w kwocie miliona rubli. Pokwitowanie, figurujące w aktach, podpisano: Dr A. Helphand.

Dalsze wypłaty trwały, jak wiemy z raportu Kühlmanna, aż do objęcia władzy przez bolszewików. (Cytuję lub streszczam dane powyższe za „International Affairs (April 1956) oraz „Daily Telegraph" z dn. 13 kwietnia 1956).

Gdy przytaczam tę dokumentację, obcą mi jest wszelka myśl aby Lenin — zimny fanatyk w dążeniu do swych celów, asceta w życiu osobistym — mógł być „kupiony" przez Niemców lub kogokolwiek innego. Zresztą dla każdej ze stron w transakcji

przeprowadzonej przez Parvusa, kontrahent był wówczas tym „diabłem", z którym było „po drodze". Ale jest to jaskrawa ilustracja giętkości Lenina w taktyce i w zdobywaniu niezbędnych środków działania, jak również jego ogromnej odwagi. Boć przecie gdyby to wszystko zostało ujawnione w momencie przybycia Lenina i jego grupy do Petrogradu, kiedy nawet jego własna partią na miejscu była zaskoczona zamiarami obalenia wszelkimi środkami będącego u władzy rządu demokratycznego — wiadomość taka mogła podziałać jak bomba wodorowa i odebrać mu grunt pod nogami. Ryzyko było straszliwe, a jednak zdobył się na nie.

Oczywiście, Leninowi ani się śniło robić cokolwiek innego niż to, co we własnych planach uważał za potrzebne dla zdobycia władzy dla swej partii i przeobrażenia Rosji w bazę dla rozszerzenia rewolucji na całą Europę, od tych samych Niemiec poczynając.

Propaganda swoją drogą, alternatywa przemocy — swoją

W marszu do władzy po przybyciu do Rosji zastosował Lenin dwie zasady, zaczerpnięte z wiedzy wojennej. Pierwszą, że w każdej fazie walki trzeba mieć gotową alternatywę; drugą — że nie koniecznie jest mieć przewagę sił nad przeciwnikiem na całym terenie walki. Wystarczy mieć ją w miejscu zamierzonej operacji kluczowej. W danym wypadku była to stolica państwa — Petrograd.

◆

Przerwanie wojny leżało w jego celach. „Burżuazyjne" poczucie honoru i obowiązku dotrzymania zobowiązań sojuszniczych — przy czym obstawał rząd demokratyczny po obaleniu caratu — nic Lenina nie obchodziło. Nie bardzo też przemawiało do szerokich mas rosyjskich, ani też do milionowych szeregów żołnierskich zmęczonych wojną, wśród których dyscyplina była już mocno poderwana. Lenin mógł liczyć, że rzucone przezeń hasło „pokój natychmiastowy bez aneksji i kontrybucji" da mu popularność. Leżała też w jego planach likwidacja „starej" armii, w której trwaniu widział niebezpieczeństwo. Poszedł tu na skrajną demagogię, jak również w miastach i ośrodkach przemysłowych gdzie rzucił wezwanie: *Grabi nagrablennoje!* (Rabuj zrabowane) — anarchizując je w ten sposób.

Rząd Kiereńskiego wysyłał swych ministrów i emisariuszy do poszczególnych armii na froncie; wygłaszali wspaniałe przemówienia do żołnierzy, tłumacząc im jak szczęśliwe i sprawiedliwe będzie życie w nowej demokratycznej Rosji, jaka wolność ich czeka, korzystanie z wszystkich praw i swobód obywatelskich; jak reforma rolna odda ziemie obszarnicze w ręce chłopskie — kończyli konkluzją, że przecież warto tego wszystkiego bronić i

wojnę prowadzić dalej. Agenci komunistyczni z instrukcji Lenina odpowiadali na to krótko: „Widzicie chłopcy, jakie szczęśliwe życie stoi przez wami. Ale cóż ci bracie z tego, jeżeli cię jutro Niemiec zastrzeli?" A na sprawę reformy rolnej odpowiadali równie krótko, zaczynając od pytania do najbliżej stojących żołnierzy: „Wy chłopcy z jakiej gubernii?" — „Z Tulskiej, z Orłowskiej" rozlegały się głosy. „To ja wam powiem, że tam już ziemię dzielą. I jak wam się zdaje? Czy wasi sąsiedzi będą czekali aż wy wrócicie? Lepiej by ruszać do domu od razu. A i parę koni z sobą zabrać na nowe gospodarstwo".

I to trafiało do przekonania. Niemcy zaś nie atakowali, uprawiali „bratanie się", zapewniali o swej gotowości do pokoju. Wojsko zaczynało się rozpełzać, z początku powoli, a potem masowo, dzieląc między siebie zawartość magazynów.

Jeśli chodzi o zakończenie wojny przez dezorganizację „starej" armii — zostało to osiągnięte przez propagandę. Nie wystarczyła ona jednak do osiągnięcia władzy. Ale w październiku 1917 roku Lenin miał już przygotowaną alternatywę. Przez swych polityków i agitatorów zaprzątnął uwagę Kiereńskiego i jego rządu walką na języki; przodował w tym L. Trocki. Tymczasem zawodowy oficer, Antonow-Owsiejenko, powierzone miał od kilku miesięcy zadanie zorganizowania „pięści zbrojnej", ze starannie dobranych jednostek broni maszynowej, samochodów pancernych, marynarki wojennej. Na dany znak, zaatakował siedzibę rządu, Pałac Zimowy; Kiereńskiego i jego ministrów przepędził.

W parę miesięcy później, mimo że bolszewicy pochwycili już władzę de facto, wybory do Konstytuanty przegrali — partia ich otrzymała zaledwie 25% oddanych głosów. Gdy nie poskutkowały ani obietnice ani groźby dla przeciągnięcia na jego stronę innych partii socjalistycznych — Lenin, mając zapewnioną przewagę sił w stolicy, użył ich znowu. Rozpędził przedstawicieli „woli ludu" bez wahania.

Cel i przeszkoda

Poświęcam tak dużo miejsca charakterystyce Lenina nie tylko dlatego że to właśnie między nim a Piłsudskim toczył się w latach 1919-20 pojedynek, skończony polskim zwycięstwem. Lenin był postacią mocną i groźną, która zaważyła głęboko nad losami nie tylko Polski, ale i świata. I nie przestają wciąż jeszcze ważyć skutki jego działań.

Przejdę teraz do celu, który stawiał on wówczas sobie i swej partii. Była nim niewątpliwie rewolucja powszechna. Bolszewicy uważali to — nie bez podstaw — za sprawę pierwszej pilności, zanim nie przeminie w Europie powojenny stan rzeczy, który oceniali jako wyjątkowo dla rewolucji pomyślną koniunkturę. Jest to bardzo ważna przesłanka do odpowiedzi na pytanie postawione na wstępie: czy wojny z Rosją sowiecką mogliśmy uniknąć.

Lenin, przy swej nieugiętości w dążeniu do celu głównego, był realistą w ocenie środków i możliwości. Rosja sama nie mogła jeszcze podołać zadaniu niesienia rewolucji nad Atlantyk. Otóż marzeniem zarówno Lenina jak całej partii było połączenie mas własnych z nienaruszonym potencjałem przemysłowym niemieckim i z kapitalnym darem organizacji jaki Niemcy niewątpliwie posiadali. Wtedy na skrwawiony w wojnie Zachód, właśnie się demobilizujący, mogłaby runąć nawała nie do pokonania. Już w końcu 1918 r. Lenin liczył na to, że Niemcy po klęsce wojennej głodujące i wynędzniałe, dadzą się łatwo porwać do rewolucji.

Jednakże podjęty przez „Związek Spartakusa" przewrót komunistyczny, kierowany przez Karola Liebknechta, Różę Luxemburg i Karola Radka, spalił na panewce już w połowie stycznia. Liebknecht i Róża Luxemburg zostali aresztowani i wkrótce potem zastrzeleni; Leninowi przedstawiono sprawozdanie z konkluzją że nie podobna liczyć na *samorzutną* rewolucję komunistyczną w Niemczech, że musiałaby ona być tam zaniesiona na bagnetach czerwonej armii.

Na przeszkodzie ku temu stała jednak Polska. Gdy zawiodła perspektywa że wzięta we dwa ognie, niemal bezbronna jeszcze, przeszkoda ta padnie po prostu automatycznie — Lenin zarządził już wówczas — u progu 1919 r. — przygotowania do obalenia jej przemocą. Znajdą się na to dowody niezaprzeczalne. O czym później.

Dlaczego wiedzieliśmy zawczasu co się w kotle rosyjskim gotuje?

Jak się rzekło na początku, dla oceny prawidłowości decyzji, pobieranych przez stronę polską w różnych fazach rozgrywki wojennej i politycznej z Rosją bolszewicką, trzeba wiedzieć na jakim materiale informacyjnym były oparte i czy trafne z niego wyciągnięto wnioski; pod tym względem chcę uzupełnić zarys podłoża sytuacyjnego.

Obserwacje planowe z punktu widzenia przyszłości stosunków polsko-rosyjskich rozpoczęte zostały już na początku 1918 r., w kilka miesięcy po przewrocie bolszewickim. Byłem jednym z tych, którzy przedostali się w lutym do Kijowa i ośrodków w których się znajdowały polskie formacje wojskowe, a wkrótce potem i do Moskwy. Zadaniem naszym były nie tylko sprawy wojska i P.O.W., ale również obserwacja z bliska przebiegu wypadków, charakteru i zamierzeń nowych władców Rosji. Zjawisko bolszewizmu, stojącego tam u steru, było nowością i zagadką dla świata. Pod znakiem zapytania stała też sprawa czy utrzymają się oni przy władzy, czy i jakim zmianom ulegnie ich program głoszony wtedy, gdy byli niewielką stosunkowo grupą w obozie rewolucyjnym.

Przeznaczony byłem do przeprawy na wschód, przez Piłsudskiego, jeszcze wcześniej, w lipcu 1917 r., gdy postanowił on że sam pozostanie, aby dzielić los swych żołnierzy, idących z jego rozkazu za kraty więzienne i druty kolczaste obozów internowa-

nia. Spośród szczegółowych instrukcji, udzielonych mi przezeń wówczas, pozostało mi specjalnie w pamięci — i powracało niejednokrotnie później — jedno zdanie; mianowicie, gdy mówił o konieczności wyciągania jak największej ilości Polaków z armii rosyjskiej i zbierania ich jak najbliżej granic Polski, dodał uwagę: „Bo jeszcze nic nie wiadomo — tak jak ja znam Moskali — co oni z tej swojej rewolucji zrobią". Było to na cztery miesięce przed bolszewickim przewrotem.

◆

W końcu czerwca 1918 r. zostałem odwołany z kijowskiej Komendy Naczelnej P.O.W. i przekazywałem ją mojemu następcy Lisowi-Kuli. W rozmowie z nim i I. Matuszewskim staraliśmy się podsumować nasze wspólne obserwacje i wyciągnąć z nich wskazania na przyszłość. Byliśmy wówczas zupełnie pewni najbliższego etapu historycznego, tj. klęski wojennej państw centralnych; nie dlatego żebyśmy sami byli tacy mądrzy, ale wierzyliśmy niezbicie w przewidywania Piłsudskiego. Próbowaliśmy sięgać dalej. Ujął to krótko Ignacy Matuszewski w słowach następujących: „Gdybym był na twoim miejscu — mówił do mnie — wziąłbym sobie za cel bić w Warszawie w wielki dzwon alarmu; klęska państw centralnych nie da jeszcze wolności Polsce; od pierwszej chwili trzeba będzie się przygotować do odparcia najazdu ze wschodu, który musi przyjść i przyjdzie. Dopiero odparcie tego najazdu, dopiero wygranie wojny polsko-rosyjskiej da nam naprawdę niepodległość".

Opisałem to 22 lata temu, we wspomnieniach moich po śmierci Matuszewskiego, we wrześniu 1946 r. w amerykańskim „Biuletynie" (Nr 47-48).

I. Matuszewski przy swej wybitnej inteligencji i talencie politycznym miał w dodatku możność obserwacji przebiegu rewolucji od jej początku. Ale i moje informacje i kontakty w czasie kilkomiesięcznego zaledwie pobytu na wschodzie prowadziły do tych samych wniosków. Między kontaktami tymi były również — dziwnym przypadkiem osiągnięte — kontakty z działaczami bolszewickimi, konspirującymi się wówczas w Kijowie i Odessie.

Toteż, powzięliśmy konsekwentnie decyzję dla przyszłych prac P.O.W. na wschodzie; mianowicie, że w momencie odzyskania niepodległości na terenach okupacji państw centralnych nie należy tu likwidować placówek P.O.W. przeciwnie posuwać je jak najdalej i wiązać tajną siecią łączności przez Kijów z Warszawą. Decyzja ta dała później cenne wyniki dla prac Sztabu Generalnego i Naczelnego Wodza.

Repatrianci — skarbnica informacji

Setki tysięcy Polaków znajdowało się w roku 1918 na terenach Rosji, nie licząc stałych mieszkańców ziem kresowych. Byli to

oficerowie i żołnierze powołani do armii carskiej w pierwszym roku wojny; skazańcy i zesłańcy, uwolnieni z więzień lub z dalekich obszarów syberyjskich po obaleniu caratu, między nimi wielu Piłsudczyków z P.P.S. i z Z.W.C.; liczny zastęp inteligencji, wśród niej wyrobionych polityków z różnych stronnictw, którzy opuścili Polskę gdy zajmowały ją w r. 1915 armie niemieckie i austriackie.

W czasie zagarniania władzy przez bolszewików ściągali oni ku głównym miastom, jak Petrograd, Moskwa, Kijów — wobec bezładu szerzącego się na obszarach prowincjonalnych; nie tylko ze względu na bezpieczeństwo, lecz szukając możliwości powrotu do kraju. Czekając na to, ciekawie i pilnie obserwowali przebieg wypadków, czytali prasę bolszewicką, słuchali co się mówi na wiecach, przenikali nawet na komunistyczne zebrania i dyskusje partyjne. Mieli bowiem tę — ogromnie ważną praktycznie — przewagę nad innymi cudzoziemcami, jak Francuzi, Anglicy czy Amerykanie, że władali swobodnie językiem rosyjskim i nie wyróżniali się pod względem wyglądu, odzieży i zachowania wśród rosyjskich tubylców. Bardzo wielu z nich rozmyślnie przenikało do środowisk partyjnych, co nie przedstawiało jeszcze wówczas szczególnych trudności. Nie byli więc skazani na informacje specjalnie dla cudzoziemców przyrządzane i zaofiarowywane, co tak wielu obserwatorów zachodnich wprowadzało w błąd.

W ciągu 1919 r., a nawet już w końcu 1918, rozpoczął się stały napływ Polaków powracających z Rosji do kraju; bądź drogą okólną, bądź wprost przez niezbyt trudną do przeniknięcia — po Traktacie Brzeskim — linię demarkacyjną, przebiegającą przez kresy. Przywozili obfite i autentyczne informacje, które napływały gdzie należy i ujmowane były w ścisłą ewidencję.

Nie brakło też Polaków wśród oddziałów wojskowych rosyjskich, białych i czerwonych. Miejsce w szeregach — tej czy innej barwy — dawało utrzymanie,buty i płaszcz żołnierski oraz było pewną metodą przesuwania się z miejsca na miejsce, włącznie z dezercją w dogodnym kierunku. Wielu naszych obrotnych rodaków korzystało z tego. W 1919 r. miałem do swej dyspozycji amerykański samochód Packard, wraz z szoferem, który przybył z Syberii gdzie woził sztabowców admirała Kołczaka; w odpowiednim momencie przerzucił się wraz z samochodem do czerwonych; woził „krasno-armiejskich komandirów", przeniesionych na front ukraiński; tam przy pierwszej sposobności zwiał do wojsk Petlury, a znalazłszy się następnie na Wołyniu, osiągnął nareszcie swój cel, przedostając się na polską stronę z Packardem w posagu.

Poczta peowiacka

Placówki P.O.W., wysunięte aż do Kaukazu, miały źródła wiadomości i wgląd w to co się dzieje i wśród białych i wśród czer-

wonych. Poczta peowiacka przesyłała je na zachód; nie obeszło się bez ciężkich strat przy pochwyceniu przez bolszewików. Była to służba trudna i ofiarna. Nie brakło też w niej wręcz sensacyjnych momentów; np. zdarzało się, że żołnierze-Polacy z korpusu Budiennego utrzymywali korespondencję ze swymi rodzinami w Polsce przez pocztę peowiacką; rzecz prosta listy te po drodze trafiały do naszego sztabu generalnego lub M.S.Wojsk. Pamiętam do dziś treść niektórych z nich, bardzo dla nas pożyteczną.

Mieliśmy tedy w tej drodze informacje, które nie przestawały napływać i w czasie działań wojennych. Po przesianiu i zestawieniu, skupiała się ich treść w rękach Naczelnego Wodza. Dla ich należytej oceny miał on kwalifikacje, których brakło zarówno mężom stanu, jak i sztabom wojskowym na zachodzie. Mianowicie, z czasów swej rewolucyjnej przeszłości znał dobrze nie tylko Rosję w ogóle, ale i personalia kierowniczych postaci rosyjskiego obozu socjalistycznego. Piłsudski nie miał wątpliwości, że Lenin jest postacią decydującą. Gdy dawał nam zadania, chciał głównie dokładnych relacji wskazujących na kierunek jego zamierzeń i działań.

Jeśli chodzi o stosunek do Polski nie można było przejść do porządku dziennego nad tym, że w przeszłości właśnie Lenin stawiał mocno postulat zerwania z przeszłością Rosji jako „więzienia narodów" i podkreślał, że nie chodzi tu tylko o samorządy czy autonomie, lecz że każdy z narodów wcielonych do carskiego imperium ma prawo do pełnej decyzji o swym stosunku do Rosji, „włącznie do całkowitego oderwania się od niej" *(wplot' do oddielenia)*. Kazał więc Naczelny Wódz badać czy i jakie zmiany zaszły w tym przedmiocie; następnie, czy Lenin zamierza działać w stosunku do Polski przez próbę wywołania u nas rewolucji, czy też po prostu przez ofensywę wojenną. Otrzymał na to materiał informacyjny, który uznał za dostateczny, już w lipcu 1919 r.; został on zestawiony przez Sztab Generalny w opracowaniu I. Matuszewskiego, przy pewnym moim udziale z ramienia M.S.Wojsk. Sprawdzał to jeszcze później przez rozmowy I. Boernera z Marchlewskim w Mikaszewiczach.

Tak samo skrupulatnie badał Piłsudski sprawę Denikina i „białych sił południa Rosji". Miał na to raporty szefów dwu misji które tam posłał: gen. Karnickiego i min. J. Iwanowskiego. Dopełnione zostały one informacjami, dostarczonymi przez P.O.W. Karnicki i Iwanowski dali obraz stosunków u góry; meldunki P.O.W. oświetliły tak ważny aspekt jak wartość bojową i ducha w szeregach żołnierskich oraz nastawienie ludności wobec władz wojskowych i cywilnych „białych" na zajętych przez nich terenach. Omówię to konkretnie później.

Potwierdzenia obce

Czytelnik może pomyśleć, że przechwalam się tu, podnosząc

wartość informacji, dostarczanych Naczelnemu Wodzowi, w której to pracy sam brałem pomniejszy udział. Powołam się więc na opinie — co najmniej bezstronne — bo przestawicieli rządu angielskiego: Szefa angielskiej misji wojskowej w Polsce, gen. Carton de Wiart i Wysokiego Komisarza przy Denikinie Sir H. J. MackKindera. Gen. Carton de Wiart nazywał potem Piłsudskiego „prorokiem" jeśli chodzi o sprawy rosyjskie; MackKinder przypisywał mu „niesamowitą *(uncanny)* zdolność wglądu w wewnętrzne sprawy rosyjskie". Obaj, po rozmowach z Piłsudskim w Warszawie, radzili swym mocodawcom w Londynie polegać na informacjach Piłsudskiego i jego przewidywaniach bardziej niż na własnych. I fakty przyniosły potwierdzenia.

Sytuacja własna

Była ona bez porównania trudniejsza i bardziej skomplikowana, niż w szerszych kołach polskiego społeczeństwa ją rozumiano. Widoczne było i doceniane niebezpieczeństwo nadciągające ze wschodu. Ale całkiem mylnie, z wygórowanym optymizmem, liczono na bezwarunkową gotowość Zachodu do udzielania nam wszelkiej pomocy włącznie nawet z uznaniem należytej rozległości granic Rzeczypospolitej. Jak wiemy z historii, z całkiem inną rzeczywistością musieli walczyć w Paryżu, Londynie i Waszyngtonie Dmowski, Paderewski, Piłsudski. Wciąż zmienne a stale lekceważące i podejrzliwe było stanowisko Lloyd-George'a. Bacznie pilnował Wilson aby postulaty Polski były ograniczone do ściśle etnograficznego terytorium. W Paryżu wierzono w rychły upadek bolszewizmu i dbano o to aby nie narazić się Rosji po restauracji imperium rozciągając jej ewentualne pretensje nawet na Małopolskę Wschodnią. To prawda że stanowisko Clemenceau zmieniało się na coraz przychylniejsze i od Francji doznaliśmy największej i najcenniejszej pomocy; ale nie obyło się to początkowo bez ociągania i krępujących warunków. Jednym słowem mieliśmy drugi front walki, politycznej, o nasze prawa — w Wersalu. Naczelny Wódz oczywiście to wiedział i liczyć się z tym musiał na każdym kroku, boć bez pomocy Zachodu w broni, amunicji, a nawet żywności — obejść się nie mógł.

Jakież bowiem były nasze siły własne i jaka sytuacja w kraju? Zanim jeszcze powstały regularne władze państwa, stanęło już ono w ogniu wojny w Małopolsce Wschodniej, a wkrótce potem na Wołyniu; przyszedł zatarg zbrojny z Czechami, walki z Niemcami w Poznańskim. Kraj zrujnowany i obrabowany w czasie wojny światowej, z pustym skarbem i papierową walutą; z pierwszą i jedyną fabryką amunicji karabinowej, otworzoną dopiero w drugiej połowie 1919 r. Nieubłagana konieczność wystawienia armii dość licznej i sprawnej do odparcia nadciągającego od wschodu niebezpieczeństwa, zdawała się zadaniem ponad siły. A jednak — jak wiemy — zostało to osiągnięte na czas

) pełnym zwycięstwem zakończone. Budową siły zbrojnej zajął się Piłsudski natychmiast po powrocie z więzienia magdeburskiego, nie tracąc ani dnia czasu, nawet w chwilach największej rozterki wewnętrznej. Rosła ona z niesłychaną szybkością. Ale jego prawidłowa organizacja i szkolenie przy jednoczesnych walkach na kilku frontach nastręczały równie niesłychane trudności.

Nasuwa się więc myśl, że musi być coś wart naród, który tego dokonał, a który tak lubi sam siebie wyszydzać; i nie musiała być zła zarówno polityka, jak taktyka i strategia za to osiągnięcie odpowiedzialna. Wydaje mi się więc, że nie szkoda czasu, aby przyjrzeć się bacznie przebiegowi wypadków dwu tak doniosłych lat naszej historii: 1919-1920.

A teraz — do rzeczy

Wymieniłem na wstępie zagadnienia sporne, w odpowiedzi na które chcę postawić tezy oparte na tym co widziałem i słyszałem w latach 1919-20. Będą to tezy następujące:

Walna rozprawa zbrojna między Polską a Rosją sowiecką była nieunikniona; należała ona do celów głównych Lenina, w których był on nieugięty; chodziło tylko o czas i warunki, w których próba sił miała nastąpić — i od tego zależało zwycięstwo jednej lub drugiej strony.

Polityka federacyjna Piłsudskiego mogła przy pewnym rozwoju wypadków — wówczas jeszcze niemożliwych do odgadnięcia — odegrać ogromną rolę historyczną, a wysunięcie jej w roku 1919 dało ważkie i pomyślne dla nas rezultaty zarówno w opinii Europy zachodniej i Stanów Zjednoczonych jak i w całokształcie walki między Polską a Rosją, prowadzonej przez Piłsudskiego z jednej, a Lenina z drugiej strony.

Wyprawa kijowska była koniecznością strategiczną niezależnie od istnienia lub nieistnienia koncepcji federacyjnej; wywołała ona właśnie to, że Lenin musiał przyjąć rozgrywkę w pełnej skali zanim jeszcze armia czerwona była do tego gotowa — i to właśnie przyniosło nam w rezultacie zwycięstwo.

Wreszcie — po całkowitym rozbiciu armii czerwonej w bitwach nad Wisłą i Niemnem, zmienił się układ sił wewnętrznych w Polsce. Pertraktacje pokojowe przejął już w swoje ręce sejm suwerenny. Traktat pokojowy i wypływające z niego konsekwencje dla dalszej polityki Rzeczypospolitej były więc dziełem sejmu, a nie Piłsudskiego.

Aby te tezy naświetlić muszę się zająć kolejno najważniejszymi tylko i węzłowymi momentami w przebiegu wypadków od rozpoczęcia działań wojennych aż do ich zwycięskiego zakończenia.

(d.c.n.)

Bogusław MIEDZIŃSKI

Kraj

Z polskiej rzeczywistości

REORGANIZACJE, ZMIANY, DECYZJE...

Zdaje się, że nikt jeszcze w Polsce nie pokusił się o obliczenie ile czasu, pieniędzy i ludzkiej dobrej woli idzie na marne w wyniku reorganizacji. Naprawdę nie wiadomo, czy jest choć jedna w kraju instytucja, która by nie przeszła w swej historii co najmniej jednej reorganizacji, a niektóre z nich przeżywają taką katastrofę po raz który tam z rzędu. Chyba rekodową ilość reorganizacji przeszły warszawskie przedsiębiorstwa komunikacyjne dzielone i znów łączone, i znów dzielone, i tak w kółko. Raz tramwaje osobno, a raz z autobusami razem w jednym przedsiębiorstwie. Ma to rzekomo pomóc w rozwiązaniu koszmarnych warunków komunikacyjnych w mieście wolą urbanistów rozciągniętym na kilkadziesiąt kilometrów, gdzie do pracy jedzie się czasem ponad godzinę, nierzadko „na winogrono". Oczywiście fakt, że autobusy miejskie należą do tego czy innego zakładu nie ma żadnego wpływu na ich ilość, punktualność i td. — a taka reorganizacja przysparza tylko zbędnej pracy aparatowi urzędniczemu, tworzy lub likwiduje stanowiska dyrektorskie — i nic poza tym.

Również ORBIS lubi się reorganizować. Kiedyś składał się z dyrekcji generalnej i kilku na pół samodzielnych przedsiębiorstw, potem Polskie Biuro Podróży ORBIS — jedno z przedsiębiorstw wchłonęło inne, bo jego dyrektorem był ówcześnie przyjaciel Strzeleckiego. Teraz chyba już tylko dyrektorzy ORBISU orientują się jak tam jest naprawdę i kto za co odpowiada. Biura turystyki zagranicznej i kasy biletowe bawiły się trzy razy w komórki do wynajęcia przenosząc się ze Świętokrzyskiej na Plac Konstytucji i z powrotem. Po trzech przeprowadzkach zostało wreszcie tak jak było na początku — ale ile ta zabawa kosztowała? Tego nikt nie obliczał — pewnie poza jednym ORBISem.

Hotel Europejski w zasadzie niewiele ucierpiał w czasie wojny — tylko fragment skrzydła od ul. Ossolińskich był trafiony bom-

bą. Ale czego nie dokonała wojna, temu dało radę wojsko. W czasach tzw. „błędów i wypaczeń" postanowiono przebudować hotel na szkołę oficerów polityczno-wychowawczych, w związku z czym zlikwidowano niepotrzebne przecież szkole piony wodociągowo-kanalizacyjne — i tylko po to, by po roku się rozmyślić i szkołę przenieść gdzie indziej, a odpowiednio zrujnowany hotel przekazać ORBISowi na — hotel. W tych warunkach przebudowa i adaptacja musiała i kosztować miliony, i trwać lata. Tylko pomyśleć: podzielić znów sale wykładowe na setki pokoi i przeprowadzić, na nowo, zniszczone piony. Czy ktoś za to marnotrawstwo odpowiadał? Jakoś się o tym nie słyszało.

Warszawa, jak o tym kiedyś doniosła triumfalnie prasa — będzie miała nową atrakcję: zakonserwowane podziemia Zamku Książąt Mazowieckich na skarpie dawnego Szpitala Ujazdowskiego. Tylko nikt się nie ośmielił wspomnieć, że dobrze zachowane ruiny tego zamku stały po wojnie i zostały rozebrane na polecenie samego Bieruta. Został w tym miejscu zaplanowany teatr Wojska Polskiego — jakby już nie było więcej miejsca w Warszawie — i nigdy nie został zbudowany. Nawet się nie pamięta o tym, że przed wojną istniał projekt rekonstrukcji zamku*, do czego szkice wykonał sam wielki profesor Noakowski. Dla historycznej ścisłości trzeba dodać, że kiedy w czasie rozbiórki zamku ujął się za nim „Express Wieczorny", kancelaria cywilna Bieruta, łagodnie mówiąc, uciszyła popularny dziennik.

Nikt się natomiast nie ujął za zapomnianym pomnikiem Warszawy: grobem carów Szujskich, który przez paręset lat stał na nowoświeckim podwórku. Przy poszerzaniu przedłużonej do Kopernika Świętokrzyskiej został zniszczony przez buldozery, choć nikomu i niczemu nie stał na drodze — ale pewnie przykre było komuś wspomnienie rosyjskich carów zmarłych w polskiej niewoli.

Mniej więcej przed rokiem dodatek do londyńskich „Wiadomości", „Na Antenie", zamieścił artykuł pełen troski o warszawską architekturę, na marginesie zjazdu Stowarzyszenia Architektów RP. Chodziło o znane zarządzenie premiera Cyrankiewicza dotyczące ograniczenia wysokości zabudowy. To zarządzenie postawiło granicę dziesięciu pięter ze względów rzekomo ekonomicznych. Jak dotąd jednak tylko jeden dom na tym ucierpiał, mianowicie hotel Zgoda u zbiegu Zgody (przepraszam, Hibnera) i Szpitalnej, obcięty z planowanych czternastu pięter. Szybko jednak ludzie „w ekonomii uczeni" doszli po cichu do wniosku, że wszystko jedno jaki ustrój, to jednak wartość placów w centrum nie jest bez znaczenia. Bo jeśli się nie będzie budować w centrum

* Mieściła się tam podchorążówka sanitarna.

wysoko, to trzeba budować coraz dalej na przedmieściach — a to oznacza dodatkowe koszty ciągnięcia przewodów sieci gazowej, elektrycznej, wodociągowej i kanalizacyjnej. Czyli pewne prawa jak najbardziej kapitalistyczne nadal sobie spokojnie istnieją w koegzystencji z Biurem Politycznym. Trzeba było zarządzenie premiera obejść, ale po cichu, bo kto u diabła przyznałby oficjalnie, że zarządzenie jest, używając eufemizmu, głupawe? Toteż spokojnie zatwierdzało się „w drodze wyjątku" do budowy domki po dwadzieścia kilka pięter, a nawet całe osiedla znacznie wyższych, niż dziesięć pięter domów, i szukano wyjścia razem z „twarzą". Najlepszym wyjściem jest w takim wypadku oczywiście zjazd architektów. Ktoś na takim zjeździe zaprotestuje, inni poprą — zgłosi się wnioski do władz... i demokracja zachowana. Nie rząd, nie partia zmienia decyzję premiera, ale sami architekci — co zostanie z uznanie przyjęte i wprowadzone w życie. Nie mówi się wtedy zbyt wiele o łaskotliwych sprawach, co się w jakim ustroju opłaca, a sprawa jest uratowana. Miło, że „Na Antenie" ujęło się za warszawską architekturą, ale okazało się też przy tym, że nie wiele rozumie: jak się te rzeczy w Polsce załatwia.

Analogiczna jest sytuacja z rzemiosłem dziś z głębokim rozczuleniem hołubionym, a jeszcze niedawno tępionym. Trzeba było nieco doświadczeń takich jak trudności z naprawą najgłupszego przedmiotu, lub wykonaniem najmniejszego głupstwa, by zrewidować stosunek władz do prywatnego rzemiosła. Do tego celu używa się oczywiście najporęczniejszego orędownika: Stronnictwa Demokratycznego, które grupuje wielu rzemieślników, a nie jest skrępowane zbytnio polityczno-ekonomicznie, a więc może bez utraty twarzy ująć się za prywaciarzami. A wtedy i Sejm, i jedno czy drugie plenum KC przytaknie temu, co same wymyśliły i tylko SD do wykonania podsunęły. I znów, i wilk syty i owca cała.

Dla nikogo nie było tajemnicą, że miejskie taksówki są deficytowe. O tym wiedziały nawet dzieci. Ale ideologia musiała zwyciężać, chociażby nawet owe miejskie graty miały (tak było przez pewien czas) wyższą taryfę. I pewnego dnia nagle olśnienie: przecież można przywrócić prywatne taksówki i brać od nich niebrzydki podatek. Tylko w kilku większych miastach (znów dla ratowania twarzy) pozostały miejskie przedsiębiorstwa taksówkowe, a gdzie indziej samochody sprzedano ich kierowcom na bardzo korzystnych warunkach. Pewien warszawski dziennik napisał wtedy złośliwie, że „trzeba podziwiać ducha poświęcenia tych kierowców, którzy nabywają deficytowe taksówki, by zapewnić komunikację ludziom pracy"...

Mówi się o Gomułce, że był genialnym dzieckiem, bo kiedy miał sześć lat wiedział tyle o ekonomii co dziś — ale jakieś resztki realizmu jednak się tam kołaczą. I to w gruncie rzeczy jest naj-

ważniejsze. I znów daleko nam — na szczęście — do perfekcji Kraju Rad, gdzie zatwierdzenie opakowania do cukierków trwa do dwóch lat!

Najwięcej pewnie złej krwi narobiły w Polsce zarządzenia w polityce mieszkaniowej. Kiedy w pierwszych latach po wojnie dawano promesy mieszkaniowe na zwolnienie spod kwaterunku tych, którzy własnym kosztem i sposobem odbudują sami swoje domy i mieszkania — wszyscy rzucili się do roboty. Nawet kobiety i dzieci miesiły wapno i nosiły cegłę. Ale nie upłynęło wiele czasu, a promesy jednym pociągnięciem pióra przekreślono i „zagęszczono" odbudowane wielkim wysiłkiem z mnóstwem wyrzeczeń — mieszkania. Nastąpił pierwszy kryzys zaufania. Wkrótce nastąpiły następne. Włączono pod kwaterunek domy spółdzielcze, nawet spółdzielni własnościowych. I tylko po to, żeby po kilku latach zachęcać ludzi do budowy własnych mieszkań. Tymczasem przedwojenni właściciele-spółdzielcy zostali postawieni przed koniecznością pozbycia się narzuconych sublokatorów-własnym kosztem. Dodajmy, niemałym — bo przecież nikt się nie wyprowadzi na ulicę, ale każdemu, kogo się pozbywa, trzeba zapewnić inne, zastępcze mieszkanie. I znów trzeba było lat, by władze odkryły trudną (dla nich) prawdę, że ani miasta, ani rząd nie są w stanie zapewnić ludności nawet jakich-takich warunków mieszkaniowych. Nawet w Warszawie, gdzie budowało się naprawdę dużo — w sumie mieszkań u b y w a, a nie przybywa. Przyczyniają się do tego rozbiórki starych, walących się domów, no i — mimo zakazu meldowania — duży przyrost ludności, nie tylko naturalny. Od ładnych kilku lat dyskutuje się, czy znieść ten zakaz meldowania, czy nie. Z jednej strony władze obawiają się zbyt szybkiego wzrostu ludności, bądź co bądź, atrakcyjnej Warszawy — a z drugiej strony fakt, że ktoś nie mający pracy w stolicy może ją dostać na prowincji, a nie opuszcza swego miasta, bo zakaz meldunkowy nie pozwoli mu tam wrócić — też nie jest bez znaczenia. Ale miasta rosną i na to nie ma innej rady, niż budować, albo umożliwić budowanie samym ludziom. Warszawa osiągnęła swą przedwojenną liczbę ludności; Kraków więcej niż podwoił, to samo Poznań, który ściga się z Wrocławiem: który pierwszy osiągnie niedalekie pół miliona. Katowice mają już trzysta tysięcy i zniosły zakaz meldowania, a nawet malutki Lublin przekroczył już dwieście tysięcy. Miejskie planowanie okazało się fikcją i to fikcją groźną. Urbanistyka, jak to widać, nie potrafi przewidzieć rozwoju miast. A najlepiej to pokazała Nowa Huta, która zaplanowana została po całkowitym ukończeniu na sto tysięcy mieszkańców. Dziś stoi dopiero połowa zaplanowanego miasta, a ludność tej dzielnicy już przekroczyła sto dwadzieścia tysięcy. Trudno mieć wątpliwości, że taki sam los

czeka bujnie rozwijający się Płock, Konin czy Puławy. „Myślenie ma kolosalną przyszłość" pouczał przed wielu laty warszawski kabaret — ale członkowie KC i rządu rzadko chodzą do kabaretów. Kto zresztą ma myśleć, czy może szef wydziału administracyjnego KC, generał Witaszewski? Niepełna szkoła powszechna i radziecka szkoła oficerów politycznych to trochę za mało do myślenia, a marksizm też nie jest „lekarstwem na głupotę" jak powiedział kiedyś któryś z wysoko postawionych aparatczyków.

Czy się te sprawy w Polsce widzi i rozumie? Oczywiście. Ale nawet dziennikarze, którzy między sobą mówią zupełnie inaczej, niż muszą pisać, nie widzą sposobu na wyeliminowanie tak zwanego myślenia kategoriami politycznymi. Oznacza to w skrócie, że w określonym ustroju obowiązują pewne reguły sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, które kiedyś w okresie październikowym nazywano przez grzeczność „immanentnym złem socjalizmu". To są więc rzeczy nieuniknione, a do przeprowadzenia ich wbrew wszystkim i wszystkiemu wynajmuje się ludzi twardych i bezwzględnych takich jak chodzące dno intelektualne czyli Gazrurka. To że przeprowadza się tyle zmian i ciągłych reorganizacji oznacza tylko jedno, że w złej sytuacji szuka się wyjść najmniej złych — bo naprawdę dobrych nie ma.

Czy naprawdę jednak nie ma? Może dla rządu, bo ludność nauczyła się żyć pomiędzy paragrafami i zarządzeniami, a nie według nich. W ciągu ostatnich paru lat zdarzyły się parokrotnie klęski urodzaju owoców. Tony jabłek gniły na drzewach, lub pod nimi, w restauracjach dodawano jabłka do wszystkiego, nie tylko jako deser. Nawet krowom powierzono misję pozbycia się nadmiaru, z którym nie umiało sobie dać rady państwo. Punkty skupu wytwórni dżemów, soków i kompotów nie przyjmowały już towaru — plan! Tak było w województwach wschodnich i środkowych, podczas gdy na Śląsku jabłka nadal były drogie, a nawet trudno osiągalne. Problem transportu na przestrzeni paruset kilometrów wydawał się dla rządu problemem nad siły. Rozwiązanie przyszło od dołu. Sami chłopi wybrali się na Śląsk, doszli do porozumienia z zakładami przemysłowymi: huta daje transport, bierze jabłka w zamian za nieużyteczny żużel wielkopiecowy, który świetnie nadaje się do budowy. Chłopi dostali materiał budowlany, którego na próżno latami wyczekiwali od państwa, a robotnicy śląscy owoce, i to darmo. Czy cała sprawa została przeprowadzona lege artis wobec obowiązujących przepisów, kto to wie i kto się w tej prawnej dżungli wyznaje. Fakt pozostaje faktem, że mimo i wbrew nieudolności ciężkiego i leniwego aparatu przeprowadzono idealnie pożyteczną transakcję. Jeżeli by ktoś w rządzie wpadł na taki genialny pomysł, to przede wszystkim musiałoby powstać państwowe przedsiębiorstwo z dyrekto-

rami, sekretarkami, telefonami, a same konferencje zajęłyby czasu dość, by dać możność zgnicia jabłkom. Zamieszane byłyby przecież w taką sprawę co najmniej trzy ministerstwa: rolnictwa, ciężkiego przemysłu i budownictwa. Strach pomyśleć. Niedarmo powstało powiedzenie że najlepszym sposobem na pozbycie się pluskiew, byłoby ich upaństwowienie.

Nie ze wszystkim upadł duch w narodzie i jak najbardziej prywatne pomysły rozwiązują państwowo-trudne sytuacje. I tak na przykład mieszkańcy Krynicy czuli się zmęczeni czekaniem na zaplanowaną stację przekaźnikową telewizji, toteż zebrali między sobą potrzebne pieniądze, wynajęli prywatnie inżyniera i sami wybudowali potrzebne urządzenie. Odbierają więc już od kilku lat program telewizyjny bez niczyjej łaski i jeszcze nawet płacą radiokomitetowi abonamenty za telewizory.

Rzeszowianie znów sami wybudowali, lub zaadaptowali pomieszczenie dla politechniki i nawet mieszkania dla profesorów po to tylko, by ich synowie i córki nie musieli do innych miast jeździć na naukę. A państwo chwali i prosi o jeszcze, bo to i taniej wypada i myśleć nie trzeba. Ale trzeba powiedzieć, że takie fakty jak powyższe są niestety coraz rzadsze, i coraz szerzej i głębiej rozpościera się apatia. Coraz częściej ludzie myślą o tym, żeby tylko odrobić swoje, minimum tego co trzeba, i — do domu, albo raczej na zarobkową fuchę, czy chałturę. „Nie przejmuj się swoją rolą, bo i tak cię o...ą" — stało się powszechnym hasłem. Kto się wychyla i miewa zbyt wiele dobrych chęci — ten jest podejrzany przez kolegów o chęć wybicia się, karierowiczowstwo, chęć wygryzienia innych — i wobec tego: takiego trzeba się pozbyć. Nie brak przykładów na poparcie tego i w prasie, i w telewizji, i w przedsiębiorstwach handlowych, przemyśle, lecznictwie i td. Kiedyś utratą pracy się zbytnio nie przejmowano, ale dziś przy wyżu demograficznym wiszącym jak gradowa chmura — każdy trzyma się tego co ma, a żeby się trzymać nie należy się wychylać. Okres eksperymentowania w gospodarce wspomina się już tylko. Eksperyment nie popłaca, a może nawet stać się niebezpieczny dla autorów. I po co to komu? To osiągnięcie mogą zapisać na swoje konto udrętwiacze, twórcy twardego kursu w polityce wewnętrznej. Każda swobodniejsza myśl może budzić niezdrowe wspomnienia, a to już może się stać niebezpieczne w mniemaniu różnych matołów i matołków. Może to i lepiej. Przynajmniej nikt nie będzie miał wątpliwości, kto jest przed historią odpowiedzialny za zmarnowanie październikowej szansy stworzenia znośnych warunków, i uczynienia — jak to określił w tamtym czasie jeden z amerykańskich korespondentów — socjalizmu *liveable*.

George J. FLEMMING

Kronika kulturalna

Toast niespełniony

(Krajowa dyskusja o „literaturze Polski Ludowej", 1944-1964)
(Cz. III.)

„Rozrachunki inteligenckie"

Nazwa pochodzi od Wyki, który tak właśnie określił epigonów Żeromskiego podejmujących „na własną rękę" gorzkie obrachunki z przeszłością i pełen znaków zapytania dialog ze współczesnością. Reprezentować mieli bardzo istotny rozdział powojennej literatury, trzylecie 1945-8. Wtedy właśnie ukazała się „Śmierć liberała" Sandauera, „Sedan" Hertza, „Sprzysiężenie" Stefana Kisielewskiego i najlepiej ilustrujące postawę „rozrachunków" „Jezioro Bodeńskie" Stanisława Dygata.

Rozdział, który reprezentowały te utwory, zamknął się w sposób równie gwałtowny jak nienaturalny. W tzw. latach najgorszych nie było miejsca na twórczość „korygującą rzeczywistość na własną rękę". Racje takiego właśnie stosunku trwały w przymusowym letargu i najwidoczniej przezimowały, bo w okresie dla którego proponuję nazwę lat „pozornej wolności", po Październiku, odżyły na nowo w twórczości np. Tadeusza Konwickiego („Sennik współczesny").

Krytycy krajowi uznający za patrona postawy rozrachunkowej Żeromskiego, z lekka tylko dotykają różnicy bardzo zasadniczej. Żeromski wierzył w cnoty wyrzeczenia, bezinteresowności, ofiary — aż dziw, ile optymizmu wyłuskać można z jego „czarnych" utworów. Czuł się częścią społeczeństwa i skwapliwie rwał się do przemawiania w liczbie mnogiej.

Proza „rozrachunkowa" unika programowo owego „my". Bohater „Jeziora Bodeńskiego" jest klasycznym reprezentantem postawy alienacji: chętnie i wielokrotnie mówi o swym wyobcowaniu z otoczenia i porywach buntu przeciw „wszystkiemu, co wy-

dawało się w życiu niesłuszne". Jest to jednak w przeciwieństwie do Żeromskiego, bunt niejako bierny, łatwo przeradzający się w niechęć czy pogardę i rezygnację z walki. Stanowisko to raczej przedwczorajsze, bliższe Młodej Polsce niż Dwudziestoleciu międzywojennemu.

Inaczej i wygodniej dla Partii odczytała sens „rozrachunków" Helena Zaworska w referacie pt. „Proza obrachunków inteligenckich w latach 1945-8", wygłoszonym na wrocławskiej Konferencji Naukowej na temat głównych kierunków prozy (14-15. XII. 1964) i wydanym przez IBL w odbitce powielaczowej. Sądzi ona, że określić je można raczej jako akt samokrytyki i pożegnania z przeszłością, niż inteligencki rachunek sumienia bez konkluzji. Stara się ponadto o sprecyzowanie pojęcia „inteligenckości". Widzi je jako cechę charakterystyczną występującą u grupy społecznej odcinającej się zarówno od szlachty jak i mieszczaństwa, radykalizującej się coraz bardziej i nieuchronnie zbliżającej się do proletariatu. Sądzi, że tendencje izolacyjne nie były „wynikiem postawy inteligenckiej, ale odwrotnie: postawa inteligencka (była) wynikiem izolacji". Z czasem — podkreśla z naciskiem Zaworska — osłabł a nawet zanikł przymus izolacji, klasa „inteligencka" zdobyła sobie miejsce w społeczeństwie a izolacja nabrała cech abstrakcji, stała się wygodnym przebraniem. Zaworska zarzuca Wyce i dzielącym jego poglądy, iż nie odróżniają walczących o miejsce w społeczeństwie inteligentów z lat 1890-ych od wnuków ich z lat 1940-ych. Gdyby dochowali wierności dziadom, gdyby byli godnymi ich potomkami, daliby zamiast anemicznych „obrachunków inteligenckich" „wielką powieść polityczno-intelektualną" a nie „ułamkowe osądy doświadczeń własnych i cudzych".

„Obrachunki inteligenckie" cechuje — zdaniem Zaworskiej — zdecydowany egocentryzm, ujawniający się od pierwszych kart powieści m.in. na skutek „demonstracyjnie wybranej formy narracyjnej". Nie jest to jednak chwyt nowy i oryginalny — wywodzi się z tradycji międzywojennych i, podobnie jak „Ferdydurke" chce na przykładzie doświadczeń jednostkowych uświadamiać prawdy ogólniejsze.

Czym są owe prawdy? Czego pragną dowieść autorzy powieści „obrachunkowych"? Zaworska sądzi, że dążą do „demitologizacji świadomości inteligenckiej" i zobrazowania bankructwa konwencji, które przekazano im w dziedzictwie. Najistotniejszą problematykę powieści widzi w „jednoczesnej próbie obrony indywidualizmu, wolności i autentyczności jednostki w warunkach XX-wiecznego społeczeństwa oraz ostatecznej utraty złudzeń na temat możliwości ocalenia tych atrybutów, które niegdyś wydawały się jednostce przypisane".

Ujęcie to, mimo podskórnie tkwiącej w nim chęci doszukiwania się przepisowej linii intencji autorów, poszerza genealogię prozy „obrachunkowej", wprowadzając do niej Gombrowicza. Żeromski nie wystarcza. Kisielewskiemu (w „Sprzysiężeniu") bliższa będzie „Pałuba" Irzykowskiego. Dygat a także Kazimierz Brandys („Drewniany koń") „demonstracyjnie" — jak sądzi Zaworska z roku 1964 — nawiązują do „Ferdydurke", „ukazując stereotypowe kategorie pojęciowe", „odkrywając sztywność formuł, gestów, póz, w jakich zastyga życie człowieka uwikłanego w nieustanne związki ze zbiorowością".

Końcowe wnioski Zaworskiej są powtórzeniem poglądu, że „rozrachunki" są zamknięciem rozdziału wahań i wyrazem rezygnacji z nieaktualnego już prawa „korygowania rzeczywistości na własną rękę". Sąd taki mógł mieć pozory słuszności w roku 1953, w okresie nasilonego milczenia. Dziś nas nie przekonuje. „Rozrachunki inteligenckie" trwają. Nabrały nawet na sile. Zmienił się natomiast schemat wypowiedzi: narrację bezpośrednią „odautorską" zastąpiła aluzja, kostium historyczny, wszelkiego rodzaju maski. „Obrachunki" przeszły z terenu powieści do krótszych a nawet najkrótszych, „kafkowskich" i gnomicznych „małych form" i, jak świadczy „Tango" Mrożka, przerzucić się potrafiły na deski sceniczne.

Gdy zdobędziemy się na wysiłek imaginacyjnego wyeliminowania „lat najgorszych" linia rozrachunkowa da się przedłużyć poza Październik, nie zdradzając tendencji zaniku.

„Produkcyjniak" — powieść utopijna

Znany także z odbitki powielaczowej referat Piotra Kuncewicza pt. „Poetyka powieści produkcyjnej" podchodzi w sposób bardzo ciekawy do tragicznego i niemal pozaliterackiego zjawiska powieści propagandowej z okresu zwanego dziś niewinnie okresem „schematyzmu". Dla Kuncewicza był to „niedługi, kilkoletni epizod". Cóż kiedy jak jastrząb spłoszył lub wyniszczył stadko obiecujących debiutantów, zahamował rozwój i dotąd straszy z kart książek takiego np. Żukrowskiego, który wyszedł z pogromu z połamanym kręgosłupem. (Warto i tu także zwrócić uwagę, że dotąd ukazują się niemal-produkcyjniaki w przebraniu reportaży z prowincji a nawet powieści kryminalnych).

Zastanawia także Kuncewicza, czym jest właściwie „powieść mająca za przedmiot proces technologiczny"? Jaki był jej „schemat" czy „model"? Czy musi być synonimem utworu poronionego nawet pod piórem autorów nie-grafomanów?

U podłoża „produkcyjniaków" stoi, zdaniem Kuncewicza, „przeświadczenie o bezwzględnej rozwiązywalności wszystkich aktualnych konfliktów i problemów estetycznych i moralnych" narzucane pisarzowi z góry. Narrator był istotą wszechwiedzącą. Rozwiązał bezbłędnie trudności. Nie znał wahań. Nie pozwalał sobie na symbolizm czy wieloznaczność sytuacji. „Pełna wyjaśnialność świata i człowieka nie dopuszczała z kolei do użycia takich technik literackich, jak choćby symbol czy groteska". „Dzieło powinno być dydaktyczne, optymistyczne, tudzież oparte na postaciach i konfliktach typowych". Przewodził mu nieuchronny w tym typie utworów „bohater pozytywny".

Wkraczamy tu — zdaje się dowodzić Kuncewicz — na tereny

marzenia, bajki, utopii. Walka, którą toczy „bohater pozytywny" jest przeniesioną w świat dzisiejszy rozprawą ze smokiem czy czarownicą („wrogiem klasowym").

Postaci są schematyczne, „jak Pierrot i Colombina z *comedii dell'arte*" — a rodowody ich są jasne: są legalnym potomstwem bohaterów „powieści radzieckich". Kuncewicz podkreśla i szeroko omawia papierowość i brak zróżnicowania charakterów. „Bohater pozytywny" jest z reguły wzorowym proletariuszem. „Dojrzewa na naszych oczach" (Plewa z powieści Hamery), a jeśli popełnia błędy — to wynikają one z przyczyn partyjnie uzasadnionych np. z przepracowania. Wariant drugi — to stary komunista ukształtowany przed startowym punktem powieści. Mniejszym nasileniem pozytywności odznacza się inna postać równie nieunikniona jak stereotypowa: „fachowiec, inżynier". I tu dwa warianty: albo odnalazł na własną rękę „słuszną drogę" — albo „robi po prostu dobrą robotę, przekonawszy się że i komuniści ją robią". Zdarza się, że rozpala się i roznamiętnia, „poznaje swe błędy, przeprowadza samokrytykę i 'dołącza się' ". Robotnicy występują w „produkcyjniakach" w roli chóru „walczącego o plan". Jeśli usiłują się wyłamać — jest to nieuchronnie wina wroga klasowego uosobionego w postaciach wichrzycieli. „Wróg klasowy — pisze Kuncewicz — jest zazwyczaj odrażający moralnie, a często i fizycznie. Bywa mordercą, szulerem, gwałcicielem. Nie ma odwagi ani ambicji. Będzie też zdemaskowany i sprawiedliwie ukarany".

Inną cechą powieści produkcyjnej jest to, że — jak ujmuje to Kuncewicz — „nigdy nie potrafiła poradzić sobie z problemem „wolnego czasu". Z założenia wynikało, że „bohater pozytywny żyje po to tylko, aby pracować". Najdalej posunął się Hamera, który w cytowanym przez Kuncewicza wyjątku z powieści pt. „Na przykład Plewa" cieszy się, że w nowym układzie stosunków

> „Znikł gdzieś wolny czas, z którym ongiś nie wiadomo było, co robić. Skończyły się bezpłodne, czcze, abstrakcyjne rozmyślania o znikomościach świata tego, bo teraz było o czym myśleć konkretnie. Tyle ciekawych, radosnych rzeczy tworzyło się dokoła...".
>
> (wyd. z r. 1950, s. 228)

Po przeanalizowaniu reprezentacyjnych „produkcyjniaków" Kuncewicz dochodzi do wniosku, że uderza w nich „ubóstwo sytuacji, postaci i możliwości. Właściwie całą powieść produkcyjną dałoby się sprowadzić do garści wymiennych sytuacji, podobnie jak komedię pozytywistyczną zamknięto w trzydziestu kilku sytuacjach teatralnych". Z dystansu lat „literatura produkcyjna sprawia wrażenie jakiejś niezamierzonej groteski", „chciałoby się (ją) uznać za jeden z rozdziałów historii polskiej groteski. Rozdział ten zajmowałby miejsce środkowe między „Ferdydurke" a Mrożkiem".

Idzie nawet dalej. Sądzi, że powieść produkcyjna nie była w ogóle możliwa, gdyż „model" jej zawierał w samej swej istocie

sprzeczności. „Model był w jednej połowie egzystencjalistyczno-kreacyjny, w drugiej — naturalistyczny. Pod pokrywką „spójnej" teorii przemycano niewiarygodny bałagan pojęć i myśli".

Z pogromu nie ocalał ani jeden „produkcyjniak". Dlatego zapewne referat Kuncewicza nie ukazał się w druku. Żółkiewski sądzi inaczej. Wartościowymi pozycjami są dla niego „Lewanty" Brauna (Kuncewicz obszedł się z nimi najłagodniej) oraz „Węgiel" Ścibora-Rylskiego. Jan Trzynadłowski w referacie „Powieść polska lat 1945-1964 w poszukiwaniu bohatera" wylicza kilkanaście dalszych tytułów. Osąd jego sformułowany znacznie spokojniej niż u Kuncewicza daleki jest od rozgrzeszenia „produkcyjniaków", stara się jednak o rozwianie nieporozumień i uprzedzeń, które rzekomo narosły wokół tego gatunku. „Odnosi się wrażenie — pisze — że główne nieporozumienie artystyczne i koncepcyjne polegało nie na złym wyborze podstawowej tematyki (substancji przedmiotowej), ale na pewnym skrzywieniu problematyki". Wadami powieści była „schematyczność, brak głębi perspektywicznej, ubóstwo komentarza".

Nie dostrzegł wad tych Ryszard Matuszewski, który powieści produkcyjne uważa nadal za utwory, w których najsilniej dochodzi do głosu ideowe zaangażowanie pisarza i tematyka dotycząca Polski współczesnej.

Ogół poruszających sprawę powieści produkcyjnej podchodził do niej jako do zjawiska zakończonego. Wydaje się, że podobnie jak na odcinku „rozrachunków inteligenckich" mówić można o zmianie sposobów technicznych podawania podobnych treści a nie o kapitulacji. Fabryka jest np. obecnie niesłychanie często tematem żywo pisanych reportaży z prowincji a zawarte w nich opisy trudności produkcyjnych i administracyjnych niczym się właściwie nie różnią od analogicznych partii „produkcyjniaków". Wieś i urzędnicy administracyjni są bohaterami utworów nasuwających dalsze bliskie porównania. „Agnieszka córka Kolumba" z powieści Macha miała wszelkie cechy nie tylko „Siłaczki" ale i „bohaterki pozytywnej".

Niewyschniętym źródłem „produkcyjniaków" są nadto zadziwiająco liczne przekłady powieści pisarzy „demokracji ludowych" wydawane obficie zgodnie z kluczem nakazującym włączanie do planów wysokiego procentu utworów z literatur, w których żałosny ten gatunek jest nadal gorliwie uprawiany. Wydaje się, że sprawy nie należy bagatelizować i przemilczać. Droga do wulgaryzacji literatury prowadzi równie dobrze przez reportaż jak i powieść a społeczna waga zagadnienia jest kolosalna.

Powieść polityczna

Jawnym i wielokrotnie formułowanym marzeniem była wielka współczesna powieść polityczna. Domagał się jej Żółkiewski, niezadowolony zarówno z Bratnego jak i Iwaszkiewicza (a nawet Putramenta). Konwicki jak wspomniałam już wyżej, nie stawia

kropek nad właściwymi *i* a Hołuj ma „skłonność do uproszczonego czarno-białego rysunku postaci", choć „umie trafnie wydobyć i z rozmachem nakreślić właściwy konflikt".

Najdłużej zatrzymał się przy „Powieści politycznej — powieści o polityce" Jerzy Ziomek w referacie z Konferencji Wrocławskiej, ogłoszonym w „Pamiętniku Literackim" (Nr 4 z 1964). Punktem wyjścia jest dla niego Kaden. Wczesne powieści powojenne Brezy („Mury Jerycha", „Niebo i ziemia", Nałkowskiej „Węzły życia", Putramenta „Wrzesień") są właściwie przykładami „pokadenowskiej powieści politycznej w latach Polski Ludowej".

Czym jest powieść polityczna? — Na pytanie to odpowiada Ziomek rzeczowo: powieść ukazująca „elitę i mechanizm władzy". Nadto: powieść współczesna uwolniona od przebrania w kostiumy historyczne. Często — powieść z kluczem. Najistotniejsze jej cechy „wiążą się z generalnym problemem literatury XX wieku, jakim jest sposób obserwowania i przedstawienia zjawiska alienacji" w czysto marksowskim sensie „procesu odrywania się wytworu od jego wytwórcy". Jest to także odmiana „powieści o gruncie społecznej". „Grupa" jest tu złem koniecznym: „istniejące w rzeczywistości nieosobowe grupy i więzi społeczne konstytuują się w świecie przedstawionym jako grupy i więzi o charakterze osobowym". Są złem koniecznym, symbolami, zagęszczeniem rzeczywistości.

Breza, którego powieści analizuje Ziomek szczegółowo, stara się, według własnego swego oświadczenia (w „Notatniku literackim") o połączenie elementów powieści politycznej i psychologicznej: w tej ostatniej „występują prawdziwi ludzie na tle życiowym, które jest szopką; w powieści politycznej — na tle prawdziwie życiowym występują kukiełki!". Szczególną rolę gra u niego proces uwodzenia zarówno politycznego jak i rozwijający się równolegle proces uwodzenia erotycznego: „miłość — powiada Ziomek — jest stawką w walce o władzę nad drugim człowiekiem" a „erotyka towarzyszy polityce na zasadzie paralelizmu".

(Tu trudno się powstrzymać od refleksji o przewrotności losu: obserwacjom Ziomka odpowiada znakomicie nowa powieść Guzego „Krótki żywot bohatera pozytywnego"*).

Poszukiwania krajowej powieści politycznej odpowiadającej wyliczonym wyżej warunkom a przy tym zadawalającej Partię dały wyniki bardzo skromne. Odpaść musiały np. *en bloc* tzw. „powieści aluzyjne". Odpadł Iwaszkiewicz, gdyż słusznie doczytano się (Żabicki), że myśl przewodnia „Sławy i chwały" sprowadza się w gruncie rzeczy do wypowiedzi Eweliny Royskiej (t. III, s. 379): „Jedni ludzie umarli, a inni żyją. Trzeba żyć. To najważniejsze, Alu. Trzeba żyć". Gdzież tu niezbędny obywatelowi Polski Ludowej aktywizm? Gdzie tu zaangażowanie w walce o rzeczywisty postęp socjalistyczny?

Żabicki, autor obszernego szkicu o „Tendencjach współczesnej prozy polskiej" („Pam. Liter." 1964, zesz. 4) słusznie podkreśla wagę „gatunków parabeletrystycznych: eseistycznych i reportażowych". Sądzi, iż są one odpowiednikami powiastki filozoficznej z epoki Oświecenia. (Ciekawe, że nie sięga po najdobitniejszy przykład tej analogii: prozę Leszka Kołakowskiego). Ale i cytowane przez niego przykłady dobrze ilustrują tezę. Są istotnie utworami na wskroś politycznymi i „Śpiżowa brama" i „Boski Juliusz" i „Listy do pani Z." a nawet wyraźnie przeceniony pamiętnik Putramenta „Pół wieku". Na uwagę zasługuje wymowna a wydobyta przez Żabickiego analogia: wielka proza rosyjska wybierała także niekiedy formy pozabeletrystyczne dla wyrażenia najgłębszych niepokojów. Exempla: „Dom umarłych", pamiętniki Hercena i Tołstoja.

Inną interesującą obserwacją Żabickiego jest dostrzeżenie tendencji do przebierania fikcji w kształty raptularza („Romantyczność" Brandysa), *journal intime* (tegoż autora „Sposób bycia"), reportażu czy wywiadu. Jeszcze jeden i to wymowny dowód żywiołowego odchodzenia od tradycyjnych form powieściowych.

Z rozważań krytyków krajowych na temat powieści politycznej przebija zażenowanie. W sposób zawiły dają do zrozumienia, że powieść polityczną zabija konieczność przykładnej maskarady: jedna ze stron dialogu z panią Z. musi kochać, cierpieć lub ubolewać na właściwą nutę. Nieuchronność tej postawy da się porównać z pokrewną grupą bohaterów powieści na temat spotkań krajowców z Emigracją. To samo święte oburzenie ożywia centralne postacie „Podróży" Dygata i „Weekendu w Riverside" Karczewskiej. Żabicki usprawiedliwia te schematy pisząc, iż „nie ma zachowań ludzkich całkowicie spontanicznych i 'naturalnych' ". Przypomina marzenia Stanisława Brzozowskiego o kulturze proletariackiej wzbogaconej o pełną samowiedzę. Nie zrealizowały się dotychczas. Literaturę cechuje „fetyszystyczny stosunek do istniejących form życia i świadomości zbiorowej". I to ją właśnie paraliżuje.

Z drugiej strony obawia się Żabicki trucizn alienacji. Chciałby utrzeć jej rogi, sprowadzić na tory dozwolonej krytyki a jeszcze lepiej — samokrytyki. Można, owszem, krytykować obowiązujące normy postępowania czy „stereotypy społeczno-obyczajowe". „Chodzi jedynie o to — podkreśla z naciskiem — „by owe instytucje i konwencje traktować jako swoje własne, podlegające celowym i planowym przekształceniom, społecznemu poznaniu i kontroli". Dlatego podoba się Żabickiemu Brandys z „Listów do pani Z." a nie podoba Andrzejewski z „Bram raju" i „Ciemności kryją ziemię".

Wnioski końcowe

Obrazowi kształtowanemu w Kraju przeciwstawiają się w wielu szczegółach dalekie od kodyfikacji i na inny sposób niedoskonałe wizje emigracyjne, oparte na fragmentarycznej znajomości materiału i niemożności rozszyfrowania wszystkich „pod-

* Instytut Literacki, 1966.

tekstów". (Może nawet doszukujące się tych „podtekstów" zbyt gorliwie!).

Bezstronnego obserwatora uderza poprawa poziomu warsztatu pisarskiego i chwalebna skłonność do szukania, eksperymentowania, odchodzenia od tradycyjnych gatunków i przyzwyczajeń. Ubocznym produktem „odczytywania na nowo" klasyków stała się tendencja do wskrzeszania uśpionych rodzajów literackich i ciekawe stylizacje językowe. Stosuje je znakomicie i Malewska i — Leszek Kołakowski, i Lec, i Woroszylski, i Jacek Bocheński.

Inną cechą literatury krajowej, czekającą na oddzielną rozprawę jest zakłócenie chronologii wpływów. Do nas, na francuskim czy anglosaskim Zachodzie podjeżdżały, jak na taśmie produkcyjnej, wielkie wydarzenia literackie, w porządku dat publikacji i nakazów modnych krytyków: Joyce, Proust, Kafka, Hemingway, Greene, Camus, Sartre — żałosny finał Huxley'a, renesans Conrada, Orwell, „Dr Żiwago", — nawet Durell, nawet Ian Fleming. Oni, w kraju, — zgłębiali przykładnie i z niewątpliwym pożytkiem Stendhala, Flauberta, Tołstoja, pisarzy polskiego Oświecenia i Elizę Orzeszkową. Aż nadszedł dzień znaczący początek okresu „pozornej wolności" i nagle jak zagon tatarski ruszyła kawalkada burzycieli ustalonych wartości, poprzez film, poprzez teatr, poprzez przekłady, poprzez odkrywany z płyt „Linguaphone'u" język Dylana Thomas'a i Jeffers'a okrzyczany jako bełkot a przemieniający się w najszlachetniejszą materię poetycką w ustach prawdziwych poetów. Wynikły z tego pseudo-Kafki i pseudo-Camus'y,pseudo-Hemingway'e i pseudo-Greene'y. W różnych mieszankach i z różnym stopniem powodzenia. Wdarł się w to pseudo-debiutant — odkryty na nowo Gombrowicz. Potem wskrzeszono Brunona Schulza. Potem — Witkacego. A obecnie wchodzimy w okres pseudo-Joyce'ów i pseudo-Proustów. Odżywają skargi Irzykowskiego na wtórność przełomów literackich nad Wisłą. Ale autor „Pałuby" musiałby skargi te zmodyfikować: z tej fali skłóconych wpływów i masowych naśladownictw wyłania się jakiś nowy podkład twórczy, nastręczający ciekawe i nowe możliwości.

Niepokoi narzucana przez cenzurę skłonność do operowania szyfrem, aluzją, skomplikowaną metaforą. Był już taki okres u progu działalności pisarskiej Norwida, w ostatnich rozdziałach romantyzmu. Gimnastyka myślowa ma swe granice. Szyfr zamienić się potrafi w nieodczytany hieroglif. Bywa wyzwaniem i polem efektownych popisów. Bywa kulą u nogi.

U krytyków niepokoi układność w szufladkowaniu, zgodne dostrzeganie jednych i przemilczanie drugich (Hłasko!). Oburza eliminowanie Emigracji. Gorszy posłuszeństwo dyktandom cenzury. Razi jałowe rozgadanie.

Uderza — ale to już inna sprawa — znikomość czasu i przestrzeni. Ta daleka, powstająca poza nami produkcja literacka jest najistotniejszą częścią naszej egzystencji, naszą powszednią odżywką (czasem trucizną). Rzucamy „The Comedians" Greene'a, by czytać „Tabu". Rozszyfrowujemy „Sennik współczesny". Czytamy „Dialog". Krytykujemy „Poezję". Boli nas, dokuczliwie, złośliwie, natrętnie, że jest tak — a nie inaczej, nie lepiej. Chcemy spełnić toast.

M. DANILEWICZOWA

Kronika

NAGRODY FUNDACJI ALFREDA JURZYKOWSKIEGO

Fundacja o powyższej nazwie jest instytucją młodą, bo liczącą zaledwie pięć lat. Jednakże rola, jaką spełnia i rozmiary jej działalności wysunęły ją na czoło polskich instytucji tego typu. Wypada tedy społeczeństwo polskie zaznajomić z jej czynnościami.

Założyciel Fundacji, Alfred Jurzykowski, był przed wojną osobistością dobrze znaną w szerokich kołach gospodarczych Polski, jako jeden z najczynniejszych działaczy na terenie handlu międzynarodowego. W czasie wojny, znalazłszy się w Stanach Zjednoczonych, wykorzystał swe talenty i umiejętność obracania się w sferach międzynarodowych i rozpoczął działalność handlową i przemysłową: najpierw w Stanach, później również na wyspach Karaibskich, a wreszcie w Brazylii, gdzie osiągnął największe sukcesy. Uważany tam jest za ojca brazylijskiego przemysłu samochodowego. W oparciu o licencje Mercedes-Benz rozpoczął montowanie autobusów i samochodów ciężarowych, przechodząc stopniowo na całkowitą budowę samochodów na miejscu. Dopiero za jego przykładem poszły koncerny amerykańskie, budując w Brazylii fabryki samochodów.

Działalność ta, której towarzyszyły sukcesy finansowe, nie pochłonęła go bez reszty. Ma on w wysokim stopniu rozwinięte poczucie obowiązku w stosunku do kraju swego urodzenia i państw, gdzie wypadło mu od czasu wojny pracować i dojść do świetnych wyników. Popiera akcję oświatową i humanitarną, a w Brazylii, między innymi, finansuje budowę wodociągów dla biednej ludności, zamieszkującej zacofane dzielnice Rio-de-Janeiro.

W roku 1960 stworzył fundację swego imienia, której celem jest popieranie akcji kulturalnych i humanitarnych. W wymienionym roku Fundacja zakupiła w centralnym punkcie New Yorku dom na siedzibę Polskiego Instytutu Naukowego.

Fundacja udziela stypendiów naukowych i artystycznych i w wielu krajach subwencjonuje instytucje kulturalne i charytatywne.

W roku 1964 dla uczczenia Millennium Fundacja ustanowiła nagrody dla pisarzy, artystów i uczonych Polaków, lub pochodzenia polskiego, bez względu na miejsce ich zamieszkania. Przyznanie nagród powierzyła Polskiemu Instytutowi Naukowemu w Ameryce. Ogólna suma nagród wynosiła 10.000 dolarów; z dziewięciu nagrodzonych czterech mieszkało w Polsce, a po jednym w Kanadzie, Niemczech Zachodnich, Stanach Zjednoczonych, Szwajcarii i Włoszech. W r. 1965 suma nagród wzrosła do 12.000 dolarów, a ilość laureatów do jedenastu. Pomiędzy nimi znalazło się dwóch cudzoziemców, tłumaczy literatury polskiej na języki angielski i niemiecki. Nagrody za rok 1965 zostały ogłoszone 12-go stycznia 1966 na uroczystym

obiedzie w Yale Club, wydanym przez Polski Instytut Naukowy, który zgromadził sto osób ze sfer polskich i amerykańskich. W czasie obiadu przewodniczył Alexis Coudert, znany adwokat nowojorski, sekretarz i skarbnik Fundacji Jurzykowskiego, a inwokację wygłosił Ks. Prof. George Ford. Przemawiali Prof. Feliks Gross z New York Univesity, Gen. Dr Harold Glattly z National Academy of Science i Rudolf Rathaus, wiceprezes Fundacji. Sylwetki nagrodzonych nakreślił Damian Wandycz, p. o. dyrektor Polskiego Instytutu Naukowego. Z laureatów obecni byli Zdzisław Czermański i Józef Wittlin, który wygłosił przemówienie imieniem nagrodzonych. Nagrody wzbudziły zainteresowanie zarówno w środowisku polskim, jak i amerykańskim, czego dowodem są sprawozdania jakie ukazały się w „New York Times" i „Chicago Tribune".

Przyznanie nagród w r. 1966 wydaje się być zapewnione.

Nagrody w wysokości $ 1.000 za okres 1963 65 przyznano:

Paweł Jasienica — zamieszkały w Warszawie. Wybitny prozaik. Książki jego o tematyce historycznej cieszą się wielką poczytnością w Polsce.

Tadeusz Różewicz — zamieszkały w Gliwicach. Czołowy poeta młodego pokolenia, autor wielu nowel tłumaczonych na języki obce, oraz utworów scenicznych.

Krzysztof Penderecki — profesor Konserwatorium w Krakowie, należy do najwybitniejszych muzyków awangardowych.

Józef Czapski — mieszka w Paryżu. Malarz i eseista. Należał przed wojną do znanej grupy „Kapistów". Autor zbioru esejów pt. „Oko".

Zdzisław Czermański — zamieszkały w Nowym Yorku — malarz i karykaturzysta. Współpracuje z „Fortune" i innymi czołowymi czasopismami amerykańskimi.

Roman Ingarden — profesor filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Autor dzieł z teorii poznania i estetyki.

Kazimierz Michałowski — profesor archeologii Uniwersytetu Warszawskiego. Wybitny egiptolog; odkrył świątynię Tuthmosisa III z XV wieku przed Chrystusem.

Przyznano dwie nagrody po $ 2.000 za twórczość całego życia:

Antoni Słonimski — zamieszkały w Warszawie. Jeden z założycieli grupy poetyckiej „Skamander" po I-ej wojnie światowej. Znany poeta, komediopisarz i publicysta.

Józef Wittlin — zamieszkały w Nowym Yorku. Poeta, eseista, powieściopisarz i tłumacz. Otrzymał w 1943 r. nagrodę American Academy of Arts and Letters za „Sól Ziemi". Jego tłumaczenie Odyssei Homera na język polski jest arcydziełem przekładu.

Nagrodę za tłumaczenia utworów polskich na języki obce podzielono na dwie po $ 500 każda — przyznano je:

David J. Welsh — ur. w Anglii, profesor Slawistyki na University of Michigan, Ann Arbor. Przełożył na angielski utwory: Andrzejewskiego, Brandysa i in. Również „lalkę" Bolesława Prusa.

Carl von Pentz — Niemcy Zachodnie — przełożył wierszem na język niemiecki „Pana Tadeusza".

Książki

Chaos i ład w poezji XX wieku

W roku 1774 Kajetan Skrzetuski ogłosił poemat opiewający uroki Mokotowa, gdzie księżna Elżbieta z Czartoryskich Lubomirska wystawiła piękny pałacyk i założyła wspaniały ogród. Pisze tam Skrzetuski:

Najprzód z przyjazdu ulica szeroka,
Lipkami pod sznur sadzona dla oka,
Gdy się rozwiną listki niepomału,
Z czasem będzie tu chłodnik wśród upału.
Bliżej wznosi się taras brukowany...
Ganek wspaniały wielce zdobi wniście
Lampą, w zielone ustrojoną liście.
Schodów natychmiast krytych widzisz dwoje,
Co w rozmaite prowadzą pokoje.

Drzewa sadzone pod sznur, klasyczne proporcje pokojów pałacu, regularna strofa wiersza, wyrażają ład, porządek, harmonię wszechświata.

Nie jest zdawałoby się do pomyślenia, aby ktośkolwiek w naszym wieku komponował wiersze oparte na podobnie łagodnym, zadowolonym widzeniu świata i losu ludzkiego. Naszą epokę ma raczej charakteryzować taki na przykład utwór Godfryda Benna:

Usta dziewczyny, która długo leżała w sitowiu,
były tak ponadgryzane!
Gdy otwarto klatkę piersiową, pokazały się dziury w
[przewodzie pokarmowym
Aż wreszcie pod woreczkiem żółciowym jak w kołysce
znaleziono gniazdo młodych szczurów.

Ten cytat z Benna pochodzi ze zbioru szkiców literackich Jana Prokopa, poświęconych typowym przedstawicielom poetyki dwudziestego wieku w Europie i Stanach Zjednoczonych. Książ-

ka nosi tytuł *Euklides i barbarzyńcy* (Czytelnik, 1964) i nie trudno zgadnąć, że barbarzyńcami są artyści naszej epoki, a geometrą, który w ich niesfornych utworach próbuje odnaleźć jakiś wzór sensu jest krytyk. W tytułowym eseju Prokop wyjaśnia, że dziś „Przejmując funkcję mitów poezja... stara się być autentycznym głosem irracjonalnych sił duszy ludzkiej... Z erudycyjnej aluzji humanistów temat mitologiczny zmienił się na powrót w pierwotne myślenie symbolami... Ta... symboliczność wiążąca je ze sztuką prymitywną, ze sztuką barbarzyńców jest powrotem do irracjonalnych głębin...".

W innym miejscu Prokop stwierdza, że współczesna poezja „ze świata gładkich powierzchni zstępuje w królestwa ciemności", ale równocześnie stawia pytanie: „Czy to odkrycie otchłani, zstąpienie do piekieł spowodowane jest tym, że poeta opuścił ludzki, społecznie sprawdzalny świat... i swoją osobistą sytuację rozbitka walczącego z wrogim żywiołem przenosi na sytuację innych...? Czy też jest Kasandrą wieszczącą obojętnym i zaślepionym upadek Troi?" Na to niezmiernie ciekawe pytanie, czy irracjonalizm, brutalność współczesnej sztuki jest wyrazem jakiejś wewnętrznej dysharmonii współczesnego artysty, czy też jest koniecznym odzwierciadleniem tego, co wokół siebie widzi, Prokop nie stara się niestety odpowiedzieć. Natomiast jasne jest, że uważa za udowodnioną tezę, którą pośrednio lub bezpośrednio wysuwa we wszystkich swoich szkicach, że poezja naszego stulecia reprezentuje zstąpienie do piekieł, chaos, dezintegrację.

I właśnie tę tezę chciałbym zakwestionować. Nie że Prokop nie ma racji — ma się rozumieć, że jego wniosek jest słuszny i wynika nieodparcie z dokonanej przez niego analizy poetyki Benna, Trackla, René Chara, wczesnego Eliota i innych. Wydaje mi się jednak, że ten obraz poezji dwudziestego wieku nie przedstawia całej prawdy. Można bowiem równie dobrze pokazać nie mniej wybitnych poetów, którzy w pełni zdawali sobie sprawę z istnienia podświadomych irracjonalnych sił, lecz zamiast im ulegać, właśnie się tym siłom w swej sztuce przeciwstawiali.

Tadeusz Sułkowski na przykład pisze o „takiej formie" „że w niej nawet klęska — Nabiera kształtu spokojnego morza", a w wierszu pt. „Pióro", który jest jakby wyznaniem wiary artystycznej, mówi „Porządek pracy, harmonia surowa, — Co domem strofy włada, niech mną włada" i konkluduje:

Jakże zamknę oczy
Bez ufnej myśli, że ten płomyk pisma
Bronił przed zgubą pośród ludzkiej nocy?

W poezji Miłosza tej walki z siłami chaosu często na powierzchni w ogóle nie znać. Jego wiersze bywają pogodnym, harmonijnym zapisem dają wyraz akceptacji świata, która mało się różni od upojenia, z jakim Kajetan Skrzetuski, czy inni neoklasycy XVIII stulecia, opiewali zmysłowe piękno istnienia. W wierszu zatytułowanym przecież „Szczęście" Miłosz pisze:

Z różowej zatoki
Choiny masztów, odpoczynek lin
We mgłach poranka. Tam, gdzie w wody morza
Sączy się strumień, przy mostku, dźwięk fletu.
Dalej, pod łukiem starożytnych ruin
Widać idące maleńkie postacie,
Jedna ma chustkę czerwoną. Są drzewa,
Baszty i góry o wczesnej godzinie.

Sułkowski wyraża więc nadzieję, że sztuka ochroni go przed chaosem, a Miłosz zapomina na chwilę, że ten problem istnieje. Natomiast w twórczości poety amerykańskiego Wallace Stevensa napotykamy zdecydowane przekonanie, że sztuka jest czynnikiem porządkującym, wprowadzającym ład umysłu ludzkiego w zastany w naturze niepokój. Podczas gdy wyróżnieni przez Prokopa autorzy poddają się złowrogim siłom i wyrażają „irracjonalną magmę lęków i podświadomych obsesji", Stevens świadomie z nimi walczy: dla niego poezja jest właśnie sposobem trzymania ich w ryzach. Dlatego też jego poemat zatytułowany znamiennie „Idea porządku w Key West" można przyjąć za rodzaj światopoglądowego manifestu. Wzburzony ocean wokół Key West na Florydzie przedstawia irracjonalną magmę świata w stanie surowym. Ale huk fal przeistacza się w wyobraźni w kobiecy śpiew, który narzuca żywiołom porządek i formę, a gdy zapada noc, ciemność i głębiny morskie dostają się pod kontrolę świateł zakotwiczonych rybackich łodzi. Poeta konkluduje:

Błogosławiona pasja porządku...
Pasja twórcza, by z morza wyprowadzić słowa,
Słowa wonnych portali w słabym blasku
Gwiazd, i nas samych i naszych początków...

Pisząc o poetyce Godfryda Benna Prokop mówi „Klęska wiary i bezradność wiedzy, cynizm polityków i bankructwo moralistów: takie jest nihilistyczne credo poety, który zwątpił w kulturę i w człowieka". Irlandczyk William Yeats, o którym podobnie jak o Stevensie, Miłoszu czy Sułkowskim, Prokop nie ma nic do powiedzenia, mógł był sobie podobnie jak Benn wypracować cyniczne credo, choćby z obserwacji nieudanego powstania Irlandczyków przeciw Anglii. Ale właśnie przez elegię Yeatsa, która upamiętnia to powstanie z r. 1916* przewija się refren o nowym strasznym pięknie, które wyrasta z zaciekłej walki i bohaterskiej śmierci zwykłych szarych ludzi.

Prokop tak jest zaprzątnięty wizją poetów-barbarzyńców, że nie tylko ignoruje tych, których poetyka jest zupełnie odmienna, ale i tendencyjnie interpretuje poetykę tych, którym poświęca uwagę. Prokop słusznie na przykład widzi w eksperymentator-

* Por. przekład tego poematu w *Kulturze* nr 216 z października 1965.

stwie Przybosia dynamizm i dramatyczne napięcie, ale nie jest to przecież napięcie wynikłe z podróży do piekieł. Poetycki świat Przybosia jest tak bezproblemowy, radosny, jak świat Skrzetuskiego opisującego ład wzorowo pielęgnowanych parków.

Jeżeli zaś chodzi o Eliota, na pewno jego wcześniejsza twórczość przejawia metafizyczny niepokój, przerażenie i obrzydzenie. Prokop jednak zapomina, że twórczość Eliota kończy się nie na destruktywnej chaotycznej „Ziemi jałowej", lecz na „Kwartetach", które są właśnie afirmacją porządku i ładu. Tych cech Prokop w nowoczesnej poezji nie dostrzega i dlatego jego studium ma ograniczony zasięg.

Adam CZERNIAWSKI

Przekłady z poezji hiszpańskiej

W celofanowej „Bibliotece Poetów" wyszedł wybór wierszy Rafaela Albertiego, bodajże najsławniejszego z żyjących poetów hiszpańskich[1]. Tak jak Jiménez, Lorka, bracia Machado, Aleixandre i Cernuda (żeby wyliczyć bardziej znanych poetów), Alberti jest Andaluzyjczykiem. Urodzony w 1902 w Puerto de Santa Maria koło Kadyksu, uczęszczał do lokalnego gimnazjum jezuickiego. Nie nauka go jednak pociągała, ale malarstwo i poezja. Morze, ucieleśnienie wolności, stało się jego natchnieniem i pierwszy zbiór wierszy „Marynarz na lądzie" (1924) postawił go w awangardzie wspaniale utalentowanych młodych poetów. U schyłku dyktatury gen. Primo de Rivera z poety estetyzującego przedzierzgnął się w rewolucjonistę. Przez kontakty zagraniczne z pisarzami radykalnej lewicy i wyjazdy do Sowietów, stał się sztandarowym pisarzem republiki, jej żołnierzem, a po jej upadku, emigrantem. Osiedlił się na stałe w Argentynie, ale nie wyzbył się tęsknoty do rodzinnej ziemi. Podróżuje dużo, bywa w Warszawie; wielkie wrażenie wywarły na nim Chiny, których stał się oddanym wielbicielem.

W jednym ze swoich wierszy tak siebie charakteryzuje:

Napisałem i drukowałem wierszy bez liku.
Prawie wszystkie mówią o morzu,
a także o gajach, aniołach i równinach.
Śpiewałem wojny sprawiedliwe,

1. Rafael Alberti. *Wiersze wybrane.* Redakcja i słowo wstępne Zofia Szleyen. PIW, Warszawa 1963.

pokój i rewolucje.
Teraz jestem tylko wygnańcem.

Przed kilkoma laty obchodzono w różnych krajach sześćdziesięciolecie urodzin poety. Choć Alberti jest zaciętym wrogiem reżymu hiszpańskiego i figurą polityczną, w Madrycie ukazał się m.in. specjalny numer miesięcznika literackiego „Insula" jemu wyłącznie poświęcony i bogato ilustrowany. Ale wśród poetów najmłodszego pokolenia, o ile zdołałem rozszyfrować aluzje, pojawiły się pierwsze cierpkie głosy pod adresem zadufania i apodyktyczności mistrza zza oceanu.

Polski wybór obejmuje mniej niż dziesiątą część poetyckiego dorobku i wyszedł spod pióra dziesięciu tłumaczy. (Brak wśród nich Mikołaja Bieszczadowskiego a przecież zaprezentował on w zbiorze „Smak winnic Twoich" szereg tłumaczeń z księgi „O aniołach". Wówczas były one przedwczesne, ale, poprawione, dodałyby wagi antologii nie bogatej w teksty z pierwszego okresu poety). Sama Zofia Szleyen przełożyła dwa razy więcej utworów niż pozostali tłumacze razem wzięci (wśród nich znalazł się Przyboś). Ona też jest redaktorką tomu, autorką wstępu i zapewne spiritus movens całego przedsięwzięcia. Nic w tym dziwnego, wszak od dawnych lat zna ona poetę osobiście, drukowała pierwsze przekłady jeszcze w obleganym Madrycie w „Dąbrowszczaku", kilka lat temu spolszczyła jedną z jego sztuk teatralnych „Noc wojny w muzeum Prado".

Alberti nie jest poetą łatwym do tłumaczenia. Prawie nie sposób oddać w innym języku jego liryków z pierwszego okresu, filigranowych cacek, osadzonych we właściwościach ludowej piosenki hiszpańskiej, z jej pozorną prostotą, osobliwymi skojarzeniami, asonansem i refrenami. Nielada wirtuozerii wymagają jego przepiękne strofy poświęcone malarstwu i malarzom, zaś poezje surrealistyczne pełne są pułapek.

Z tych powodów nie trudno o potknięcia. Są one wynikiem nade wszystko niedostatecznego zżycia się z tekstami, zadawalaniem się powierzchowną lekturą, mało krytyczny stosunek do oryginału. Ci tłumacze, którzy znają hiszpański, mieszają nieraz: *ver — mirar i escuchar — oir.* Niejednokrotnie mylą podmiot z przedmiotem (29, 74, 79, 120), osoby, nie rozpoznają czasów. (Sporządziłem długą erratę i mogę na żądanie służyć nią). Dorzucę mimochodem, że Stolarek lubi wymyślać szczegóły i przedłuża tekst (25) a Kamieńska redukuje i usuwa całe linijki (148). Wśród dziwnych realiów znalazły się „pikadorskie chorągiewki". Niewiadomo też, dlaczego przetasowano utwory łamiąc chronologię autora.

Polski miłośnik poezji przeczyta nowy tom z pożytkiem a ze wstępu dowie się najważniejszych danych o życiu i twórczości poety. Z zainteresowaniem dostrzeże też wiersze o polskiej tematyce z pietyzmu zapewne uwzględnione przez redaktorkę.

◆

Trzecim zbiorem przekładów Winczakiewicza z poezji hiszpańskiej po wierszach Lorki i antologii XX-go wieku, to czternaście sonetów klasycznych[2].

Kiedy tłumacz brał na swój warsztat utwory, które mu się podobały, a co ważniejsze, pozwalały się spolszczyć, i drukował je sporadycznie w czasopismach, kwestionowanie ich wyboru było nie na miejscu. Natomiast sonety zebrane w tomik i z pieczołowitością podane do druku sugerują pewne kryteria doboru. Za tą teorią zdawałoby się przemawiać umieszczenie na czele sonetu Markiza de Santillana, prekursora twórców klasycznego sonetu hiszpańskiego. Umieszczenie Boscana też świadczy o wadze, jaką tłumacz przywiązuje do historycznego potraktowania zjawiska. Wobec powyższego nie powinno się było pominąć Herrery, postaci absolutnie obowiązującej tam, gdzie mowa jest o sonecie hiszpańskiego Złotego Wieku.

Jeżeli zgodzić się, że utwory podane przez Winczakiewicza niekoniecznie reprezentują wszelkie możliwości danych autorów, bo choćby w wypadku Lopego trzy sonety nie mogą rościć sobie pretensji do wyczerpania całej rozpiętości tematycznej i nastrojowej paru tysięcy utworów, to jednak wybór sonetów Garcilasa wydaje mi się mało fortunny. Quevedo znalazł się w gorszej jeszcze sytuacji. Figuruje on jako autor jednego tylko sonetu i to nie oryginalnego ale parafrazy znanego w całej Europie epigramatu łacińskiego z 1554 Jana Witalisa.

Archaizacja języka przekładów może w pierwszej chwili mile zaskoczyć a przynajmniej być miłą dla ucha. Wnet jednak rodzą się wątpliwości, czy aby tłumacz potrafił adekwatnie stworzyć język współczesny oryginałowi. Po pierwsze, nie posiadamy chyba wzorca dla czasów Santillany (piętnasty wiek), po drugie, jeśli chcieć posługiwać się pseudo-szesnastowieczną polszczyzną, to czy obronimy się przed zarzutami anachronizmu, kontaminacji i sztuczności? Czy nie lepiej pójść na kompromis i użyć języka współczesnego tłumaczowi, unikać wyrażeń najnowszej daty a zadowolić się ustawieniem, od czasu do czasu, akcentów archaicznych, rzadkich ale dobrze już wypróbowanych? Bo inaczej mogą wyniknąć niespodzianki. Oto jak Winczakiewicz tłumaczy początek sonetu Queveda domniemanym językiem polskiego baroku:

Rzymu śród Rzymu pątnik wypatrywa
i Rzymu w samym nie najduje Rzymie.

Otóż Sęp-Szarzyński, który Witalisa spolszczył nieomal czterysta lat temu, pierwsze dwa wiersze formułuje tak:

Ty, co Rzym wpośród Rzyma chcąc baczyć pielgrzymie,
A wżdy baczyć nie możesz w samym Rzyma Rzymie...

2. Jan Winczakiewicz. *Sonety hiszpańskie*. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1965.

Odnoszę wrażenie, że mimo rzetelnych i nie pozbawionych piękna wersji sonetów religijnych i refleksyjnych, Winczakiewicz najlepsze rezultaty osiągnął przy tłumaczeniu utworów lekkich, żartobliwych, stwarzając zwiewne ekwiwalenty, doskonale brzmiące po polsku a ściśle odtwarzające oryginalne teksty. Nie znaczy to, że odczytanie źródeł było zawsze poprawne. Najbardziej ucierpiał sonet Lopego „Judyta". Nie można winić tłumacza za te szczegóły, które wśród uczonych są sporne, ale ci „klęską zmorzeni" strażnicy nie mają pokrycia ani w tekście ani w anegdocie biblijnej. Zaś druga tercyna jest zupełnym nieporozumieniem. Podobnie w sonecie Góngory *viola troncada* to nie „skrzypka zepsowana" ale „fiołek śnięty".

Nowością jest wprowadzenie obok przekładów tekstów hiszpańskich. Szkoda jednak, że tekstów tych nie zredagowano jednolicie. Wersje starohiszpańskie pomieszane są ze współczesnymi przy zachowaniu niekiedy zupełnie idiosynkratycznego akcentowania drukarzy czasów Lopego. Skoro zaś znalazły się akcenty przy nazwiskach, to trzeba dawać je również przy López, Marqués, Boscàn, Félix. Do tekstów też zakradły się błędy.

Byłbym nieszczery, gdybym zamilczał o powyższych usterkach; kumoterskich recenzji mamy na emigracji zbyt wiele. Wytaczając zarzuty nie zapominam ani na chwilę o ogromie wysiłku Winczakiewicza transponującego czternaście sonetów hiszpańskich na polski. Czytelnik na pewno doceni trud a Oficyna uwieńczyła go piękną oprawą graficzną.

Florian ŚMIEJA

Dochód narodowy

Od czasów kwestii składu osobowego Trójcy Św. historia rasy białej przez wiele stuleci nie produkowała rzezi, tortur i tp. widowisk inscenizowanych na tle interpretacji dogmatów. Nawrót do dawnych wzorów zapoczątkowała dopiero Rewolucja Październikowa w Rosji. Nowy ustrój wytworzył zespół dogmatów, warstwę kapłanów-interpretatorów i silne ramię wykonawcze do likwidowania heretyków. Jednym z tak zrodzonych dogmatów była „marksistowska definicja" dochodu narodowego. U podstaw tego dogmatu była ewangelia pisarza bynajmniej nie komunistycznego, mianowicie Adama Smitha, który w XVIII-tym wieku dość pochopnie określił ministrów, śpiewaków i tp. zawody jako nieproduktywne. Tę tezę powtórzył z czasem Karol Marks, za którym trafiła ona do dzisiejszego obozu socjalistycznego, wywołując tam niesłychany zamęt i utrudniając w sposób widoczny postęp gospodarczy. W miarę rozwoju myśli i praktyki gospodarczej na Zachodzie teorie ekonomistów klasycznych podlegały rewizji, a wiele z nich szło na „śmietnik historii". Taki los spotkał m.in. tezę o „nieprodukcyjnych usługach". Ale Wschód do ostatnich niemal dni męczy się w okowach tego dogmatu. Wieczne braki w dystrybucji, niewystarczające nakła-

dy na konserwację i deprecjację, atrofia najbardziej podstawowych „usług dla ludności" — wszystko to ma teoretyczne ugruntowanie w nieżyciowej definicji dochodu narodowego.

W związku z faktem, że różni ludzie używali tych samych terminów na określenie zupełnie różnych rzeczy, zaistniała potrzeba powołania ekspertów do tłumaczenia z jednego języka umownego na drugi. Tak powstały całe zespoły i komórki badawcze do interpretowania w terminach zachodnich tego, co komuniści mienią dochodem narodowym. „Polski dochód narodowy i produkcja globalna w latach 1954, 1955 i 1956"*) jest właśnie jednym z owoców pracy jednego z takich zespołów. Praca przedstawia dochód narodowy Polski systemem tablic „księgowości społecznej", a więc jako szereg wzajemnie się bilansujących przekrojów. W wyniku przeprowadzonych wyliczeń okazuje się, że polskie oficjalne statystyki podają jako „dochód narodowy wytworzony" w przybliżeniu to, co na Zachodzie nazywa się „produkcją narodową brutto" (GNP) po cenach rynkowych. Ponieważ polskie ceny rynkowe są w rzeczywistości nie rynkowe, a arbitralnie ustalane przez odpowiednie urzędy, więc statystyki te zawierają szereg błędów. Autorzy publikacji wykazują te błędy za pomocą obliczenia „produkcji narodowej brutto" według kosztów własnych. Zestawienie obu obliczeń wykazuje, jak można się było spodziewać, że polski system cen wyolbrzymia udział przemysłu w dochodzie narodowym, a pomniejsza udział rolnictwa. Mierząc dochód według kosztów własnych okaże się, że rolnictwo ciągle jest jeszcze, przynajmniej w latach objętych tym badaniem, główną gałęzią gospodarki narodowej. Autorzy dają porównawcze cyfry dla Węgier i Czechosłowacji, które wyglądają jak następuje:

Procentowy udział w dochodzie narodowym	*Czechosłowacja,*	*Węgry,*	*Polska*
Przemysłu	37	30	27
Rolnictwa	18	26	29

Wynika z tego, że Polska gospodarczo znajduje się na poziomie zbliżonym do Węgier a dość daleko poniżej Czechosłowacji.

Obliczenia polskiego dochodu narodowego, mimo ich niedokładności, rzucają też pewne światło na zagadnienie ewentualnego wyzysku gospodarczego Polski przez Rosję. Do pewnego stopnia odnośne sumy mogą figurować jako „wydatki na obronę narodową", które wynoszą rocznie około 11 miliardów zł. Dalszym elementem może tu być „rachunek różnic cen w handlu zagranicznym". Maksymalnie na poczet tego rachunku można by zaliczyć 9 miliardów zł w 1954 r. i 6 miliardów zł w 1955 r. Rok 1956 przynosi odwrócenie sytuacji i rubryka „Pozostałe" w której m.in. mieści się ów rachunek, zawiera sumę negatywną w wysokości około 4 miliardów zł.

B. BRODZIŃSKI

*) *Polish national income and product in 1954, 1955, and 1956*, T. P. Alton, A. Korboński, B. Mieczkowski, i L. Smoliński, Columbia University Press, New York 1965.

Nadesłane nowości wydawnicze

RUDNICKI (Jan). *Słowa a czyny.* Tło, geneza i przyczyny klęski Polski w 1939 r. Str. 518. (Wyd. Autor i czytelnicy, Toronto, 1965).

KLOCHOWICZ (Kazimierz). *Cztery niedotrzymane pakty.* Str. 183 i 1 nlb. (Wyd. Gryf Publications, Ltd., Londyn, 1966, cena 21/-).

WINIARSKI (Bohdan). *Nad Pissą, Wissą i Narwią.* Str. 278 i 2 nlb. (Wyd. Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak", Kraków, 1965. Cena 45 zł).

TOMKIEWICZ (Mina). *Bomby i myszy.* Powieść mieszczańska. Str. 335 i 1 nlb., cena 35/-).

ZAREMBA (Zygmunt). *Przemiany w ruchu komunistycznym.* Str. 201 i 7 nlb. (Wyd. „Światło", tom IV „Biblioteki Społecznej", Paryż, 1965).

VINCENZ (Stanisław). *Dialogi z Sowietami.* Str. 317 i 3 nlb. (Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1966).

CZERMAŃSKI (Zdzisław). *Kolorowi ludzie.* Str. 319 i 1 nlb. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1966).

GOETEL (Ferdynand). *Patrząc wstecz.* Str. 159 i 1 nlb. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1966).

WIERZYŃSKI (Kazimierz). *Cygańskim wozem.* Miasta, ludzie, książki. Str. 158 i 2 nlb. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1966).

ŁOBODOWSKI (Józef). *Terminatorzy rewolucji.* Powieść. Str. 317 i 3 nlb. (Nakł. Polskiej Fundacji Kulturalnej, Londyn, 1966).

ROSTWOROWSKI (Jan). *Słowik i miecz. Wiersze.* Str. 81 i 10 nlb. Układ graficzny St. Gliwy. (Wyd. Oficyna Stanisława Gliwy, Londyn, 1966).

NOWAKOWSKI (Zygmunt). *Wieczory pod dębem.* Gawędy historyczne. Opr. Lidia Ciołkoszowa. Str. 506. (Wyd. Gryf Publ. Ltd., Stow. Polskich Kombatantów, Londyn, 1966, cena 42/-).

CZEREŚNIEWSKI (Wawrzyniec). *Xenofoncie na codzień.* „Motywów greckich" Zeszyt Czwarty. Str. 26 i 8 nlb. Układ graficzny Stanisława Gliwy. (Wyd. Oficyna Stanisława Gliwy, Londyn, 1965).

SŁAWOJ SKŁADKOWSKI. *Strzępy meldunków.* Wyd. czwarte. W trzydziestolecie zgonu Józefa Piłsudskiego i w trzy lata po śmierci Autora. Str. 195 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1965.

CIOŁKOSZOWIE (Lidia i Adam). *Zarys dziejów Socjalizmu Polskiego.* Tom I. Str. 520. Skorowidz nazwisk, Spis rycin i Errata. (Wyd. Gryf Publications Ltd., Londyn, 1966, cena 63/-).

Dialog episkopatów Polski i Niemiec. Oceny i odgłosy na Zachodzie. W opr. M. Czerskiego i A. Walickiego. Słowo wstępne W. Wasiutyńskiego. Str. 168. (Nakł Związku Dziennikarzy R.P., Londyn, 1966).

Czas niepokoju. Antologia współczesnej poezji brytyjskiej i amerykańskiej. Wybrał i opracował Paweł Mayewski. Wyd. drugie. Str. 226. (Wyd. Perspective in Culture, New York, 1965).

KORBOŃSKI (Stefan). *Warsaw in Exile.* Str. 325 i 5 nlb. Indeks. (Wyd. George Allen and Unwin, Ltd., Londyn, Kwiecień, 1966, cena 42/-).

GÖMÖRI (G.). *Polish and Hungarian Poetry 1945-1956.* Str. 266 i 4 nlb. Indeks osób i periodyków. (Wyd. Oxford University Press at the Clarendon Press, Oxford, kwiecień 1966, cena 45/-).

ODOJEWSKI (Włodzimierz). *Le crépuscule d'un monde.* Roman. Przekład z polskiego Joanny Ritt i Jacqueline Trabuc. Str. 250 i 6 nlb. (Wyd. Editions du Seuil, Paryż, 1966).

Annales. Littératures. XII. Études et Documents XIX^{e}-XX^{e} siècles. Str. 200 i 4 nlb. (Publiées par la Faculté des Lettres et Sciences Humaines de Toulouse, cena 8 F).

WYDAWNICTWA UKRAIŃSKIE

OREST (Mychajło). *Pizni wruna.* Knyha poezji pjata. Str. 76. (Instytut Literatury im. Mychajła Oresta, München, 1965).

ORTEGA Y GASSET (José). *Bunt mas.* Perekład z espańskoho Wolframa Burghardta. Str. 157. (Wydannja Organizaciji Oborony Czotyrioch Swobid Ukrajiny, New York, 1965).

POŁOŃSKA-WASYŁENKO (Natalija). *Zaporižja XVIII stolittja ta joho spadszczyna.* Tom 1. Str. 397. (Wydannja „Dniprowoji Chwyli", München, 1965).

JAROSŁAWSKA (Daria). *Powiń.* Roman w trioch czastynach. Str. 226. (Ukrajińske Wydawnyctwo „Dobra Knyżka", Toronto, 1964).

JAROSŁAWSKA (Daria). *Jiji Niu Jork.* Skoroczena powist'. Str. 156. (Sojuz Ukrajinok Ameryki).

SYMONENKO (Wasyl). *Bereh Czekań.* Wybir i komentari Iwana Koszeliwcja. Str. 223. (Wydawnyctwo „Prołoh", New York 1965).

JAROSŁAWSKA (Daria). *W obijmach Melpomeny.* Roman. Str. 413. (Wyd. Mykoły Denysiuka, Buenos Aires).

WOŁKOW (Witalij). *Dowbusz.* Str. 304. (Wydawnycza Spiłka „Tryzub", Winnipeg).

JAROSŁAWSKA (Daria). *Pomiż berehamy.* Powist'. Str. 188. (Wydawnyctwo „Kyjiw" Filadelfia).

SEMCZUK (o. Stefan). *Refleksiji.* Poeziji, knyżka pjata. Str. 51. (Winnipeg, 1965).

SZEWCZENKO (Taras). *Błyzniata.* Str. 147. (Wyd. Spiłka Tryzub, Winnipeg, 1965).

SZEWCZENKO (Taras). *Mykyta Gajdaj.* Urywok iz dramy. Perekł. z ros. mowy na ukrajińsku M. I. Mandrika. (Wyd. Spiłka Tryzub, Winnipeg, 1965).

Slavica Canadiana A.D. 1964. Compiled by Jaroslav B. Rudnyckyj in co-operation with J. Kirschbaum and T. W. Krychowski. (Slavistica No 55. Str. 64. Winnipeg, 1965).

Fundatori Encyklopediji Ukrajinoznawstwa. 1954-1964. Str. 64. Widbytka z 4 t. EU. (Wyd. „Mołode Żyttja").

CZERIN (Hanna). *Idimo zi mnoju.* Str. 235. (Wyd. J. Serediaka, Buenos Aires, 1965).

HOHOL (Mykoła). *Taras Bulba.* Istoryczna powist'. Str. 148. (Wyd. Spiłka Tryzub, Winnipeg).

Almanach „Homonu Ukrajiny" na 1966 rik. Str. 190. (Toronto, 1966).

Kałendar-Almanach MITŁA na 1966 rik. Str. 126. Buenos Aires, 1966).

Ukrajińskyj Prawosławnyj Kałendar. Str. 163. (Wyd. Ukr. Prawosł. Cerkwy w USA, 1966).

NESTOROWYCZ (Wołodymyr T.). *Sercja i burewiji.* Roman-reportaż. Str. 468. (Nakładom awtora, Detroit-Chicago, 1965).

Humor sowiecki

W „Komsomolskiej Prawdzie" z 17 marca rb. ukazał się artykuł o Kulturze *pióra S. Goliakowa, zatytułowany „Alians brudnych rąk". Artykuł ten jest tak bezspornie humorystyczny, że zamieszczamy go w całości w naszym dziale humoru (Redakcja).*

ALIANS BRUDNYCH RĄK

Oto od wielu już lat świat ogarnięty jest wojną. Prowadzą ją przeciw obozowi socjalizmu najbardziej reakcyjne siły po obu stronach Atlantyku. To wojna bardzo specjalna. Na linii frontu nie słychać wybuchów a sanitariusze nie wynoszą z pola walki zabitych i rannych. Zamiast armat grają rotacyjne maszyny i tajne radiostacje, zamiast sztabów generalnych działają informacyjne agencje i organy wywiadu.

Rozpoczynamy dzisiaj opowiadanie o tych „oddziałach" specjalnego przeznaczenia, którym powierza się najbardziej tajne i niemoralne operacje tej wojny.

Willa na paryskim przedmieściu

Jak wiadomo, na przykład z przewodu sądowego w sprawie Siniawskiego i Daniela, pierwszym wydawnictwem, które złapało się za owoce tajnej literackiej twórczości był tak zwany polski „Instytut Literacki" i jego pismo „Kultura", wychodzące w Paryżu. Mamy możliwość bliższego zapoznania się z tym zgrupowaniem biorąc za przewodnika angielskiego dziennikarza René MacColl z „Daily Express'u"*. René MacColl był w tym wydawnictwie w końcu ub. roku.

„Przyciskacie dzwonek w furtce niewinnej, francuskiej podmiejskiej willi, w stylu Tudor, podchodzicie po wykładanej ścieżce do frontowych drzwi i słyszycie ujadanie podwórzowego psa.

---

* Tekst cytowany za „Daily Express" jest tendencyjnie sfałszowany (Redakcja).

„Kultura" (Instytut Literacki) — napisane na maleńkiej miedzianej tabliczce przy drzwiach wejściowych. Naciskacie znowu dzwonek, tym razem już przy drzwiach wejściowych, i szczekanie wewnątrz staje się wściekłe. Wkrótce otwierają się drzwi i kobiece oko podejrzliwie was ogląda. O co chodzi — *Monsieur?* Pana dokumenty? Proszę powiedzieć skąd Pan dowiedział się o naszym istnieniu? Dlaczego nie zawiadomił Pan, że zamierza nas Pan odwiedzić?"

Nieprawdaż, jakie dziwne porządki panują w willi w podparyskim miasteczku Maisons-Laffitte: podwórzowe psy, kontrola dokumentów, szczegółowe przepytywanie. W normalnych wydawnictwach nie ma takich rzeczy. Ale ono też nie jest normalne. René MacColl nazwał je „końcową stacją podziemnej kolei", przez którą wydawnictwo otrzymuje różnego rodzaju podziemne rękopisy zza „żelaznej kurtyny". Jednakowoż ta charakterystyka jest wyraźnie jednostronna. Znacznie więcej informacji o „Kulturze" można znaleźć w niedawno wydanej w Warszawie książce pod wymownym tytułem „Dywersja". Okazuje się, że założyciele tego antykomunistycznego instytutu zaczęli swoją działalność w 1946 roku przy 2-gim Korpusie Gen. Andersa we Włoszech. Po roku wydawnictwo przenosi się do Paryża gdzie kontynuuje wydawanie pisma i książek, których większa część jest nielegalnie rozpowszechniana w Polsce i w innych krajach socjalistycznych.

Wydawnictwo „Kultura" wypuszcza jedno za drugim w świat najbardziej brudne, i agresywne antykomunistyczne paszkwile: „Krucjata bez krzyża" Koestlera; „Król jest nagi" Fasta, utwory Huxleya, Orwella, Fleminga. Specjalne miejsce przeznacza się trockistowskiej, prawo-socjalistycznej i tym podobnej „teoretycznej" literaturze. Tylko w ostatnich latach wydawnictwo opublikowało więcej niż 120 tomów. Stopniowo „Kultura" zdobywa sobie reputację jednego z większych antykomunistycznych wydawnictw.

Za jakie pieniądze to wszystko istnieje? Do 1949 roku „Kultura" była finansowana z funduszów 2-giego Korpusu gen. Andersa. Potem była zasilana dotacjami filii organizacji „Krucjata za wolność" — radiostacji „Wolna Europa". Jednakowoż przez 10 ostatnich lat, na które przypada szczytowy rozwój działalności „Kultury", jej firma nie schodzi ze stron ksiąg kasowych takich organizacji jak Fundacja Forda, Fundacja Rockefellera, „Fundacja Intelektualnej Wolności", „Komitet Wolnej Europy". Prawda, „Kultura" nie lubi ujawniać swoich dobroczyńców i nie przestaje w każdym numerze zwracać się do czytelników z prośbą o pomoc. Jednakowoż, w rzeczywistości, nie jest ona bynajmniej ograniczona w środkach. Tylko za jedną rezydencję w Maisons-Laffitte, gdzie obecnie okopał się sztab „Kultury", trzeba było w swoim czasie wyłożyć dziesięć milionów franków.

Naczelny redaktor pisma „Kultura", Jerzy Giedroyc, w przeszłości był blisko związany z polskim, burżuazyjnym wojskowym wywiadem. Ma on obecnie 58 lat. Nosi angielskie sportowe ubranie, w którego kieszeni leży francuski paszport. Na zachód dostał się razem z armią Andersa. Służył u Anglików. Obecnie służy Amerykanom.

Wśród współpracowników Giedroycia — ludzie z bardzo wątpliwymi biografiami: poczynając od politycznych awanturników i karierowiczów a kończąc na byłych agentach Abwehry i organizacji Gehlena.

Oto na przykład Konstanty Jeleński, publicysta i krytyk. Kieruje działalnością wydawniczą zgrupowania. Ma szerokie powiązania z licznymi amerykańskimi fundacjami i instytutami, które wykorzystuje się dla stworzenia finansowej bazy „Kultury". Jeleński — wybitny członek osławionego Kongresu Wolności Kultury, jaskrawo antykomunistycznej organizacji, stworzonej pod egidą Stanów Zjednoczonych.

Czołowy polityczny publicysta „Kultury" Juliusz Mieroszewski. Swoje artykuły podpisuje on wymownym pseudonimem: Londyńczyk. W jednym z

numerów „Kultury" (1/162) ten Londyńczyk dał następującę charakterystykę wydawnictwa z którym współpracuje:

„'Kultura' w swoich kolorowych okładkach robi wrażenie starannie i trochę staromodnie wydawanego pisma. Strona graficzna bardzo prosta i spokojna. Trudno zgadnąć że za taką zwykłą fasadą kryje się bynajmniej nie codzienna działalność".

„O tej zakulisowej i niezwykłej działalności bardzo trudno pisać, a jeszcze trudniej podać jakiekolwiek szczegóły — sili się na szczerość Londyńczyk. — Ale właśnie ta zakulisowa polityczna działalność określa rolę pisma".

Ma się rozumieć Mieroszewskiemu trudno nazwać niektóre rzeczy po imieniu. Jednakowoż znany na zachodzie ideolog „psychologicznej wojny" James Burnham okazał się bardziej szczery. Bez żadnych obsłonek pisze on jasno, że „Kultura" stała się czołowym centrum wywiadu. James Burnhama trudno podejrzewać o sympatie do komunizmu. Dlatego jego charakterystyka jest w tej samej mierze obiektywna jak i zabójcza.

W willi na paryskim przedmieściu uwili sobie gniazdo nie tylko ideologiczni dywersanci, ale i zawodowi szpiedzy.

S. GOLIAKOW

Listy do Redakcji

KILKA UWAG DO TEMATU „SLAWISTYKA W STANACH ZJEDN."

P. Zbigniew Grabowski w swoim liście do „Kultury" Nr 11/217 protestuje przeciwko pominięciu „Slawistów" jak Florian Znaniecki, Wacław Lednicki, Oskar Lange, i td. Żaden z tych wybitnych uczonych nie był i nie jest slawistą i choć niepomierne są zasługi, na przykład Znanieckiego, można by równie dobrze się dziwić dlaczego nie wspomniano wpływu Malinowskiego na antropologię amerykańską, albo innych polskich uczonych. Zarzut ten jest więc niesłuszny, ale słuszny jest natomiast ten, że pominięto polonistów: Kridla, Weintrauba albo Wiktora Erlicha, jednego z najzdolniejszych studentów Romana Jakobsona (syna działacza socjalistycznego, rozstrzelanego wraz z Alterem w Rosji Sowieckiej).

Sprawa rozwoju slawistyki w Ameryce zasługuje na pewne uzupełnienia. Wydział słowiański istniał jeszcze przed 2-gą wojną światową przy uniwersytecie Columbia, ale był tak szczupły, że stanowił tylko część wydziału języków północnych. Prof. Carl Menges, Niemiec, wybitny lingwista, specjalista od języka staro-cerkiewnego, pracował w obu wydziałach. Oprócz Mengesa był na Słowiańskim Wydziale Clarence Manning, który zaczął ulegać do tego stopnia wpływom skrajnie nacjonalistycznych kół ukraińskich, że stał sie bardem ukraińskich nacjonalistów i jedynym słowiańskim poetą był dla niego Szewczenko, zaś wzorem poezji „Hajdamacy". Nikt nie zaprzeczy piękności i liryki poezji Szewczenki, ale trudno oceniać całą poezję słowiańską wedle określenia w rodzaju „Lach, Żyd, sobaka wsio wira jednaka". Ta orientacja Manninga naturalnie izolowała go od środowiska słowiańskiego w Ameryce.

Był tam również A. P. Coleman. Rodowity Amerykanin, Coleman znał dobrze język polski, studiował w latach międzywojennych na uniwersytetach polskich. Położył on duże zasługi na polu polonistyki, gromadząc wokoło siebie dzieci polskich emigrantów w Ameryce. Ta druga generacja polska — dzieci chłopów czy robotników polskich w Ameryce — prawie nie znała polskiego języka i prawie że się wynarodowiła. Zasługą Colemana jest to, że tłumaczył i wydawał poezję polską, urządzał wieczory folklorystyczne i td. Był on też jedynym na Wydziale Słowiańskim, który miał studentów, a gdy ich liczba powiększyła się znacznie, powołał mnie na wykładowcę. Było to w 1942 roku, i naturalnie że wojna i pobór do wojska hamowały w pewnym stopniu rozwój studiów języka polskiego.

W pierwszych latach wojny powstał też w Nowym Yorku Wolny Uniwersytet Francuski (Ecole Pratique des Hautes Etudes). Pierwszym prezydentem tego uniwersytetu był profesor Perrin, a wykładowcami tacy uczeni jak Marcel Cohen, Coiré i niedawno zmarły profesor Gorwicz. Przy tym uniwersytecie wraz z belgijskim profesorem Gregoire prowadził słowiańsko-bizantyńskie seminarium Roman Jakobson. Między innymi i ja brałam w nim udział.

Gdzieś pod koniec wojny, Roman Jakobson został powołany na Columbię i od razu energicznie zabrał się do reorganizacji Wydziału Słowiańskiego. Sprowadził prof. Ernesta Simmonsa z Cornell University gdzie już istniały kursy dla żołnierzy; Simmons miał swoich wykładowców — przeważnie bez akademickiego wykształcenia i zabrał ich ze sobą na Columbię. Bardzo zdolny administrator, Simmons szybko rozwinął kursy języka rosyjskiego, na które zaczęli napływać słuchacze w przewidywaniu zmiany polityki pro-rosyjskiej podczas wojny na gorszą po wojnie, State Department wysyłał przyszłych dyplomatów, dla poznania języka rosyjskiego. Wielu z tych studentów jest jeszcze dotąd na dyplomatycznych stanowiskach tak w Rosji Sowieckiej jak i w krajach satelickich.

Studentów zatem było dużo i z nich wkrótce wyłoniła się grupa slawistów, doktorantów, którzy kierowali się na przyszłych profesorów slawistyki. Dla nich przepisy uniwersytetu przewidują oprócz głównego języka rosyjskiego — znajomość pomocniczego, to znaczy drugiego języka słowiańskiego. Toteż kursy polskie wkrótce zapełniły się tymi przyszłymi slawistami, którzy są obecnie kierownikami na wszystkich wielkich uniwersytetach Ameryki.

Roman Jakobson sprowadził też z Danii rektora uniwersytetu w Aarhus, członka Polskiej Akademii Nauk, Stendera-Petersena. Wykłady Petersena szybko zaczęły cieszyć się ogromnym powodzeniem, tak że Columbia zaproponowała mu stałą katedrę na słowiańskim wydziale. Petersen przyjął propozycję i wrócił do Aarhus dla zlikwidowania swoich spraw. W międzyczasie jednak Departament Stanu odmówił mu wizy wjazdowej stwierdzając, że Petersen uczestniczył w zjeździe slawistów w Leningradzie. To były już czasy powojennej histerii w Ameryce, tak zwanego maccartyzmu. Niektórym Amerykanom trudno było zrozumieć, że Duńczyk może jechać dokąd chce i że slawista będzie brał udział w zjeździe, gdziekolwiek ten zjazd by się nie odbywał. Sprawa Petersena wywołała ogólne oburzenie w prasie i Eisenhower, który był wtedy prezydentem Columbii, osobiście interweniował w State Department. Na skutek tej interwencji udzielono wizy Petersonowi, ale on oświadczył, że rezygnuje z profesury na Columbii i że nie ma zamiaru żyć w kraju, gdzie nauką kieruje polityka dnia.

Z inicjatywy Jakobsona rząd polski postanowił otworzyć przy Columbii Katedrę Mickiewiczowską. W Ameryce przyjęte są tzw. „Endowed chair", czyli katedry subsydiowane przez rząd zagraniczny. Jakobson zaproponował na tę katedrę Kridla, który w tym czasie wykładał literaturę słowiańską w Smith College. Zdawałoby się, że tę katedrę powinien był objąć Coleman, profesor Columbii, ale Polacy zamierzali albo obsadzić tę katedrę profesorem z kraju — proponowali Lehra-Spławińskiego — albo, w razie odmowy ze strony Ameryki, powierzyć kierownictwo profesorowi z europejskim stażem. Toteż Kridl najbardziej był tu odpowiedni i chętnie przyjął katedrę. Dla Kridla było to spełnienie jego życzeń, mianowicie założenie polskiej placówki naukowej, a specjalnie katedry Mickiewiczowskiej przy jednym z największych uniwersytetów Ameryki. Toteż pracował wyłącznie w tym kierunku, zupełnie nie interesując się motywami politycznymi. A nie brakło takich, nawet wśród oświeconych Polaków, którzy nazywali go bolszewikiem. Dla przykładu jak dalece Kridl kierował się tylko nauką, przytoczę jedną z nim rozmowę. Gdy zaczęto wydawać w Polsce książki Kridla (już nie pamiętam o jaką chodziło), z oburzeniem pokazał mi, że zmieniano bezceremonialnie tekst, który nie odpowiadał nowej władzy. Na moją uwagę,

że przecież to jest cenzura dyktatury, Kridl spojrzał na mnie i powiedział: „Co? Przecież tu chodzi o naukę". Tak, jemu chodziło tylko o naukę.

W tym czasie dr Ludwik Krzyżanowski był wykładowcą na kursach wojskowych, tak zwanych Army Language Courses w Monterey w Kalifornii. Dowiedziawszy się o nowej katedrze przy Columbii prosił Kridla, by go sprowadził. Kridl, zakłopotany, opowiedział mi o tym. Odpisał Krzyżanowskiemu, że niestety żadnych funduszów nie ma, bo opłacany jest tylko on jeden i że na Wydziale Słowiańskim nie ma miejsca na drugiego wykładowcę, bo jest już jeden w mojej osobie. Gdy jednak Krzyżanowski nalegał, Kridl zwrócił się do kierownika wydziału, Simmonsa. Simmons był stanowczo przeciwny, motywując, że dr Krzyżanowski nie jest slawistą i że, co najważniejsze, nie zna rosyjskiego języka. Jak już powiedziano wyżej, dla grupy studentów — przyszłych lingwistów, czy studiujących porównawczą literaturę słowiańską — którzy brali polski język jako drugi konieczny był wykładowca, który znał język rosyjski.

Polskie kursy opustoszały jeszcze przed przybyciem prof. J. Krzyżanowskiego. Nie należały one w ogóle do Wydziału Slawistyki a jedynie były częścią tak zwanych *General Studies*, to znaczy kursów popularnych, dla których nie wymagano żadnego przygotowania akademickiego. Kursy te były (i są) opłacane w zależności od liczby studentów. W chwili przybycia Krzyżanowskiego studentów prawie już nie było gdyż Coleman — mimo perswazji ze strony Simmonsa i Jakobsona — zrezygnował po nominacji Kridla z wykładów na Columbii, które prowadził przez prawie ćwierć wieku. Odchodząc naturalnie zabrał ze sobą całą swoją „klientelę". Drugim — jeszcze cięższym ciosem dla Wydziału Słowiańskiego było przyjęcie przez prof. Jakobsona katedry słowiańskiej na uniwersytecie w Harvard. Z Jakobsonem opuściła Columbię większość jego studentów, to jest doktorantów, którzy uczęszczali również na kursy polskie.

Slawistyka rozwinęła się bardzo szybko na uniwersytecie w Harvard, a potem także i na innych uniwersytetach jak np. w Chicago, Seattle i td. pod kierownictwem uczniów Jakobsona. Kursy polskiego rozwijały się dobrze na uniwersytecie w Wisconsin, co jest zasługą prof. Edmunda Zawadzkiego; miał on duże pole działania z dwóch powodów: uniwersytet w Wisconsin jest uniwersytetem stanowym, a w stanie Wisconsin jest b. wielu Polaków.

Po śmierci Kridla niestety skończyła się także i Katedra Mickiewiczowska. Często się zdarza że „Endowed Chair" trwa krótko ale w tym wypadku uniwersytet Columbia chętnie by ją był kontynuował; godzono się nawet na to, aby profesora przysłano z Warszawy. I rzeczywiście na krótki okres czasu przyjechał jeszcze prof. Julian Krzyżanowski, nie było jednak mowy aby kogoś na stałe wysyłano z Polski. Niewątpliwie najważniejszym powodem końca katedry Mickiewiczowskiej był brak pieniędzy w Polsce czy też względy polityczne, które podyktowały polecenie wstrzymania sybsydium na ten cel. Mówiło się również o tym, żeby na miejsce prof. Kridla mianować Wiktora Erlicha. Uniwersytet Columbia wyraził na to swoją zgodę, ale Erlich nie chciał rzucać katedry literatury rosyjskiej, która była jego specjalnością. Poza tym było wątpliwe aby Polska zgodziła się na tę kandydaturę.

Dr E. K. BERNAUT

◆

Paryż, kwiecień 1966.

Drogi Panie Redaktorze,

W „Kulturze" (nr 11/217; listopad, 1965), ukazał się mój artykuł, poddający krytyce działalność p. Józefa Wulfa. Ten ostatni zareagował na to naprzód — gorączkową i niezwykłą rozsyłką (na kilka kontynentów, do różnych instytucji i osób) nie tylko b. osobliwych pism, ale nawet b. wynalazczo skomponowanego zbioru wycinków, fotokopii i tp., potem — otwartym listem do Redakcji „Kultury" (nr 4/222).

Rodzaj argumentów zastosowanych w lawinie tych wypowiedzi, uroczy zestaw użytych w nich cytatów oraz niemniej uroczy sposób powoływania się na to co p. Wulf nazywa dokumentami, czarująca rozmaitość i oryginalność jego własnych zapodań, słowem — cały ten eruptywny mechanizm prosi się o rzeczowe oświetlenie i wyświetlenie: jako zjawisko.

Ponieważ, oprócz b. długiego i ujmująco wynalazczego listu p. Wulfa, zamieszczonego w Pańskim Piśmie, chodzi — jak z tego wynika — o całą kaskadę innych jego tekstów i załączników w tej samej sprawie, również ja widzę się — w rezultacie — zmuszony rozszerzyć moje wyjaśnienie m.in. o pewną liczbę szczegółów, których nie było w moim artykule. Z tych i innych powodów, nie ma ani przyczyny ani podstawy zajmować tym wszystkim miejsce akurat w „Kulturze".

Mój wyjaśniający artykuł w tej materii ukazuje się zatem drukiem osobno, poza „Kulturą". Ci Czytelnicy, których interesuje ta zabawna sprawa, otrzymają go bezpłatnie, przesyłając mi po prostu ich adres. W tym celu pozwalam sobie podać — na ich użytek — mój.

Łączę najlepsze pozdrowienia,

Michał BORWICZ
67, Bd. Vaugirard, Paris (XV^e^)

◆

Londyn, 14. IV. 1966.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nie mógł lis dosięgnąć winogron, więc powiedział, że kwaśne. Ale nie napisał o tym eseju „socjologicznego", tak jak p. Brodziński w kwietniowej *Kulturze* (O indukcji w izolacji), bo był to głupi lis, który nie przekonał nikogo i nie dostanie autorskiego honorarium. P. Brodziński natomiast może być pewny, że i honorarium dostanie — gdyż *Kultura* je zawsze skrupulatnie wypłaca — i przekona pewną ilość ludzi dawno już przekonanych, tj. takich, którzy swego czasu też mieli chętkę, lecz nie mogąc dosięgnąć orzekli, że kwaśne. Zaś my, biedne winogrona, czyli grupa poetycka *Kontynentów*, której dwie antologie posłużyły p. Brodzińskiemu za pretekst do tej dziwnej jego „socjologii" gdzie wszystko in universum zdaje sprowadzać się albo do wyścigu szczurów albo ucieczki od rzeczywistości — cóż mamy powiedzieć na swoją obronę? Bo my, zdaniem tego „socjologa", uciekliśmy od rzeczywistości — chociaż zupełnie negatywny, napastliwy ton eseju, w którym autor, nie bawiąc się w żadne nonsensy, takie np. jak fakty i kryteria rzeczowej krytyki literackiej, wygłasza o nas jak najbardziej absolutne sądy etyczne i estetyczne, wskazywałby, że wcale nie o to mu chodzi, że nie tutaj leży jego socjologiczny pies pogrzeban. Może by tak trochę socjologii tejże „socjologii"? Gdyż nam wydaje się, że nie tyle uciekliśmy od rzeczywistości, co od p. Brodzińskiego, który swego czasu okrutny miał na nas apetyt i wcale się z tym nie ukrywał, że pragnie czym prędzej przerobić nas na swoje polityczne bobki w *Kontynentach*.

Pamiętam jak dziś zebranie *Kontynentów*, których p. Brodziński jest obecnie jednym z *de facto*, chociaż nie *de nomine*, redaktorów. Zwabiono na

nie parę osób z dawnego, założycielskiego zespołu tego pisma, z których wszystkie, oprócz jednej, figurują w obu antologiach. Zebranie odbywało się pod hasłem „Jak ożywić Pismo?". Przemawiał p. Brodziński, kadził i kaptował, roztaczał widoki i snuł plany. Zaś w miarę jak przemawiał rzedły nasze miny i zaczęło robić się nam tęskno ku chacie. Jeden, najmłodszy i najsprytniejszy, ulotnił się zaraz pod pretekstem jakiejś tam nagłej potrzeby. Inni dopiero po niewczasie zaczęli przypominać sobie czekające ich ostatnie pociągi, zazdrosne żony, niecierpiące zwłoki ważne interesa na mieście. Ostatniego, najstarszego i najbardziej naiwnego, który pozostał aby uzasadniać stanowisko kolegów, tłumaczyć, że *vita brevis ars longa*, a my jednakże mamy się za poetów czy się to komu podoba czy nie, wręcz, i to dość bezceremonialnie, wyproszono.

Nasz brak zainteresowania takimi wyżynami Ducha jak wiecowanie w Ymce, rozróby emigracyjne, personalia, stan emigracyjnej kasy oraz dochodzenia kto i w jakich kwotach zasila sobie z niej swoją starczą pensję, został widocznie poczytany nam za czysty objaw megalomanii i (po latach) „socjologicznie" rozpracowany w *Kulturze*. Dlaczego właśnie w *Kulturze?* Jasne! Przecież tam wysyłamy nędzne *fructa* tejże megalomanii w postaci wierszy, esejów literackich, przekładów, które *Kultura* drukuje albo (jeśli przyjąć pretensje p. Brodzińskiego do literaturoznawstwa za dobrą monetę) z litości, albo z kompletnego braku rozeznania, więc tam należało się z nami rozprawić.

A dobrze nam tak! Mogliśmy spokojnie działać na niwie pod batutą p. Brodzińskiego w *Kontynentach* i wyjść na mężów stanu, lecz okazaliśmy się zbyt mali, zbyt próżni, całkiem niegodni. A laurku poetyckiego, chociażby takiego ciut-ciut maleńkiego, też nie dostaniemy. Już w tym „socjologia" p. Brodzińskiego!

Łącząc wyrazy prawdziwego szacunku,

Jan DAROWSKI

◆

Berkeley, February 14, 1966.

Dear Sir,

The article „Katedra literatury polskiej w Chicago" which appeared in the Nov. 1965 issue of „Kultura" includes a brief account of Polish studies in the United States. I believe that you and your readers would wish to have some lacunae in this survey called to your attention.

Studies of Polish literature in this country reached a turning point at the beginning of World War II with the arrival here of two eminent scholars who are not mentioned in the article: Wacław Lednicki, Professor of the Jagellonian University, and Manfred Kridl, Professor of Stefan Batory University.

Wacław Lednicki was a Visiting Lecturer at Harvard University from 1940 to 1944 and at the same time *professeur agréé* at Ecole Libre des Hautes Etudes in New York. A Visiting Professor at the University of California at Berkeley in 1944-1945, Professor of Slavic Languages and Literatures since 1945, he served for seven years as Chairman of our Department which, in its present form, is to a considerable extent the result of his work. We at the University of California take considerable pride in the fact that from its beginnings some sixty years ago this Department has concerned itself with the whole Slavic speaking area, and that for some

two decades courses in Czech, Polish and Serbo-Croatian literatures have been a regular part of the curriculum. And we take pride too in the role which Professor Lednicki, a scholar of rare achievements and erudition, has played in enlarging the scope of Slavic studies not only on this campus but throughout the United States, by means of his courses in Russian and Polish literatures and his many distinguished books and articles which are doubtless known to you and your readers.

Professor Emeritus since 1959, Wacław Lednicki was awarded in 1963 the degree of Doctor of Laws by the Regents of the University of California. May I quote from their statement: „Internationally recognized as one of the world's leading scholars and teachers in Slavic Languages and Literatures. A perceptive critic and sensitive interpreter of literature, his work evinces an informed and sustained interest in the problem of interaction between the Slavic world of his birth and the new world of his adoption. Member of the Polish Academy, honorary Professor of the Brussels University, Professor Emeritus of the University of California and former Chairman of this Department, which has established the Wacław Lednicki Lectures in his honors. We salute today an erudite and sophisticated scholar who has served Western learning well by establishing here the highest standards in Slavic Studies".

Since 1960 Polish literature has been taught at this University by the distinguished poet and man of letters, Professor Czesław Miłosz, while Polish language is taught by two instructors. Another senior member of our Department, Professor Francis J. Whitfield, is co-author of the notable Kościuszko Foundation English-Polish and Polish-English Dictionaires. Thus the tradition of Polish studies at the University of California continues vigorous and prosperous.

I should like to add a word about my former teacher, the late Professor Manfred Kridl, who taught in this country first at Smith College and then at Columbia University, where from 1948 until his retirement (I believe in 1956) he was Adam Mickiewicz Professor in the Department of Slavic Languages and Literatures. A kind and generous mentor to his pupils as well as a fine literary *savant* Professor Kridl will be long remembered by his students for his profound commitment to the highest principes of intellectual integrity and scholarly inquiry.

Yours sincerely,

Kathryn B. FEUER
Acting Chairman

◆

22 marca 1966 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Dopiero po wydostaniu się z Polski, mogę zaprotestować przeciwko zarzutom, jakie postawił mnie prof. St. Kot w swojej książce pt. „Listy do gen. Sikorskiego". Prof. St. Kot m.in. użył mojej osoby dla atakowania gen. K. Sosnkowskiego. Zmyślona przez prof. St. Kota historyjka brzmiała następująco: Gen. K. Sosnkowski — jak sugeruje Kot — dawał Edwardowi Puaczowi tajne dokumenty, dotyczące układu gen. W. Sikorskiego z Rosją, które E. Puacz powielał i kolportował w wojsku w celu skompromitowania polityki gen. W. Sikorskiego. Następnie, tenże Puacz, twierdzi St. Kot, miał się okazać agentem sowieckim. Chwyt machiawelski.

Na potwierdzenie tych insynuacji prof. St. Kot przytacza dwa „dowody". Jeden — że zostało „oficjalnie" stwierdzone, iż odpisy tajnych dokumentów o układzie polsko-sowieckim z 1941 r., kolportowane w wojsku w Szkocji, były odbijane w znanej „kuźni Puacza, na jego słynnej maszynie" oraz, że Puacz okazał się agentem komunistycznym, działającym na polecenie funkcjonariusza Ambasady sowieckiej w Londynie, którego Kot wymienia z nazwiska, jako że miał tam wielu znajomych.

Wszystko to zostało zmyślone przez prof. Kota.

Z gen. K. Sosnkowskim rozmawiałem w życiu ze dwa razy. Raz w 1940 r. kiedy byłem sekretarzem gen. L. Żeligowskiego i mówiliśmy o sprawach Komitetu Słowiańskiego, który się nie podobał gen. K. Sosnkowskiemu. Drugi raz byłem u gen. K. Sosnkowskiego z delegacją zarządu historycznego Towarzystwa Polskiego w Londynie w początkach 1941 r. Po układzie gen. Sikorskiego z Rosją nie widziałem się z gen. K. Sosnkowskim i oczywiście nigdy, żadnych dokumentów od niego nie otrzymywałem.

Ale doskonała prowokacja jest tak samo trudna jak doskonała zbrodnia. I właśnie sam prof. Kot. dostarcza dowodów swojego kłamstwa. Twierdzi on, że było ustalone. iż kolportowane w wojsku odpisy dokumentów kompromitujące politykę Sikorskiego wobec Rosji były odbijane na mojej znanej maszynie do pisania. Otóż istnieją po bibliotekach i archiwach zarówno redagowane przeze mnie w latach 1940-45 biuletyny prasowe (pisane na mojej maszynie) jak i oryginalne ulotki kolportowane wśród wojska na temat umowy gen. Sikorskiego z Rosją. Jeszcze dzisiaj więc (a także i za 10 lat) można dokonać ekspertyzy i stwierdzić czy prof. St. Kot mówił prawdę. Ekspertyza czcionek na to odpowie.

Drugi zarzut, jakobym od „służby" dla gen. K. Sosnkowskiego przeszedł na „służbę" ambasady sowieckiej był potrzebny prof. Kotowi przede wszystkim jako strzał w stronę swoich głównych przeciwników. Ale sam w to nie wierzył i dał tego dowód starając się w 1944 nawiązać ze mną kontakt i wpływać na zmianę mojego stanowiska wobec KRN i PKWN. Czynił to za pośrednictwem znanego ludowca dra Jana Jaworskiego i dra W. Majewskiego z b. Min. Informacji — obaj jeszcze żyją w Londynie. A trudno będzie im zaprzeć, bo mam ich oświadczenia z tamtych czasów. Dodam od siebie, że do chwili powrotu do Polski w 1945 r. nie znałem ani nie widziałem na oczy żadnego funkcjonariusza jakiejkolwiek ambasady, czy władzy sowieckiej. Nigdy nie byłem i nigdy nie podawałem się za komunistę. Jestem demokratą i socjalistą z PPS. W moim przekonaniu powrót do kraju w 1945 r. był obowiązkiem patriotycznym, niezależnie od ofiar, jakie mógł pociągać, i tego poglądu nie zmieniłem.

Jakkolwiek prowokacja prof. St. Kota nie była spreparowana idealnie, lecz wystarczyła na użytek różnych osób. Pierwszy wykorzystał ją w Polsce późniejszy minister Spraw Wewnętrznych i szef. U.B. p. Władysław Wicha, który nie uwierzył Kotowi, iż byłem agentem sowieckim, ale uwierzył, że byłem agentem gen. Sosnkowskiego. Przeszedłem ok. 20 badań w UB jeszcze za czasów Radkiewicza i byłem 2 lata pod śledztwem — wszystko na skutek donosów Kota, na którego powoływał się mój oskarżyciel p. W. Wicha.

Inaczej wykorzystano prowokację prof. Kota na emigracji. Tu różni autorzy — korzystając z bezbronności człowieka zza żelaznej kurtyny — jak np. W. Pobóg Malinowski, amb. Raczyński, A. Romer i inni — zajęli się drugą częścią oskarżeń prof. Kota o wyimaginowanej służbie dla Sowietów. Pod względem rzetelności oskarżeń i poczucia odpowiedzialności za potępienia mogą oni iść ręka w rękę z p. W. Wichą.

To nie pierwszy przypadek intrygi i prowokacji w karierze politycznej prof. Kota. Wielu poważnych polityków stawiało mu podobne zarzuty i pod tym względem opinia w kraju i na emigracji jest jednolita. Pamiętam, dawno już, jak spotkałem się w Milanówku z prof. Leopoldem Jaworskim, którego uczniem był p. St. Kot i który tak scharakteryzował prof. Kota: — „uważam Stanisława Kota za naukowca w skali europejskiej a polityka w skali Tarnowa". Uświadomiłem sobie całą słuszność tej opinii w 1944 r. kiedy w londyńskiej Radzie Narodowej Arka Bożek zapytał prof. Kota czemu dokucza Puaczowi i otrzymał taką odpowiedź: — „źle mówiła o nim moja koleżanka uniwersytecka z Krakowa prof. Wilman-Grabowska, która była jego teściową". Tak to się poczynają insynuacje u polityków z poziomu powiatu lub parafii. A później — w warunkach kontrowersji politycznych — toczy się lawina zarzutów i podejrzeń, której może nie jest w stanie przewidzieć polityk w skali Tarnowa.

Dopiero po wyjeździe z Polski przeczytałem większość bredni wypisywanych na emigracji na temat mojej, tak mało znaczącej osoby, i po wielu latach mam dopiero teraz możliwość odwołania się do pięknych tradycji „Kultury" paryskiej, której Redaktora proszę, by ten list zamieścił.

Edward PUACZ

◆

Londyn, 13 kwietnia 1966 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W kwietniowym numerze „Kultury" ukazał się list pani W. Janta-Połczyńskiej, która protestuje przeciwko mojej negatywnej ocenie działalności dra Józefa Retingera, jaką wypowiedziałem w artykule „I beg to differ" w grudniowym numerze „Kultury".

Pani Janta-Połczyńska twierdzi, że dr Retinger działał w „interesie Polaków", a ja napisałem, że działał „na niekorzyść Polaków". Wygląda, że tu nie tyle chodzi o samą działalność dra Retingera, co o określenie polskiej racji stanu w okresie drugiej wojny światowej, w świetle której ta działalność jest oceniana. Jest to zagadnienie zbyt obszerne, żeby je poruszać w liście do redakcji.

Natomiast piszę ten list po to, żeby zaprotestować przeciwko naświetleniu krótkiego epizodu z życia dra Retingera w początku 1944 r., który pani Janta-Połczyńska przytacza jako jedną z największych zasług i pisze: — „mając lat blisko 60 zrzucony został jako skoczek spadochronowy do okupowanej Polski, gdzie przez prawie pół roku dzielił los swojego narodu w pracy podziemnej, płacąc za to zdrowiem przez resztę życia". Nie chciałbym, żeby czytelnicy „Kultury", którzy w sprawach krajowych w okresie wojny nie są „oblatani", zostali pod wrażeniem tego ujęcia i pragnę umożliwić spojrzenie na te sprawy pod nieco innym kątem.

Techniczną stroną zrzucenia Brzozy (pod takim pseudonimem dr Retinger leciał) załatwiał, tak samo jak w wypadku wszystkich wojskowych i cywilnych skoczków, Oddział Specjalny Sztabu Nacz. Wodza. Jednak w tym wypadku osoba cywilnego zrzutka Brzozy została tak silnie zakamuflowana, że nawet ppłk. dypl. Marian Utnik, alfa i omega Oddz. Specjalnego, któremu były znane bez porównania większe tajemnice, nie wiedział kto się kryje pod tym pseudonimem.

W styczniu 1944 r. Brzoza został przerzucony do Bazy Oddz. Specjalnego we Włoszech i tam oczekiwał na zrzut do Polski. Zimą warunki atmosferyczne nie sprzyjały lotom nad Polskę i Brzoza został zrzucony dopiero w nocy z 3 na 4 kwietnia 1944 r.

W międzyczasie ppłk. Utnik przyleciał na inspekcję Bazy i ku swemu zdziwieniu stwierdził, że Brzoza, to dr Retinger, którego znał z widzenia. Zaalarmował natychmiast Naczelnego Wodza gen. Sosnkowskiego, zapytując,

czy ma dra Retingera zatrzymać, czy też przymknąć oczy i dopuścić do zrzutu. Nacz. Wódz nakazał zaniechać wszelkiej interwencji. Bądź co bądź Brzoza był emisariuszem Premiera.

Warto nadmienić, że w tym okresie ppłk. Utnik zajmował stanowisko antyugodowe i był jednym z głównych działaczy tajnej organizacji młodszych oficerów. Później przeszedł on stopniowo na orientację prougodową pod wpływem gen. Tatara, który przybył z kraju do Londynu pod koniec kwietnia 1944 roku.

Wiadome mi jest, że w tym czasie oficer z otoczenia ppłk. Utnika zwracał się do jednego z polskich księży w Londynie z prośbą o naświetlenie moralnego aspektu ewentualnego zgładzenia dra Retingera. Musiała więc powstać w sztabie N.W. tego rodzaju sugestia, nad którą się zastanawiano. Wreszcie został wysłany do kraju, a konkretnie do płk. dypl. Iranka-Osmeckiego, który był szefem AKowskiej „Dwójki", telegram nakazujący zgładzenie dra Retingera jako upozorowaną robotę Gestapo. Telegram ten podpisał płk. dypl. Franciszek Demel.

Kilka miesięcy temu miałem okazję zapytać płk. Demela, czy ten telegram podpisał z rozkazu Nacz. Wodza? Płk. Demel odpowiedział mniej więcej w ten sposób. — „Pytanie to świadczy o nieznajomości gen. Sosnkowskiego. Tego rodzaju postępowanie było absolutnie sprzeczne z kodem moralnym Generała, który w żadnym wypadku nie wydałby takiego rozkazu. Telegram ten podpisałem na własną odpowiedzialność będąc świadom tego, że w razie gdyby cała sprawa wyszła na jaw konsekwencje służbowe w stosunku do mnie mogły być bardzo poważne".

Należy zwrócić uwagę na to, że uśmiercanie pewnych ludzi bez wyroku sądu, było rzadkością nawet w stosunkach polskich i nawet w konspiracji w czasie drugiej wojny światowej. Inicjatorzy tego rozkazu musieli więc uważać dra Retingera za wybitnego szkodnika skoro zdecydowali się na tego rodzaju krok. Można mieć taką lub inną opinię o słuszności ich decyzji, ale nie ulega wątpliwości, że działali oni z pobudek patriotycznych i niepodległościowych.

Ten telegram płk. Demela przeszedł przez Oddz. Specjalny bez trudności i dotarł do A.K. drogą radiową. Sprawa wykonania nakazu znalazła się na na wokandzie Sztabu Komendy Głównej A.K., gdzie zapadła decyzja, iż rozkaz ten nie zostanie wykonany. Trudno się dziwić tego rodzaju postawie góry AKowskiej, która usilnie dbała o prawomocność wyroków śmierci wykonywanych przez jej organy.

Życie dra Retingera zostało uratowane, ale A.K. wcale nie uprzy uprzyjemniała Salamandrowi, jak się teraz nazywał, pobytu w kraju. Znany jest fakt odstawienia Salamandra w początku czerwca 1944 r. do innego lądowiska, niż to z którego miał go zabrać samolot z powrotem do Włoch. Ta „omyłka" spowodowała uziemienie Salamandra w kraju do końca lipca 1944 roku. Wreszcie odleciał on do Włoch w nocy z 25 na 26 lipca 1944 roku. Również zdarzył się inny wypadek. Żołnierze A.K. przewozili Salamandra bryczką z jednej miejscowości do drugiej. Bryczka wywróciła się i pasażer wpadł do wody, a było to wczesną wiosną. Któż potrafi teraz stwierdzić, czy to był rzeczywisty przypadek, czy próba pozbycia się niepożądanego gościa, czy też jedynie „utrudnianie". W każdym razie polska wiosenna woda okazała się mniej łaskawa niż polska ziemia, przy zderzeniu z którą dr Retinger zwichnął sobie nogę i woda do której wywróciła się bryczka przyczyniła się głównie do nadwerężenia zdrowia, o czym wspomina pani Janta-Połczyńska.

Po powrocie do Londynu dr Retinger stwierdził, że polska inteligencja została już wymordowana, robotnicy znikli z miast, a pozostał jedynie lud rolniczy. I wyciągał wniosek, iż w tej sytuacji jedynie Stronnictwo Ludowe ma prawo zabierania głosu w imieniu narodu polskiego.

W takich oto okolicznościach dr Retinger „przez prawie pół roku dzielił los swojego narodu w pracy podziemnej" jak to zgrabnie sformułowała pani Janta-Połczyńska.

Pozostaję z szacunkiem,

Z. S. SIEMASZKO

P.S. W liście tego rodzaju pisanym na chybcika trudno jest podawać na każdym kroku źródła, z których zaczerpnąłem wiadomości. Jeżeli ktoś się tymi sprawami interesuje to warto zajrzeć do Pobóg-Malinowskiego „Najnowsza Historia Polityczna Polski 1939-1944", Skarżyńskiego „Polityczne przyczyny Powstania Warszawskiego", Zaremby „Wojna i konspiracja" i Korbońskiego „W imieniu Rzeczypospolitej".

◆

High Wycombe, kwiecień 1966.

Szanowny Panie Redaktorze,

Winszuję wydania i opracowania marcowego numeru „Kultury", poświęconego przeważnie omówieniu wyników ankiety o stosunku czytelników do religii.

Plon odpowiedzi, rozległość poruszanych zagadnień w zupełności usprawiedliwia nakład pracy i kosztów związanych z tym niecodziennym wydarzeniem kulturalnym w naszej prasie emigracyjnej.

Chciałbym przy okazji wyrazić słowa uznania dla opanowanego, racjonalnego stanowiska Juliusza Mieroszewskiego, zwolennika stanowiska „zdrowego rozsądku" i „uczciwości intelektualnej", „każącej nam opowiadać się za prawdą nawet wbrew dogmatom religijnym". Mieroszewski w sposób prosty i jasny zauważa, że „Kościół to są ludzie danej epoki uformowani poglądem naukowym swego czasu".

Uświadomienie sobie faktu, że człowiek może do pewnego stopnia kontrolować procesy natury i przez poszerzanie swej wiedzy powoli odczytywać prawa i zasady rządzące naturą, otworzyło drogę do ulepszania życia ludzkiego. Zbawienie człowieka przez człowieka przestało być ideałem, stało się rzeczywistością. Każdy rok przynosi nowe zdobycze wiedzy i pogłębienia znajomości ludzkiej natury. Ten niezaprzeczalny postęp zaostrza równocześnie świadomość człowieka wobec otaczającej go tajemnicy kosmosu. Nie wolno nam jednak zapomnieć, że postawa naukowego racjonalizmu skierowała wysiłki człowieka do podniesienia poziomu życia w skali nienotowanej w ubiegłych wiekach. Wpływ osiągnięć naukowych na postawę człowieka do ludzkiego rodzaju jest niezaprzeczalny. Jest dowodem ważnej fazy intelektualnej ewolucji. Wyraźnie zdaje sobie sprawę człowiek współczesny, że granice wiedzy stale się przesuwają. Całe dziedziny oczekują rozwinięcia, pogłębienia, nowych narzędzi poznania, by można zaryzykować próbę odpowiedzi na pytanie: Człowiek, cały człowiek, co to znaczy?

Zapewne wszystkie religie, w szczególności wielkie, były krokiem naprzód w historii rozwoju człowieka. Buddyzm, Judaizm, Chrześcijaństwo i Islam stanowiły znaczny rozwój i polepszenie w stosunku do lokalnych kultów pogańskich, choć nie w stosunku do pogańskiej filozofii. Są różnymi etapami rozwoju idei Boga. Jak każda ideologia, sformułowana przez człowieka nie mogą pretendować do pozycji ostatecznej, absolutnej prawdy.

Dziś nowoczesny człowiek nie godzi się biernie z wojną, pomorami, zarazami, bezlitosnymi kodeksami karnymi, jako wyrazami woli Boga — rezul-

tatem upadku człowieka — grzechu pierworodnego. Były zjawiskami z tego świata, który zresztą przemija. Dopiero z rozwojem myśli naukowej człowiek zaczął decydująco występować w obronie swej wolności i podnoszeniu poziomu życia.

Droga człowieka jest jeszcze długa, pełna załamań i wahań. Wszystko we wszechświecie od komórki po gwiazdy ma pewien okres rozwoju, życia, by rozwiązać swe ewolucyjne przeznaczenie. Całe zastępy stworzeń zjawiły się i przepadły bez odnalezienia ostatniego słowa. I człowieka może to również spotkać. Lepiej z pokorą człowiekowi patrzyć w księgę przyszłości.

Bo choć umysłowi ludzkiemu może uda się wniknąć daleko w tajemnice otaczającego kosmosu i samego życia, to przecież umysły nasze są tylko iskrami, błyszczącymi niepewnie w ciemnych otchłaniach wszechświata.

Bogdan ZNOWSKI

© Copyright by Institut Littéraire, 1966.

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London. W. 4. — Telefon: CHIswick 1860

◆

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 387456.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal 2e Trimestre 1966.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	75 cent.	4,20 rand	8,00 rand
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	10 sh. (A)	£ A. 2.13.00	£ A. 5.00.00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien III, Salesianergasse Nr. 2 (Internationale Leih-Bibliotek, godz. 19-21).		145 szyl. a.	280 szyl. a.
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20	60,00 F. b.	300,00 F. b.	560.00 F. b.
BRAZYLIA : Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221 s. 1203, Cx. Postal 30.750, Sao Paulo, tél. : 35-5584.			
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w ksiegarniach polskich w Paryzu	5,00 F.	26,00 F.	50,00 F.
HOLANDIA : M. Barczyk, P. Calandlaan 50, Amsterdam; tél. 153311; Konto pocztowe Nr 617512.	4,00 Fl. h.	22,00 Fl. h.	41,00 Fl. h.
KANADA : M. Jaxa-Debicka, Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., **K. Krakowska,** 2318 Hingston Ave. N.D. de G. Montreal/Queb., Tél. : HU 8-5224 ; **M. Krol,** 781 Beaverbrook, Winnipeg, Man. ; **« Zwiazkowiec »,** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; **W.T. Drymmer,** 31, Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407. **S. L. Lemanski,** 273 1/2 Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man.	1,50 $ Can.	8,00 $ Can	13,00 $ Can.
NIEMCY : St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4,50 DM	24,00 DM	46,00 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5,50 F.	28,00 F.	54,00 F.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	4,75 F. s.	25,00 F. s.	48,00 F. s.
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm.	6,00 Kor.	30.00 Kor.	58,00 Kor.
U.S.A. : J. Bienkowski, 627 Tracy St. Utica, N.Y. 13502; **S. Dobczynski, Alma Shipping Co,** 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; **L. Dudarew-Ossetynski,** 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; **S. Dziarczykowski,** 2402 Cheremoya Ave., Hollywood 46, Cal.; **M.K. Dziewanowski,** 41 Katherine Rd., Watertown, Mass. 02172 ; **T. Konopacki, 11839** Edgewater Dr., Cleveland, Ohio 44107 **Ch. M. Kretowicz,** 4477 Wilson Ave., San Diego, Cal., 92116; **V.B. Kwast,** 376, Wallingford Terr. Union, N.Y. 07083; **Polish Amer, Book Co,** 1136 Milwaukee Av., Chicago III. 60622; **E. Posyniak,** 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; **Praca,** 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; **The Polish Book Importing Co,** Inc., 156 Fifth Ave., New York, N.Y. 10010; **R.J. Sas-Babczynski,** 311 West Wilson St., Apt. 3, Costa Mesa, Cal. 92627; **Jan Wojcik,** 131, Gold Street, New Britain, Conn., **A. Wisniewski,** 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, **Jan Zych,** 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tel. TA-5-6740	1,25 dol.	7,00 dol.	12,00 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W. 11	7 sh. 9 d.	£ 2.02.00	£ 4.00.00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27 Tél. : 75-77-241	700 L	3.600 L.	7.000 L.

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 F półrocznie i 4 F rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 F.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowości

BIBLIOTEKI «KULTURY»

TOM CXXIII PIOTR GUZY

KRÓTKI ŻYWOT BOHATERA POZYTYWNEGO

Rewelacyjna powieść, malująca psychologiczny portret oficera Bezpieki. Zarówno zupełnie nowa forma literacka jak i pasjonujący temat sprawiają że książkę tę czyta się jedynym tchem.

Str. 160. Cena 10 F (dol. 2,25; 15 sh.)

◆

TOM CXXIV - Seria "Dokumenty"

DIALOG POLSKO-NIEMIECKI

W ŚWIETLE DOKUMENTÓW KOŚCIELNYCH

(Zawiera pełne teksty Orędzia Biskupów Polskich, Odpowiedź Biskupów Niemieckich oraz Memoriał niemieckiego Kościoła Ewangelickiego. Wstęp Juliusza Mieroszewskiego).

Str. 80. Cena 6 F (dol. 1,25; 9 sh.)

◆

TOM CXXV - Seria "Zeszyty Historyczne"

ZESZYT DZIEWIĄTY

Luty 1966

zawiera m.in. prace:

K. Okulicza: *Ostatni akt dramatu J. Piłsudskiego*
K. Popiela: *Wybór prezydenta I. Mościckiego*
T. Rudnickiego: *Konferencja Teherańska*
G. Soro: *Upadek Polski*
St. Mackiewicza: *Stulecie urodzin Wł. Studnickiego*

oraz działy

OSTATNIA WOJNA A POLSKA — W OBCYCH OCZACH — WSPOMNIENIA O LUDZIACH — KSIĄŻKI — POLEMIKI I LISTY.

Str. 240. Cena 15 F (dol. 3,00; 22 sh.)

Imprimerie RICHARD
24, rue Stéphenson, Paris (XVIII^e)

Cena 5,00 F